

Szkoła Pisania KMLU prezentuje

Kurs Pisania Powieści 2022/2023

# Antologia tekstów



Kraków

kbf:



KRAKÓW  
MIASTO LITERATURY  
UNESCO

SZKOŁA  
PISANIA  
KMLU



# Wstęp



Szanowni Państwo, Drodzy Wydawcy  
i Wydawczynie,

mamy ogromną przyjemność zaprezentować Państwu jedenaście tekstów, które powstały w trakcie VII Kursu Pisania Powieści Krakowa Miasta Literatury UNESCO 2022/23.

Hasło VII edycji kursu brzmiało *Pamięć i pamięci*. Motyw pamięci – cudzej, zmyślonej, fałszywej, prywatnej, mitotwórczej, zbiorowej – to paliwo współczesnej prozy. Pisarz/pisarka tworzą, przywracają lub wymyślają pamięć albo podają ją w wątpliwość, zamieniają w fikcję lub twórczo wykorzystują na wiele innych sposobów. W czasie trwającego pięć miesięcy kursu uczestnicy mierzyli się z tym wyzwaniem pod okiem znakomitych redaktorów – Filipa Modrzejewskiego i Pawła Goźlińskiego. Podczas weekendowych spotkań w Pałacu Potockich, siedzibie Krakowa Miasta Literatury UNESCO, powstały (albo dojrzały) teksty świeże, intrygujące, po prostu: dobre. Jesteśmy pewni, że nazwiska ich autorek i autora zobaczymy wkrótce na okładkach książek i wśród nominacji do literackich nagród – tak, jak to miało miejsce

w przypadku innych absolwentek i absolwentów naszego kursu: Barbary Woźniak, Olgi Górskiej, Elżbiety Łapczyńskiej i wielu innych.

Jesteśmy dumni i podekscytowani wszystkimi efektami pracy uczestników kursu, ale, jak co roku, wybraliśmy trzy fragmenty powieści, które szczególnie chcemy polecić Państwa uwadze. Pierwszy z nich, *Na lewą stronę* Kamili Cebulskiej, to, jak pisze Filip Modrzejewski, „współczesna, postrodzinna opowieść, która rozśmiesza i zastanawia”, brutalna, stylowa i twórcza. Jej bohaterowie – Jaśmina i Witold – byli kiedyś małżeństwem. Próbowali zbudować dom, ale z tej próby pozostało mieszkanie podzielone na pół, zamknięte pokoje i otwarta wrogość. Pozostała im jeszcze tylko jedna próba pogodzenia się z przeszłością, ale i to wydaje się nieosiągalne. Kierowani złością i poczuciem osamotnienia, popadają w coraz większe dziwactwa.

Drugi wyróżniony tekst to *Kurort* Soni Pohl, brawurowa literacko i frapująca fabularnie, mieszająca gatunki opowieść o mieszkańcach fikcyjnej wyspy, którzy mierzą się z epokową zmianą. Na kontynencie kończy się wojna i jej skutki dotyczą miasteczko. Jedni opuszczają je w pośpiechu, inni, mniej liczni, pozostają. Na wyspę wkrótce przybývają nowi. Te zmiany obserwujemy oczami trojga bohaterów: Hrabiego, Rity i Lutka, którzy borykają się z zupełnie różnymi okolicznościami i są na innych etapach życia.

Autorka trzeciego z wyróżnionych tekstów, Anna Słowiakowska-Polak pisze z kolei w *Lukach* o kobietach na zakręcie. „Jedna kobieta odjeżdża w przeszłość, druga w tej przeszłości być może znajdzie odpowiedź, co zrobić z przyszłości” – podsumowuje Paweł Goźliński, który nazywa *Luki* „świetnie zapowiadającą się opowieścią o dobrych kryzysach, o podróżach do źródeł własnych niespełnień, o otwieraniu i domykaniu relacji, o dojrzewaniu późnych, nie za późnych, decyzji”.

To tylko zachęcająca próbka tego, co przeczytają Państwo w niniejszej antologii, pełnej literackich eksperymentów z formą i fabułą, odważnej prozy i wyrazistych języków.

Serdecznie zapraszamy do lektury wszystkich tekstów z przekonaniem, że dostarczą one Państwu wielu literackich przyjemności. Zainteresowanych współpracą wydawców serdecznie zachęcamy do kontaktu z organizatorami Szkoły Pisania KMLU.

Aleksandra Lipczak

Koordynatorka Szkoły Pisania Krakowa  
Miasta Literatury UNESCO

**2 Wstęp****6 Teksty wyróżnione**

- 7 Mila Bulska – *Na lewą stronę*
- 26 Sonia Pohl – *Kurort*
- 39 Anna Słowiakowska-Polak *Luki*

**75 Pozostałe teksty**

- 76 Magdalena Ciechanowska - *Szachrajka*
- 111 Aleksandra Igras - *Afisz*
- 126 Iwona Kasino - *Sekret mojej mamy*
- 144 Arkadiusz Kowalik - *Dźwięki ptaków, odgłosy ludzi*
- 164 marta sokołowska - *Po ojcu*
- 171 Sylwia Iwańska - *Gwałt na pamięci*
- 183 Katarzyna Woydyło - *Między piętrami*
- 198 Barbara Żakiewicz - *Wygwane dzieci*

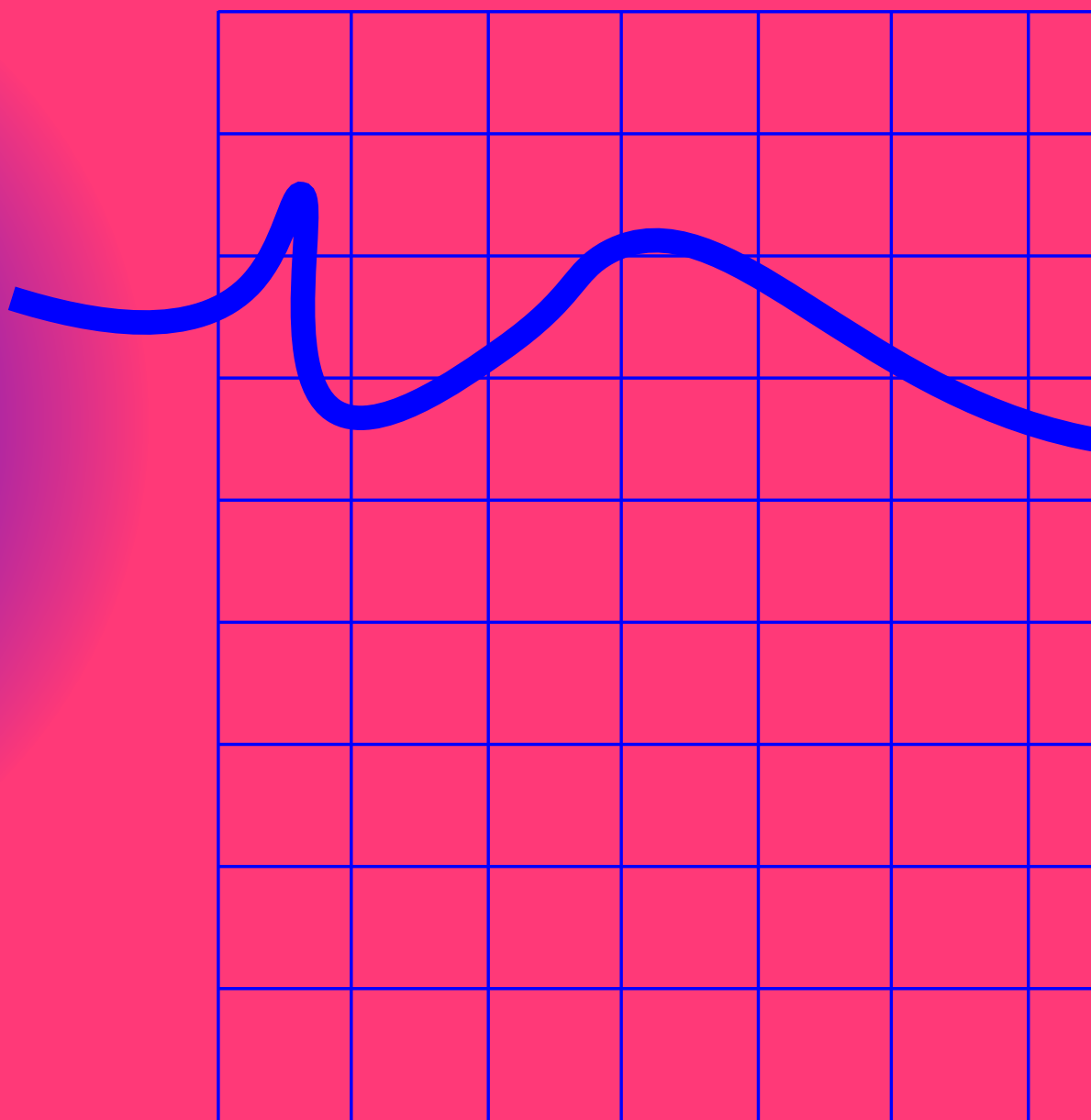
**216 O autorach****220 O Szkole Pisania Krakowa  
Miasta Literatury UNESCO**

# Teksty wyróżnione

Mila Bulska – *Na lewą stronę*

Sonia Pohl – *Kurort*

Anna Słowiakowska-Polak – *Luki*



---

Tekst wyróżniony

---

## **Mila Bulska *Na lewą stronę***

---

### **Filip Modrzejewski:**

Mila Bulska pilnie pracuje w języku, siedzi nad zdaniem i czuwa nad brzmieniem słów. To mi bardzo odpowiada, jak jej fraza „puchowa granica między snem a jawą”, zapadająca w głowie. Jest obyczajowa fabuła w powieści *Na lewą stronę*, a jakże, z niej dowiemy się, co oznacza „brak zajęcia w czasie wolnym”. To współczesna, postrodzina opowieść, która rozśmiesza i zastanawia. Bawi się Kamila swoimi typami brutalnie, stylowo i twórczo, i dlatego pójdę za nimi. Niech przegrywają, niech zwyciężają. Niech tylko mówią i opowiadają bez końca.

# Na lewą stronę

## 1

Biegnie. Okna parterowych mieszkań są uwodzicielskie. Kątem oka wdziera się do cudzych wnętrz, porównuje ze swoim, nie znajduje niczego podobnego. Po to ewolucja wyposażyła człowieka w ciekawość, aby wzrok wklejał w okna, cudze okna, parterowych mieszkań okna. Z miejsca pojmuje, w jakim środowisku się znalazł, jakimi tkaninami gatunek się osłania i czy higiena panuje. Jaśmina Osoba przystaje na chwilę, dotyka a to mostek, a to żebro. Skłania się ku pękatej płytce chodnika i prostuje jak znak drogowy. Włosy, napuszone i szorstkie, z cienkimi pasmami siwizny, otrzepuje jak ręcznik frotte postrzępiony na brzegach. Po chwili zrywa się do dalszego biegu. To żaden pośpiech, nikt na nią nie czeka, dzieci nie płaczą, pies nie skamle pod drzwiami. To tylko płotki znużenia, męcząca powolność kroków do pokonania. Opieszalych przechodniów częstuje łokciem, a kto wypatrzy zawczasu biegnącą Jaśminę, odskakuje. Dyszenie dobiega uszu sąsiadów. W drzwiach parterowego mieszkania stają dwie stare kobieciny, bielutkie i roztrzęsione, wpatrzone w oddech Jaśminy. Coś się stało? Stało się i się nie odstanie. Cóż ona powiedziała? Że komuś się dostanie, ale za co i komu, to nie wiem.

Pokój temu domowi! Tej umywalce i temu sedesowi! Jaśmina wita się z dwoma pokojami, wąskim korytarzem i kuchnią. Słowa wsiąkają w dziurawe cegły pod tynkiem, bez odpowiedzi. Nie odpowiada też Witold siedzący za zamkniętymi drzwiami, przy biurku przystawionym do okna. Na parapecie kubek emaliowany z długopisami, cały obity. Za plecami Witolda wersalka i wieszak garderobiany z kurtkami i koszulami marek wymarłych jak gatunek dzikiego ptaka albo antylopy. Pod wpływem Jaśmi-



nowego głosu nieruchomieje jak tafla wody, wpatruje w otwarty przed sobą zeszyt i ostatnie zapisane słowo. Dopiero gdy Jaśmina wejdzie do drugiego pokoju i zamknie za sobą drzwi, wcale nie bezgłośnie, spokojnie przenosi wzrok na roztrzaskujące się o siebie chmury. Między nimi ścianki, drzwi i progi. Nieotwieralne i nieprzekraczalne. Prawo budowlane nie przewidywało takiej przestrzeni i takiej zabudowy, która by dwoje rozwiedzionych ludzi chroniła.

nikt nas do takiego życia nie przyuczył nie zaproponował kursu nie wskazał zagrożeń Raz ksiądz przyszedł po kole-dzie i całkiem zdurniał Chciał żebyśmy usiedli przy jednym stole w kuchni naiwniak Poszedł do Jaśminy a po chwili wrócił do mnie Skropił się cały od potu i nerwów Musi być dla was ratunek mówi siadając na wersalce Myślałem że telefon wyciągnie i zadzwoni na 112 Ja mu na to że czasem ratunku już nie ma jest tylko podtrzymanie życia Kropnął mi w oczy wodą święconą i wyszedł koperty zapomniał Kościół nie chce dawać rozwodów bo potem nie wie co robić z takimi owieczkami zatrzaśniętymi w jednej zagrodzie

Pokój temu pokojowi! Dłoń Jaśminy opada na gruzowisko przedmiotów, ale ich nie dotyka. Drażni palcami niesprawne, połamane, zakurzone graty. Dotykanie jest ryzykowne. Pod byle tknięciem cały maszyn badziewia może osunąć się wprost na nią. Siada na fotelu przystawionym do okna. Na parapecie ulotki, tureckie perfumy, ptasie mleczko, odświeżacz powietrza, pieprzniczka, nożyczki, szkielet winogrona, porcelanowe śmiecie. Odpala papierosa, z wąskich ust wydobywa się eksplozja kaszlu. Omiata pokój spojrzeniem. Duperele porozstawiane po półkach, na szafach, na stole i ziemi wypełniają ją poczuciem sytości. Witoldzie! Jak życie w zapadłym kąciku? Złom nie dom! Dwa zaścianki, kuchnia i przedpiekle! Osiadły na bezludziu, tam gdzie tylko własny cień mówi dobranoc, Witold nie odpowiada. Jaśmina posyła niedopałek przez okno, w powietrze. Jak mogłam wyjść za takiego człowieka? To pytanie ją prześladowuje, wyrasta przed nią codziennie jak ściana, odepchnąć nie można. Częściej wdający się w bójkę niż w rozmowy. Częściej sięgający do kieliszka niż do słownika. Używający języka jak szpachli do zacierania zdań. Jak mogłam znieść ciszę przerywaną co jakiś

czas szarżą wrogości? Jak mogła w tej ciszy wybrzmieć miłość? Z tak postawionym pytaniem, i z tak założoną nogą na nogę długo nie wysiedzi. Taki dach nad głową to nie dach, to wieczko do kiesznia. Niech się jeszcze nieco przyciemni, osiedle poukłada do snu, a wtedy wyjdzie na poszukiwanie wysłużonych skarbów, fantów nikomu niepotrzebnych.

## 2

Emil Osoba odwiedza rodziców, gdy samochody zaparkują w ciemnościach. Na Pierwszej jest wtedy spokojniej, a okna parterowych mieszkań silniej kłują w oczy. Ostatnio komuś spaliła się żarówka, wybiło korki, okno zniknęło w ciemnym tynku, mieszkanie wydało ostatnie tchnienie. Przed kłatką włącza latarkę i zbiera wszystkie pety, które jego matka przez dzień posłała w powietrze. Jaśmina najbliższe otoczenie traktuje jak popielnicę, tylko patrzeć, jak spowoduje pożar dzielnicy albo okaleczy niewinną wiewiórkę.

Wejście do tego mieszkania wymaga odpowiednich zabiegów. Rodzinny dom ignoruje właściwości fizyczno-chemiczne Emila, stawia opór i uruchamia puste reakcje. W przedpokoju Emil zrzuca z siebie cechy szczególne. Z kieszeni wyciąga wszystkie wrodzone i pożyczone dziwactwa, odkłada na szafkę obok kluczy do elektrycznych skrzynek. Czysta anatomia, bliżej nieokreślony osobnik kieruje kroki wprost do kuchni.

Jaśmina i Witold stają w progach pokojów. Łokcie nieprzepuszczalnie przy framugach. Z pokoju Jaśminy nadciąga zapach zeschniętych plam po kawie i jarmarcznej stęchlizny. Za Witoldem wlecze się pustka, czarna dziura pokoju bez zapachów i kształtów.

Co dziś porabiałeś, pyta Jaśmina. Byłem w pracy. A po pracy? Nic ciekawego. Ale coś musiałeś porabiać. Byłem to tu, to tam. Sam? Sam i nie sam. Mówisz jak jakaś abrakadabra. Jaśmina syczy, nie lubi zagadek, rebusów i znaków zapytania. Ma ochotę złapać syna za ramiona, wytrząsnąć z niego zdania w języku potocznym. Mieszkanie wypełnia się napięciem. Jaśmina z Wi-

toldem stoją naprzeciwko siebie. O kontakcie wzrokowym nie ma mowy, ale sam widok stóp w klapkach wystarczy, by od niego obrzękli, opuchli i wybuchli. Może tak się dzieje, myśli Emil, w wiadomościach podają, że to nieszczelność instalacji gazowej, a tak naprawdę to ludzie wybuchają. Z nerwów, nerwobóli i nerwic. A wy co porabialiście? Nie słyszą jego pytania. Już są w swoich pokojach, za drzwiami, za siedmioma strefami komfortu. Emil odwraca się do okna. Podwójna szyba w drewnianej, zimą przepuszczającej ziąb a w lecie ciepło ramie zniekształca proporcje. Duże, zielone oczy oddalają się od siebie, nos z ustami opadają niżej. Dotyka palcami kawałków twarzy, ale one nie chcą się do siebie zbliżyć. Przeciera sztywną szmatką poproszony parapet, obmywa kubek z niedopitą herbatą. Zapach znajomych rur jest przyjemny i odpychający zarazem. Tajemnice śmierdzące i pachnące. Przez chwile czuje pokusę, żeby się pod tym parapetem schować, podkurczyć kolana, wtulić w żebra kaloryfera i zasnąć. Nad ranem obudziłyby go stada gawronów szorujących po niebie. Nie, musi wyjść, i to szybko, zanim na powrót zamieni się w element tego mieszkania.

Kobiety nie wiedzą czym jest miejsce dla mężczyzny zwłaszcza kobiety o imieniu Jaśmina Kobiety o imieniu Jaśmina lamentują że tak się żyć nie da że lada moment udławisz się tym pokojem wyprowadzisz Ale ja się nie dam przegonić walizek nie wystawię Mężczyzna musi mieć cel musi mieć miejsce w którym go wypełni Moim celem jest istnieć Czy można mieć cel bardziej rozwojowy? Do tego potrzebne własne M a jeśli nie własne M to chociaż własny P P jak przeżycie P jak posiadanie P jak palec środkowy

Przed blokiem szuka petów, które Jaśmina posłała w powietrze. Gdyby teraz krzyknął, usłyszeli by go wszyscy, ci z Pierwszej, Zielonej i Majętnej. Głos odbijałby się od bloków i samochodów, od panoramy pustych balkonów, blaszanych garaży i betonowych słupów lamp. Może nawet rozproszyłby się za dzielnicę, dotarł do obrzeży miasta, okrążył obwodnicę i opadając na dachy ciężarówek wiozących pieczarki i jabłka, wyruszył do innych krajów.

Ale między milczeniem i krzykiem jest cienka granica, a on zdecydowanie woli ciszę, krępującą i ciepłą. Dźwięki w Emilu są ograniczone jak skwer, na którym stoi. Trawa kończy się na kamiennej oprawce i nie ma szans, by wychyliła się dalej. Wyrzuca peta do kosza i cicho odchodzi.

### 3

Nocami po mieszkaniu rozchodzi się chrobot. Jaśmina zrzuca z siebie kołdrę. Puchowa granica między snem a jawą ma w sobie ciężar wyczuwalny w rękach. Nie zapala lampy, bo od takiej nagłej jasności płoną jej oczy. Odpala papierosa. Chrobot staje się coraz głośniejszy. Były małżonek nocami przemienia się w mysz, skrobie po meblach i ścianach. Może nawet tymi ścianami spaceruje, draży tunele, szuka wrót do innego świata. Złośliwy jest. Nocnym chrobotaniem rżnie pod jej oczami cienie, których ona w ciągu dnia nie może zamazać. Gdyby Witold naprawdę zamienił się w mysz, wtedy mogłaby go miotłą wygonić z domu, albo za ogonek i przez okno. Ale on uparcie trwa w swojej człowieczej postaci, jakby mu w niej dobrze było, komfortowo. Jak można tak nocami hałasować? Może robi remont? Ściany maluje, sufit? Ale on nawet półki nie potrafił prosto zawiesić, w złości kopał ściany i rozsypywał gwoździe, które później wbiły się w podeszwy butów. To ona latała po domu z młotkiem i wkrętarką, przywracała porządku.

Zapala lampkę, twarz przystawia do lusterka stojącego na parapacie. Nie widać po niej wieku, pół wieku. Bo to, że Ziemi już dawno stuknął czwarty miliard, wie każde dziecko, i każde dziecko wie, że to już agonia, a z nią tak łatwo nie jest. Może mężczyźni już się za nią nie oglądają, ale też nie uciekają jak przed burzą. A gdyby tak się zaanonsować? Atrakcyjna, pięćdziesiątka pozna. Syn dorosły, bliżej nieznan. Rozwódka z połową mieszkania. Byłoby miło, gdybyś miał swoją połówkę. Może gdyby te połówki się spotkały, uczepiły siebie, to powstałaby nowa jedność, nowa ciasność.

Zrywa się z fotela, doskakuje do framugi pokreślonej niebieski-

mi kreseczkami. Wzrost to istotna kwestia. Radio wytrzeszczało, że za kilkanaście lat pod kilkoma centymetrami wody znikną najpiękniejsze plaże. A skoro znikną plaże, ona też kiedyś zniknie pod niewidocznymi centymetrami. Starzenie, kurczenie, topnienie. Kreska przy framudze wskazuje ciut, ciut mniej niż metr osiemdziesiąt dwa. Podchodzi do przestarzałego boomboxa znalezione pod jednym ze śmietników. Czerwony drut sterczy z niego jak naelektryzowany włos. Trzeszczenie przypadkowej stacji wypełnia pokój, zagłusza myszy chrobot, ale nie zagłusza myśli. Jeśli czegoś nie można zagłuszyć, to trzeba to zdeptać, najlepiej własnymi podszewkami. Jaśmina opuszcza nocne mieszkanie. Z nitrylowymi rękawiczkami na dłoniach, rozmiar M, zagląda do każdego osiedlowego śmietnika. Momentami wstrzymuje oddech, ale przez większość czasu nie odrywa nosa od zapachów, idzie po śladach. Ubrania pachną niedawnymi właścicielami, a grube ściany żeliwnego garnka, który właśnie ogląda z każdej strony, nadal utrzymują zapach słodkiej papryki. Oddaje się resztkom, bez reszty. Gdyby tylko mogła swoje własne myśli przewiązać cienką kokardką, wyrzucić do kubła. Ale nie, one będą rozkładać się na dnię jej głowy przez następne pięćdziesiąt lat. Siada na welurowym, obrotowym fotelu. Ładny, ale nie trzyma równowagi, trzeba by spawać, za dużo zachodu. Zapala papierosa, myśląc o nadchodzącym dniu, nadchodzących nocach, o pracy i braku zajęcia w czasie wolnym. O Pierwszej, która wcale pierwszą nie jest, i w ogóle kto takie nazwy wymyśla, chyba tylko ktoś ubogi duchowo albo wykolejony. A potem jej wzrok trafia na ułożoną w piramidkę trutkę na szczury. Z wąskich ust wydobywa się eksplozja śmiechu.

### 3

Po kamiennej posadzce Urzędu do Spraw Wspólnych z ekspresją silnika stukają obcasy pracowników. Emil nie stuka, kroki ma syntetyczne i ledwie słyszalne, tylko oddech mu dudni nierównomiernie i ciężko. Może sobie go rozkładać w powietrzu na niepodobne części. W gabinecie dyrektora Cypała jest cicho, rozchodzi się po nim zapach niczego. Wypielegnowaną na błysk dłonią wskazuje Emilowi krzesło, przy biurku, naprzeciwko

siebie. Na ścianach szron, bo dyrektor Cypał to postać zimna. Legenda głosi, że w poprzedniej epoce, gdy zimy były śnieżyste a dzieciaki zjeżdżały z górki na tornistrach, dyrektor Cypał był jednym z wielu sopli lodu zwisających z wyniosłych gmachów. Pewnego dnia rzeczywistość uległa rozmrożeniu. Niektóre sople odpadły i potopiły się w nieokreślonych kałużach, a niektóre, jak dyrektor Cypał, zadyndały na innym gmachu. Emil nie wie, po co został wezwany. Emil sobie tu tylko pracuje, rejestruje jednostki ludzkie, umieszcza w teczkach, przesnurowuje i wpycha do szafy.

Panie Emilu, odzywa się w końcu Cypał, co to się dzieje u was w dziale, co to za teksty wywieszane na korkowych, państwowych tablicach? A więc o to chodzi, myśli Emil, o te dwa zdania, dwie kropki, trzy przecinki przyczepione czerwoną pinezką do państwowej tablicy. Dyrektor Cypał wyciąga z szuflady kartkę, rozkłada przed sobą i prasuje dłonią, choć nie ma na niej ani skrawka zgniecenia. Dopiero teraz Emil zauważa, że tekst, choć nie jest poezją, ma układ wiersza.

Pracownik nie jest  
winien swemu  
pracodawcy  
służalności i  
posłuszeństwa. Jest  
mu jedynie winien  
usługę, za którą  
otrzymuje zapłatę,  
będącą nie łaską,  
lecz zasłużonym  
wynagrodzeniem.

Ludwig von Mises (1881-1973)

Dyrektor Cypał czyta, deklamuje, nie pąsowieje, dykcja nienaganna. Czyta po raz drugi, żeby Emil dobrze zrozumiał, żeby się wczuł. Emil w tym czasie rozgląda się po ścianach. Na jednej wisi paprotka. Był pewien, że paprotki to relikty epoki, dawno przesadzony. Rozsypuje się w czasie. Jest w domu, on jest jeszcze mały, a mieszkanie rodziców jeszcze duże. Jest niedziela, przed nim stygnie obiad. Nie lubi mięsa, ale jeszcze nie wie, że można go nie jeść. Kiedy Jaśmina wychodzi z pokoju i zostaje z obiadem sam, prędko wspina się po fotelu, po tapecie, po Czarnej Madonnie rokrocznie odświeżanej starymi pędzlami, z filetem w rękę. Mięso łąduje w burzy loków wiszącej paproci. To musiało być dla niej ohydne, jakby kobiecie rzucić we włosy zgniłym jabłkiem. Ale dzielna była, nienarzekająca. Potem zaczął chować w doniczkach inne przedmioty. Monety wyciągnięte z kieszeni kurtki wiszących w przedpokoju, cukierki do podjadania w nocy, prezerwatywy kradzione w delikatesach, zapalniczkę do ukradkiem podpalanych papierosów. Bez słów przyjmowały wszystko, co i tak nie nadawało się do powiedzenia.

Co pan przez to rozumie? Dyrektor zachęca do interpretacji. Raczej jestem nieprzygotowany panie dyrektorze, raczej zaliczam się do tych, których zawsze coś zaskakuje. Emil rozkłada ręce. To tylko słowa martwego austriackiego ekonomisty. Teraz dyrektor wyciąga z szuflady plik kartek. REGULAMIN, czysta proza. Prosi Emila by znalazł w tekście słowa SŁUŻALCZOŚĆ i POSŁUSZEŃSTWO. Uśmiecha się, dodaje odwagi, w kącikach jego ust pękają lodowce.

W końcu Jaśmina wyrzuciła wszystkie kwiaty, rozebrane ściany przystroiła surowością. Może odkryła ich tajne porozumienie, a może miała dość zamiatania opadłych, uschniętych liści. Znalazł pan? Emil nie znalazł. Cypał wygrywa. Teraz Emil grzecznie wstanie i wróci na swoje miejsce pracy. Odepnie filozoficzne sentencje i przypnie coś mądrzejszego, na przykład instrukcje systemu alarmowego. Na korytarzu jest cicho, obcasy przywarły do obrotowych foteli albo zatopiły się w dywanach. Tylko jego oddech rozciąga się w ciszy, coraz głośniejszy, jak oberwana lawina.

## 5

Nad ranem przyszedł halny, powalając wszystkie drzewa w okolicy. HUUU, hUUU przedarło się do snu Witolda. Obudził się przyklejony do kołdry, pewien, że to jego kości trzaskają jak gałęzie. Za oknem, wzdłuż ulic, rozlała się zielona plama. Pod plamą leżą samochody. Brak drzew odsłonił, jak w lustrze z którego opadł zaśniedziały nalot, dziesiątki betonowych odbić. Staął w oknie opuszczony i obnażony, panicznie szukając myśli, która by go golutkiego okryła. Luneta! Astronomiczna luneta leżąca pod łóżkiem! Zabierali ją z Jaśminą na wakacje, nad jeziora, w góry, lasy. Podglądali przelotne dziwactwa, gniazda, strugane domy. Polska taka piękna, taka rześka, taka wystarczająca. Mógłby użyć lunety jako bronii przeciwko miastu podglądającemu człowieka w samych slirkach. Ale ta myśl, zamiast pocieszyć, rozbiera go jeszcze bardziej, do samych jelit. Na ulicy ludzie podbiegają do drzew, klną, wygrażają, ocierają łzy. Łapią za gałęzie, jakby chcieli zmusić drzewa do powstania, jakby chcieli te swoje samochody reanimować. Ubiera się, schodzi na dół. W miejscu, w którym spod gałęzi wystają pluszowe rogi renifera koloru odległej zimy, stoi jego żółty volkswagen golf dwójka. Wiatr zdmuchnął na środek ulicy czerwony, okrągły nos dotąd tkwiący między przednimi reflektorami. Rozjarzyła się w nim krótka myśl, że ta żółta kupa złomu to on prawdziwy, a człowiek stojący naprzeciw to jedynie pudło z podłączoną kruchą instalacją. Że sam jest jakiś powypadkowy i traci sterowność. Mężczyzna stojący obok przytrzymuje dłonią szybko wznoszącą się pierś, jakby bez tej dłoni miała odfrunąć. Na pewno nazywał swoje auto najpiękniejszymi kobiecymi imionami, urządzał mu regularne kąpiele, pielęgnował opony i nigdy nie zapalił w nim papierosa. Trzeba spojrzeć inaczej, Witold zwraca się do niego, natura na pewno wie co robi, likwidując takie astmo- i rakotwórcze charkacze. Klatka mężczyzny nieruchomieje. Dużo się przecież o tym teraz mówi, nie? Natura się mści, jak na tych kłusownikach stratowanych przez słońce. Otwarta dłoń spoczywająca na piersi zwija się w bielejący kłębek i zatrzymuje pod prawym okiem Witolda. Znalazł się pierdolony autorytet do spraw klimatu! Cios zadany Witoldowi przynosi mężczyźnie ulgę, poprawia marynarkę, zapina guzik



i odchodzi. Gdy mija pierwsza fala bólu Witold otwiera oczy. Rozpromienione, bezlistne niebo zapowiada ładny dzień. Nikt nad Witoldem nie płacze, nie modli się, nikt nie ma interesu w tym, by stanął na nogi.

Chudy cień Jaśminy kładzie się na nim, jakby chciał go przytulić, albo przygnieść do ziemi. Ogląda sobie Witolda, sprawdza czy żyje. Chuderlawy i nieświeży, w spranych dzinsach i spranej dzinsowej koszuli. Widać, że płynów nie uzupełnia, o witaminach nie wspominając. Jaśmina przenosi wzrok na powalone drzewa. Podoba jej się ten widok. Za jakiś czas w ich miejscu wyrosną nowe, pełne życia i soków. Parkingi wypełnią się lśniącymi samochodami i świeżymi olejami. I tak to wszystko powinno funkcjonować, myśli zaciągając się papierosem nad ciałem Witolda. Świat to jeden wielki stragan. Liczą się tylko profesjonalne obroty Ziemi, wpływy i wymiana. Jaśmina prostuje plecy, czuje jak odzyskuje stracony poprzedniego dnia centymetr, po czym zabiera swój cień i odchodzi.

Witold odwraca głowę do leżącego kilka metrów dalej nosa renifera, ale nos już dawno jest w wilgotnym pysku skudłaconego owczarka. Pierwszy raz w życiu pragnie, by przyszedł taki wiatr, który zdmuchnie wszystkie bloki. Niech ściany uleczą w górę i utworzą płaski dach nieba, bo ten, który teraz nad nim wisi, przecieka i zapada się.

## 6

Są może paprotki? Para florystów, dziewczyna i chłopak ubrani w kolory wszystkich swoich kwiatów, na chwilę milknie. Wyglądają, jakby chcieli naradzić się między sobą, na osobności. W końcu prowadzą Emila do najdalszej części lokalu. Mamy te cztery. To nie jest kwiat wysokonakładowy. To w ogóle nie jest kwiat. No tak, racja, to po prostu zielona roślina. Zdecydowanie zielona. Dobrze ją trzymać w sypialni. Moi rodzice trzymali taką w dużym pokoju. Dziewczyna z chłopakiem znowu milkną. Kiedyś w mieszkaniach nie było salonu, tłumaczy Emil, sypialni, osobnej kuchni i jadalni, pokoju dla dzieci. Był duży pokój i mały pokój. Była kuchnia i łazienka. Miejsce w takim mieszkaniu nie

było nikomu przypisane na stałe. Równie dobrze twoje łóżko mogło znaleźć się obok kuchennego kaloryfera, co było całkiem przyjemne, zwłaszcza zimą. Minusem była obecność brzęczącej lodówki otwieranej w środku nocy. Śpisz sobie, a tu nagle zalewa cię żółte światło. To straszne, mówi dziewczyna. Pana rodzice powinni trzymać paprotki tam, gdzie spali, dopowiada chłopak. Możliwe, że powinni. Którą pan chce? Wszystkie.

Z kwiaciarni wychodzi na wąski jak rura od syfonu chodnik. Słońce rozjaśnia ludzkie włosy i psie kłaki. Emil pilnuje, by jego wzrok był bystrooki, byle nie wdepnąć w rozterkę albo nie wpaść na pomysł, który mógłby cokolwiek zmienić.

Powiniennem dokonać bardziej spektakularnej migracji, mosty spalić, dzwonić raz w tygodniu albo raz w miesiącu, wracać tylko w nagłych wypadkach, najlepiej tragicznych. Ledwie ta myśl przychodzi mu do głowy, a już rumieniec zapala policzki. Na jednym policzku złość, na drugim wstyd. Uczucia mieszają się w nim, pozostawiając po sobie niezdecydowanie. Zatrzymuje się na moście, spogląda na rzekę, ale tego dnia jest wyjątkowo osowiała, jakby coś ją odwodniło i osłabiło. Spójrzcie, pokazuje paprotkom daleki potrzask bloków, dzielnice w tym mieście różnią się od siebie kolorem i zapachem, nawet słońce nie dociera po równo. Czujecie? Na pewno, nie potrzebujecie oczu ani nosa, żeby się w tym wszystkim połapać. Czasem mam ochotę zrobić z tym miastem to samo, co z pokojem Jaśminy. Połowę rzeczy ze-złomować, połowę oddać do naprawy, a resztki odesłać do Chin. A czasem nic bym nie zmienił. Idzie wzdłuż niskich, ledwie wyrosłych znad parceli kamienic. Ukruszone ściany, głęboko osadzone okna, ciężko opadające gzymsy. Czasem na chodnik spadnie jakiś detalik, odprysk tynku, stary chleb. Czasem spadnie balkon. Zatrzymuje się, stawia paprotki na schodkach, szuka kluczy. Za chwilę poznać Leona i Hannę. Leon pewnego dnia przyprowadził mnie do swojego domu, a ja w nim zostałem, po prostu.

Idzie schodami na drugie piętro. Zanim otworzy drzwi mieszkania, zanim znajomy zapach rozprowadzi w jego myślach spokój, podnosi paprotki na wysokość ust, nos wścibia między liście. Są dni, kiedy czuję się jak mebel. Można mnie wtedy z łatwością

przewrócić do góry nogami i przeciągnąć do innego kąta.

## 7

I on tam leżał na tym chodniku, jak drzewa na samochodach, a ja nie byłam pewna, czy chcę go kopnąć między żebra, czy podać mu rękę. Zyta dłużej przytrzymuje dym papierosa w zacisniętych ustach, jakby to pomagało przegryźć myśli. Zyta pracuje w piekarni, Jaśmina w salonie Bon Dywan – nowe, nieśmierdzące kocim moczem ani stęchlizną dywany. Dzieli je ściana kamienicy, kamienna i surowa. Jaśmina czeka cierpliwie, sądy Zyty bardzo jej przylegają. Ta zawsze wie, co należy w danej sytuacji zrobić, jak z człowiekiem postąpić. Jaśmina nie potrafi z taką jasnością określić charakteru człowieka, dopasować go do struktury, przeniknąć warstwami. A Zyta szast-prast, umiejętnie ząbąbia wszystkich i wszystko względem siebie i całego wszechświata. Żal ci się zrobiło, to normalne i ludzkie, mówi w końcu Zyta, a że chciałaś go kopnąć, to jeszcze bardziej ludzkie. Ale niektórzy nie zasługują ani na rękę, ani nawet na kopniaka. Cholera, myśli, Jaśmina, to musi być jakiś wrodzony talent albo zmysł, tak dobrze sprawę wyczuć, odsłonić pełnię emocji. Racja, Witold nie zasługuje ani na rękę, ani na kopniaka. Gdyby nie on, ciągnie dalej Zyta, już dawno poukładałabyś sobie życie. Tak, poukładałabym, jak sztuce na serwetce, z kulturą. Pewnie miałabyś już nowego faceta, może nawet męża. Miałabym, i byłby on zupełną przeciwnością Witolda, anty-Witoldem, mężczyzną z innej parafii. A tak? A tak, to co?

Zyta rozsypuje okruchy na chodnik, wprost pod nogi ludzi przebiegających nimi jak palcami po jakimś instrumencie, rozwibrowanym, klekoczącym. Z sercem napchanym pustką Jaśmina wraca do salonu. Klienci wchodzą, oglądają, pocierają. Piękne, piękne są. Muska z nimi, kokietuje na tyle, na ile jeszcze potrafi. Zalotność to kod ubioru obowiązujący w handlu, tak mówi Zyta. Przystaniesz kokietować, przestaniesz sprzedawać.

Proszę spojrzeć, czy nie przypomina jedwabiu? Unosi, zmienia kąty nachylenia, połysk plami wzór. Sprowadzamy je prosto

z Hiszpanii. Z Hiszpanii? No z Hiszpanii, południe Europy, Półwysep Iberyjski, ciepło i radośnie, i bezpłatny prąd w godzinach nocnych, od północy. Co też pani nie powie! Prawdziwe królestwo. Widzi, jak od tego muskania i zatapiania się w kolorach poziom wrażliwości na estetykę i geometrię świata wzrasta w ludziach. Myślą, że etniczny wzór dywanu zaścieli nie tylko pustkę podłogi, ale też ich własne wnętrza, płaskie i jednostajne. Jednak to nie takie proste, nie nie, pustka to nie kalendarz. Nie wypełni się jej datami, rocznicami, urlopami, wizytami u dentysty. Jaśmina aż za dobrze wie, że centra próżniowe rozrastają się w człowieku wszędzie tam, gdzie tylko pojawi się jałowy kawałek.

Ten za ile? Czteryście dwadzieścia jeden. Urwiemy coś? Czteryście dwadzieścia. Kobieta krzywi nos, patrzy podejrzliwie, odechciało się jej ornamentowania podłogi. Kokietuj Jaśmina, kokietuj. Liczą się tylko profesjonalne obroty Ziemi. Oczywiście chciałam powiedzieć czterysta jeden.

## 8

Cieężko chodzić po ulicach są nachalne ujadają cały dzień  
Zamiast paczkomatów parkomatów biletomatów miasto  
powinno zainwestować w pochłaniacze dźwięków sta-  
wiać je na rogach ulic przy dużych skrzyżowaniach na  
przystankach Na dodatek ludzki język ja pierdolę to nie  
pogaduszki ani lekkostrawne kawałki TO TAŚMOCIĄG  
Odpowiednio dozować słowa to dopiero sztuka!

Brama nie jest wielka, ale ciężka. Ciągnięcie za klamkę nic nie daje, jeśli bramowy nie przycisnie guzika. Witold szuka swojego nazwiska na liście obecności. No, zostało tylko osiem godzin, mówi bramowy ubrany w puchową kurtkę, bo tu, na portierni, zawsze jest zimno, nawet w lipcu. Mógłbyś zniknąć, myśli Witold, zniknąć z tą swoją puchową kurtką i identyfikatorem opadającym na brzuch. Po szóstej pracownicy Zakładu Produkcji Sprzętu Oświetleniowego ruszają w przeciwną stronę, podzieleni na dwie grupy. Pierwsza, produkująca stare typy żarówek, nazywana klasykami, idzie do nigdy nieodnawianej hali pokrytej pozie-

leniałą farbą. Druga, nazywana nowatorami, idzie do hali nowoczesnej, skąd na rynek trafiają żarówki inteligentne i oszczędne. Każdy chce być nowatorem. Pracować w czystej, jasnej hali, przy laserach najnowszej generacji. W nowej hali jest cicho, można usłyszeć stojącego obok człowieka albo własne myśli. Witold jest nowatorem od trzech lat. Zasłużył sobie. Taki pracowity, punktualny i lojalny, i nie zabierający głosu na zebraniach związków zawodowych. W ogóle z jego głosem to kwestia domysłów. Używa go wedle własnego przepisu na rozmowy, w których słowa stanowią ukradkową szczyptę. W nagrodę za dobre sprawowanie pracuje w ciszy i słyszy własne myśli. W nagrodę stoi nad taśmą, nad jaśniejącymi żarnikami, a myśli przemawiają, wypełniając sobą wszystkie bezmyślne przestrzenie.

Łap! Staszek rzuca w niego tubką kremu do rąk o zapachu piernika. Dostałem od wroga! Wrogiem w gwarze pracowników Zakładu Produkcji Sprzętu Oświetleniowego nazywane są żony, były, aktualne, przyszłe i świętej pamięci. Witold Staszka szanuje, bo nawet wypity nie używa wulgaryzmów, acz w tej chwili nie ma to znaczenia. W tej chwili Witold chciałby, aby Staszek zniknął wraz ze swoją kulturą osobistą i dłońmi pachnącymi piernikiem. Wzrok Witolda spoczywa na Staszku o kilka sekund za długo. Co się tak przyhaczyłeś? Wpadłeś mu w oczko, dopowiada Waldemar stojący w pobliżu. Męski śmiech, chóralny i teatralny, wypełnia halę. Wszyscy wiedzą, że Witold mieszka z wrogiem, w mieszkaniu podzielonym jak skąpy łup. Są przekonani, że takie pokojowe współzycie przebiega harmonijnie, z poszanowaniem prywatności, wolności, wspólnych części łazienkowych i kuchennych. Że to dobry układ mieć wroga blisko, na podglądzie, na podsłuchu. Tylko jego, głębokiego podziału, padalce nie widzą. Wszyscy po kolei zaczynają zniknąć. Andrzej, który kiedyś wyciągnął mu z portfela sto złotych i nigdy się do tego nie przyznał. Mariusz udający, że jego małżeństwo trwa w najlepsze, choć wszyscy wiedzą, że z wrogiem nie mieszka już od lat. Sławek ubierający się w drażniące jaskrawości, fluoropomarańcze i fluorozielenie, jakby nosił pod nimi materiały radioaktywne. Im bardziej oni wszyscy nikną, tym bardziej w oczach Witolda powiększa się spokojny pejzaż, pusty i jednostajny, bezszelestny. Dopiero rozdzwaniający się w kieszeni Staszka

telefon rozbija ten sen na jawie, jak kamień trafiający w szybę.

## 9

No dobrze, a czwartą gdzie postawisz? Pozostałe trzy paprotki, które przyniósł z Zielonego Kataru, wiszą już po kątach i po ścianach, tylko ta jedna nie ma jeszcze swojego miejsca. Stoi z nią na środku kuchni, jak dziecko, które chwilowo straciło koncept na dalszą zabawę. Za stołem Leon i jego matka popijająca napar z lnu. Sklejone, napęczniałe ziarna przyklejają się do jej ust i zębów. Hanna przy każdym łyku mruży oczy i wykrzywia usta. Dopiero gdy napój pokona przełyk, jej twarz łagodnie się wygładza.

Dzięki paprotkom w końcu coś się zaczęło dziać, bo tu, w domu Leona i Hanny, tylko klasycystyczna biel ścian, z monumentalnym telewizorem pośrodku. Przesadziłem z tymi roślinami, tak? Co za dużo, to rozpusta, tak? Emil traci pewność siebie, tak jak traci się ostrość widzenia w czasie ulewnego deszczu. Nie, nie, nie! Chór matczyno-synowski zrywa się znad stołu. Leon przodem, Hanna za nim, krokami krótkimi i przerywanymi. Bola ją mięśnie nóg albo kości w nogach, sama nie wie. Oboje jesteśmy gotowi do natychmiastowej pielęgnacji roślin, prawda mamó? Robią przymiarki, jedna ściana, druga ściana. Okręcają doniczkę, aż się paproci w liściach zakręci. Emil odzyskuje widzialność. Bliskość tej dwójki działa na niego uczuciowo. Ostatnia paprotka staje w oknie wychodzącym na przystanek tramwajowy. Cała trójka zapatruje się w obraz ulicy. Emil wciska wzrok w załadowany pasażerami tramwaj, czując się przy tym jak pasażer na gapę. Leon kieruje bezmyślny wzrok na niebo, jednocześnie gęste i lekkie, jakby tam w górze mieszały się substancje trujące i odżywcze. Natomiast Hanna wlepia oczy w dachy kamienicy naprzeciwko. Wyrasta z nich liściaste uczesanie, nierówne ale gęste, bo za kamienicą jest park, w którym nie była od wielu miesięcy, a kiedyś bywała codziennie. Gładzi głowę, rzadkie, szpakowate igiełki wbijają się w opuszki. Gdyby mogła, powyrywałaby je z głowy jak chwasty. Zamiast tego dotyka liścia paprotki, rozciera go w palcach, rozmazuje na skórze. Napięte mięśnie, napięte stosunki. Zróbmy sobie oranżerię, proponuje Hanna, taką z paprotkami i papugami, niech nam śpiewają melodyjnie.

To będzie straszny hałas, mówi Leon. Hałas to jest u mechanika, Hanna nie odpuszcza, Hanna jak się na coś uprze, to nawet na bolących nogach będzie stać przy swoim. Zrywa zielony, zmarszczony farfocel, chowając go do kieszeni szlafroka, i powoli odchodzi, zostawiając Leona i Emila z oknem pełnym zmienności.

## 10

Niedziele są najgorsze, bo wydrażone pustkami. Salon i piekarnia zamknięte, tramwaje kursują rzadziej, do południa ruch na chodnikach niespecjalny. Do śmieci nie można podejść spokojnie, bo populacja siedzi w domach, w rozkroku między kuchnią a oknem. Nosy przy szybach, jakby wypatrywali dawnych kochanków. W niedziele chciałyby schować się głęboko w domu, ale dom to nie nora, nie schroni się w nim przed uświęconym rozmamłaniem. Za ścianą cisza. Przystawia ucho do drzwi Wiktolda, ale szybko je odlepia, jeszcze sobie głupek pomyśli, że ma do niego resztki łagodności. Zanim wyjdzie z domu, rzuca monetą. Robili tak z Emilem, gdy był mały. Pstryknięcie decydowało o biegu dnia. Liście dębu, jadań do centrum. Orzeł, przedmieście. Uwielbiał niemieckie piątki, okrągłutkie, z drewnianymi siedzeniami. Miały w sobie coś z luksusowych pociągów oglądanych w filmach przygodowych. W niedziele jeździły prawie puste. Biegał po wagonie, nie wiedząc gdzie usadzić chłopięcą energię, a ona obrywała połajanką od pokrytych elastanem starowin, że dziecko zaraz wyrznie i umrze, na miejscu.

Orzeł, przedmieście. Zbiega po schodach jak po urwistym zboczcu, i dalej, przez Pierwszą, jakby świat nagle się pochylił i spychał tych, którzy nie zostali w domu. Siada na końcu wagonu. Nic tak nie cieszy jak ostatnie wolne miejsca w tramwajach, gdy człowiek poci się z nerwów i brzydko pachnie, gdy makijaż rozbiegany a twarz niestaranna. Zamyka oczy i wyobraża sobie, że tramwaj zabiera ją w daleki rejs po odległych przystankach. Wjeżdża do zagadkowego tunelu, z którego na końcu wylania się wszechwiedząca zwrotnica. A potem już prosto, gładkim torem, dokądkolwiek.

Widzicie tę tamę bloków? Z zamyślenia wyrывa ją głos mężczyzny rozchodzący się po całym wagonie, do każdego i nikogo. Tama strzegąca brzegów miasta, żeby się dalej nie wylało, he he. Nikt nie zwraca na niego uwagi, ale Jaśmina patrzy na budynki. Faktycznie, prostokąt w prostokąt. Dzisiejsze miasta nie wymierają, mężczyzna zbliżając się do światopoglądowej esencji mówi coraz głośniej, nawet jak jedna część pójdzie do piachu, w jej miejscu odrasta coś nowego. No i ciągłość bytu zostaje zachowana! Nieśmiertelność! Pierdolec, w końcu wspólnota pasażerska nie wytrzymuje, nawiedzony, popieprzony, paranoik.

Wysiadają. Pętla, kawa z roweru, szyja do słońca. Kościelne dzwony i kino domowe. Bryłowatość chmur i eleganckie alejki. A między tym wszystkim chwile zwątpienia, ciężkie jak byle infekcja przy zawodnej odporności. Co stało się z energią Emila? Spotulniała czy zokrutniała? Gdzie kończy się wzrok Witolda zamkniętego w pokoju? Na oknie czy czubku własnego nosa? Co stało się z kobietą, która godzinami stała przy ścianie, złączona z telefonem spiralnym kablem? Gdzie te rozmowy, i gdzie te śmiechy? Dwa ujarzmione żywioły. Czyżby dokonała samozgaszenia?

Gdy zapada zmierzch, Jaśmina zanurza się w kontenerach, po same łokcie. Zielona zakrętka zapewnia: czas to tylko rzeczownik. Chowa ją do kieszeni. Kropla potu spływa między piersiami, zatrzymuje na koronkowej kokardce. Zaraz dokopie się do jądra ziemi. A potem wracają słowa mężczyzny, nawiedzonego, popieprzonego, paranoika. Ciągłość bytu. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. I znowu powstaniesz, i znów się obrócisz. I tak do usranego końca świata.



# Kamila Cebulska:



Jaśmina i Witold mieszkają na Pierwszej, choć ta wcale pierwszą w mieście nie jest. Kiedyś byli małżeństwem, ale już nie są. Kiedyś próbowali zbudować dom, ale z tej próby pozostało mieszkanie podzielone na pół, zamknięte pokoje i otwarta wrogość. Wymuszone sytuacją ekonomiczną dzielenie mieszkania jest karą za nietrafione wybory. Pozostała im jeszcze tylko jedna próba pogodzenia się z przeszłością, ale i to wydaje się nieosiągalne. Kierowani złością i poczuciem osamotnienia popadają w coraz większe dziwactwa. Jaśmina zagraca swój pokój przedmiotami wyszukiwanymi po nocach, po śmieciach. Witold rezygnuje z mówienia na rzecz notatek zapisywanych w zeszytach. Jest pewien, że kiedyś osiągną historyczną wartość i będą przestrogą dla innych.

Jaśmina z Witoldem nie zawsze byli jedynymi lokatorami na Pierwszej. Kiedyś mieszkał z nimi ich syn, Emil, ale już nie mieszka. Kiedyś, gdy mieszkanie zostało podzielone na pół, jego przestrzeń zawężała się do kilku kuchennych metrów. Dziś jest dorosłym mężczyzną, mieszka w innej dzielnicy, z Leonem i jego chorą matką, pracuje w państwowej instytucji. Ułożone życie nie chroni go przed tym, by czuć się jak mebel, który można przestawiać z kąta w kąt.

Główne postacie tej powieści tak naprawdę są antybohaterami. Boją się zmiany i podjęcia działań, które mogłyby taką zmianę przynieść. Czekają, aż los sam podsunie im rozwiązanie i wybawienie. Może choć jedno z nich na końcu okaże się bohaterem?

---

Tekst wyróżniony

---

**Sonia Pohl *Kurort***

---

**Filip Modrzejewski:**

Powieść *Kurort* będzie bogata literacko. Sonia Pohl biegle wykuła i obrobiła pomysł na prozę, oryginalny i frapujący, z motywem: wyspy, wygnania i tożsamości etnicznej. Mieszka autorka gatunki – a potrafi jak mało kto! – i daje im dość do głosu w historiach trzech postaci. Narzędzia fabularne stosuje z wyczuciem, a dzieje tego, co było, i tego, co dopiero nadchodzi, łączy z opowieścią o artyście i starą legendą, z rysowaniem mapy fikcyjnej krainy i malowaniem obrazem. W nadmorskim kurorcie i jego historii zobaczymy cały świat.

# Kurort

[Hrabia]: **Biel**

Tej zimy lód wgryzł się kilometr w głąb morza. Nierówne płyty fal leżały na brzegu niczym martwe fok. Na próżno rozstawiałem sztalugę. Na horyzoncie nie było niczego, na czym można by zawiesić wzrok. Zabielony podkład nie odróżniał się od krajobrazu. Na zasypaną bielą plażę bezustannie prószył śnieg. Niebo łuszczyło się jak stary werniks, ale nie znałem sposobu, by ten pejzaż oddać. Morska bryza skuliła się gdzieś pod lodem.

Ostatnio nie docierały żadne wiadomości. Wydawało się nawet, że nas, mieszkańców tej pojedynczej łezki lądu nic już nie spotka. Byliśmy daleko od miejsc, gdzie przesądzały się losy ludzkości. Od kontynentu oddzielała wyspę rozwidlająca się rzeka i kilka jezior, od północy oblewało ją morze. Tu, na cyplu świata, miałem nadzieję na wieczny urlop i czułem się bezkarnie wyłączony z tego, co działo się poza granicami wyspy. Nic mnie to zresztą nie obchodziło. Gdyby nie porcjowany prowiant, wymieniany z lądem za skrzynki mrożonej ryby, i tych kilku mężczyzn, których ubyło, bo zaokrętowali ich na wojskowe statki, nie poznałbym różnicy.

Cykle przyływów i odpływów pozostały właściwe dla żywota wyspy: latem kurort pachniał opaloną od słońca skórą, a zimą ludzie cofali się z powrotem w głąb lądu.

Ostatni przyływ wypluł na brzeg niemal samych wojskowych. Przyjeżdżali do kurortu na przepustki. W tych samych mundurach wchodziłi do restauracji, siadali w muszlach koncertowych, spacerowali po plaży. Długo zrzucali strój, żeby z ulgą wbiec do wody. Nurkowali odważnie, jakby wróg mógł zaić się wszędzie, nawet na wakacjach. Wycierali się bez wstydu, niespiesznie, ale zaraz powracali do swoich strojów, jakby powołanie wzywało ich z powrotem w sploty wysokogatunkowej bawełny. Żal było

na to patrzeć, jeszcze gorzej zawieruszyć się tuż obok takiej przepoconej tkaniny na wszystkie okazje. Zastanawiałem się, ile mogą mieć przy sobie jednakowych kompletów i czy trzymają je poskładane w osobne pakunki, żeby się nie pomylić. Wille przy promenadzie były przepełnione jak zawsze, restauracje serwowały sznyce, filety z dorsza i wędzone szczupaki. Muszla koncertowa wypełniała się głosami śpiewaczek. Przyjezdni krążyli między kawiarnią na Kaffebergu a Kurhausem, zażywali tych samych borowinowych kąpiel. Tego lata pito tyle samo wina co zwykle, jeśli nie więcej. Zaopatrzenie przybywało razem z nimi wagonami i trzeba to było wpierw rozładować, za co podobno płacono całkiem przyzwoicie, bo nasz Frank i nasza Rosa prosili o zwolnienie w dniu, gdy pociąg pełen mundurów i kartofli wjeżdżał na peron.

Unikałem zgielku. Przerazał mnie tłum letników, który co roku wysypywał się ze statków wycieczkowych. Ograniczałem się wtenczas do spacerów po wschodzie słońca, kiedy plaże były puste. Wieczorami wychodziliśmy z Marią na koncert, lecz kiedy pojawili się mundurowi, na dobre zrezygnowałem z wyjść z pracowni. Wszyscy wydawali mi się kwadratowi, bowiem przez wszystkich bez wyjątku przemawiało nieznoszące sprzeciwu przekonanie, a ja, wiedząc, że rama obrazu to tylko umowna granica dzieła, nie mogłem się na tak brutalne przedstawienie świata zgodzić. Odmawiałem więc udziału w wieczorach towarzyskich, co moja Maria odbierała jako cios wymierzony w jej potrzebę kontaktu z ludźmi. Potrzebę nabrzmiałą przez nagromadzoną zimą samotność.

Pierwsze dni września przynosiły mi ulgę. Pociąg ze stacji odjeżdżał wraz z ostatnimi kuracjuszami. Dla marynisty liczy się tylko jesień i wczesna wiosna. Morze zaczyna się uginać, porusza się po dziwacznie regularnych łukach, połyka cienie, a z jego pyska bije piana jakby spuszczone je ze smyczy. Wtedy nareszcie odzywała się jego wolna natura. Zdawało mi się wręcz, że ją rozumiem, że odczytuję to z kolorów nabłonka, z algowej skóry morza, z jego bydlęcych ruchów, posuwistych i pewnych. Jesienią zaczynałem więc kilka, jeśli nie kilkanaście różnych płócien. Wędrowałem po wyspie, żeby bestię naszkicować

z każdej strony, ażebym zimą miał co robić. Zima to pora na utrwalanie. Biel bowiem nie interesowała mnie zupełnie. Tak jak i wszystko, co działo się poza wyspą, na tak zwanym ojczystym lądzie.

Kłóciliśmy się o to z Marią coraz częściej. Kiedy dzień rozpoczynał się wyjątkowo podle i ziemia aż trzaskała z zimna, żona moja zaczynała swój wywód już przy porannej toalecie. Udawałem wtedy, że bardzo pilnie muszę pomówić z Frankiem albo wychodziłem na szybką rundkę po zdrojowym parku. Wolałem wystawić się na pastwę srebrnego, ciężkiego powietrza, niż rozmowę, która mogła ciągnąć się do nocy. Maria miała jednak tę niepojętą dla mnie umiejętność kontynuowania wyvodu w miejscu, gdzie go ostatnio przerwałem, nawet jeśli wypowiedziała tylko jedno zdanie, które zaledwie otarło się o mnie, musnęło skrzydełkiem moją małżowinę, a ja strącałem je jak muchę. Jeśli zaczynała przy posiłku, odpierałem jej ciosy równomiernym pobrzękiwaniem łyżki o półmisek, a moje tłuste milczenie zdawało się rozjuszać ją jeszcze bardziej.

Dopóki tylko nasze głosy ścierały się w tych pojedynkach, spór pozostawał nierozstrzygnięty. Maria nalegała, bym koniecznie zrobił coś, co by nas z tej niecki fałszywego, jak go określała, spokoju, przywróciło rzeczywistości, jakoby pełniejszej i prawdziwszej na stałym lądzie. Żądała, bym ją oddał z powrotem życiu, bo ta wyspiarska cisza zatapiała ją w odmętach Morza Wschodniego, a ona czuła się jak wrak na mieliźnie, wystawiona na pastwę powolnych ruchów piasku. Słowem, namawiała mnie do natychmiastowej ucieczki. Ja jednak na myśl o opuszczeniu mojego siedziska przy oknie pracowni dostawałem zawrotów głowy, które nieleczone przeradzały się w okropne migreny, wyłączając mnie z pracy na dzień lub dwa. Próbowałem tłumaczyć się tym, że nie sposób podjąć decyzji, nie znając wpierw całego obrazu (przecież dochodziło do nas ostatnio nic lub niewiele), lecz Maria buchała na mnie jak piec przy gwałtownym dopuszczeniu tlenu.

Tej zimy z zewnątrz docierało rzeczywiście niewiele. Było tu góra pięciuset wyspiarzy. Wiadomości szły z ust do ust, zataczały

kręgi, aż zaczęły się powtarzać i kiedy zorientowaliśmy się, że tak naprawdę nikt nic nie wie, w mieście zapadła dziwna cisza. Było zresztą tak zimno, że człowiek żałował pary z ust wypuszczać. Lód na rzece wydawał się gruby, ale nikomu nie przyszło do głowy, by się po nim poruszać. Prasa nie dochodziła, listów nie było. Telegramy, jeśli już się pojawiały, kierowano do władz, a z władzą nie chciałem mieć żadnej styczności. Nie było wyjścia. Trzeba było czekać na roztopy.

Sprawy przybrały jednak inny obrót, kiedy na polu naszej domowej wojny Maria znalazła sobie nagle sojusznika.

Zszedłem rano do kuchni, gdzie Rosa czekała na mnie z filiżanką wrzątku. Woda parowała. Obserwowałem, jak jej wirująca mętność rozwiewała się stopniowo jak mgła na wrzosowisku. Kilka minut czekałem w ciszy, aż całkiem opadnie. Od tego zwykle zaczynałem dzień – od kontemplacji przeźrocza, które przybrało postać bezbarwnej cieczy. Uznawałem je za najwyższą malarską świętość, nieuchwytnie piękno, mieszczące w sobie wszystkie barwy, a jednocześnie nie pokazujące żadnej.

Wtem jakiś głos charczący z salonu. Wzdrygnąłem się. Przeźrocze wyszło z brzegów naczynia i poparzyło mi palce.

– Cóż to?

– Radio, hrabio.

Rosa zmarszczyła nos, patrząc na moje poparzone dłonie i zaraz pokryła je mokrą krepą. Materiał przyległ do kościstych palców, którymi tego dnia, wiedziałem o tym, już niczego nie namaluję. Wpadłem więc w złość podwójnie.

– Hrabina dostała od księdza i kazała postawić na kominku. Teraz będziemy wiedzieli, co słyhać. Wspaniale, prawda?

Nieprawda. Uważałem raczej, że każdy kontakt ze światem zaśmieszał mi głowę i tym mniej miałem szans na jej swobodną eksplorację. Lecz wiedziałem, że ojciec Rosy przebywał poza wyspą i martwiła się o niego. Tylko dlatego nie kazałem jej tego radia wyłączyć.

Odtąd w naszych ścianach zaczął rozbrzmiewać głos niczym impertynent nigdy nie pytany o zdanie, wygłaszał je w najważniejszych dla hrabiny kwestiach. Szala zwycięstwa

w naszych domowych potyczkach zaczęła nieuchronnie przechylać się na jej korzyść. Maria nareszcie mogła ustosunkować się do tego, jak się nasza sytuacja rzekomo przedstawiała. A przedstawiała się nie najlepiej, o czym od dawna chciała mnie przekonać, a głos przyniósł jej ostateczny dowód i sama sobie przyznała rację. Momentalnie spuchła, nadęła się jak balon dumna ze swojej intuicji, która podpowiadała jej przecież dużo wcześniej to wszystko, co teraz dobiegało jej uszu, a przed czym ona usiłowała mnie ostrzec, jakbym był człowiekiem, na którego los spada niczym gład, a on stoi w miejscu, patrząc w inną stronę. Bo istotnie, dni całe spędzałem na spoglądaniu w morze.

Rozdmuchanie unosiło ją do góry, a jej lekkość wypychała ją po schodach na poddasze, gdzie miałem pracownię. Śmieiej przerywała mi pracę.

– Idą tu – rzuciła mi zdanie pod nogi niczym granat, kiedy wtargnęła do pracowni, żeby się ze mną ostatecznie rozmówić – a ty nie robisz nic.

Co miałbym zrobić?

– Patrzysz w to okno, jakby było ze złota. Wychodzisz tylko, żeby nabrać w płuca jodu i znów się tu zamykasz. Dlaczego nie da się ciebie stąd ruszyć? – Jej ręce dramatycznie zawisły w powietrzu, nienaturalnie podciągnięte powyżej pasa, jakby coś rzeczywiście unosiło je ku górze wbrew jej woli.

Ile w niej było teatralności, ile sił wkładała w to, by mnie przekonać do swego. W tej nieprzebytej bieli, która wyspę zakleszczała z każdej strony, byłem jej jedyną publiką.

– Tam mamy majątek, przecież dałoby się...

– Zarekwirowane.

– Tu nas czeka to samo! Możemy jeszcze wyjechać!

– Przez lód?

Staralem się uścielić język miękko, by głos brzmiał jak spuchnięty od troski, ale ton, który się ze mnie wydobył inny był, niż go zamierzałem ułożyć. Dosłyszałem w sobie cynika, który dodać miał zaraz: już, zaprzęgaj sanie! Kufry na powóz, pędźmy!

Przypomniało mi się podanie o pewnej karczynie prowadzonej przez starą piratkę. Rzekomo stać miała gdzieś pośród wód

między naszym brzegiem a Wilczą Wyspą, skąd dociera do nas światło latarni. To jakieś czterdzieści kilometrów stąd.. Zimy były tutaj niegdyś tak mroźne, że zamarzała duża część morza. Jeśli wierzyć rycinom, dało się po lodzie przejść jeszcze dalej, docierając na północny brzeg Wschodniego Morza. Studiowaliśmy z dziewczynkami te mapy, gdy czytałem im do snu morskie legendy. Papier przedstawiał skuty bielą ląd pokryty nierównymi płytami bezpiecznego, grubego lodu, które obrysowane były kreskami, jakby stanowiły osobne krainy. Trasy prowadzące z reguły z południa na północ zaznaczono drobnymi kropkami. Między naszym brzegiem a cyplem przeciwnego lądu, na samym środku lodowej pustyni rysownik czarnym, grubym punktem zaznaczył położenie karczmy. W innych księgach istniały podobne mapy Lodowego Morza, a punkt ten zmieniał swoje położenie, jakby karczma powstawała w zależności od warunków, dopasowując się do granic lodowych krain. Podążając za światłem latarni na przeciwległym brzegu, zawsze można się było do niej dostać.

Huk zwrócił mnie ku pracowni. Maria w furii rozrzucała pędzle, fiolki z farbą, mieszalniki. Na parkiecie kałuże akrylu i olei nakładały się na siebie. Podniosłem się.

– Wyjdź.

Nie usłuchała. Otworzyła okno i w szarpiącą biel wyrzuciła kilka rolek szkiców. Miałem nadzieję, że zdążą zamarznąć, nim opadną, zawilgną na puchu i pójdą na marne – wrzesień, październik i wczesne dni listopadowe.

Złapałem ją za ramię. Jej policzek, łososiowy z nerwów, pokrył się plamkami niczym muchomor. Nie zapanowałem nad ręką. Nie panowałem już nad sobą.

Opadłem na siedzisko zmęczony i zrezygnowany.

– Pojedziecie.

Werdykt wylazł ze mnie podobnie jak muszla wylazi z morza – rzucona na brzeg przez zęby pieniających się fal.

\*

[Rita]: **Sznurki**



Zawiązałam dwa supełki. Tym razem powinno zadziałać. Jutro zbudzę się i będzie po wszystkim. Nieco mi żal. Po starym będzie dziura, wiadomo. Trochę czasu minie, zanim coś mi w tym miejscu wyrośnie, ale nie o to się martwię najbardziej. Boję się, że nie zdążę zasnąć, obrócę się i poczuję, co się ze mnie wyrывa. Dlatego udaję skałkę w morzu i wyobrażam sobie, że zasypiam. Zamykam oczy. Szumi mi w głowie. Ciekawe czy ryby śpią i czy muszą się do czegoś przywiązać, żeby nimi nie rzucało. Łóżko okropnie skrzypi, choć nawet nie drgnęłam. Nie, to nie tak. Nie mogę być skałą. Za bardzo kołysze. Może to statek na kotwicy – łóżko pływa zanurzone w powietrzu, trzyma je tylko sznurek i te dwa supełki wokół mojego ruchomego zęba. Za chwilę statek odpłynie i więcej się z zębem nie zobaczymy.

Kiedy byłam mniejsza, tatuś był jeszcze z nami. To było jeszcze zanim przyszedł list i go zabrał. Listy mają straszną moc, skoro potrafią zabrać ludzi na długi czas i nic się nie da zrobić, zostaje tylko czekać na kolejny, ten dobry list, który zapowiada powroty. Tak mówi Emma. Nie wiem, ile tak już czekamy. Muszę za każdym razem sprawdzać i pytać, ale ani Emma ani Hilma nie lubią odpowiadać. Kręcą nosami, obie tak samo mówią: Rita, daj już spokój, przecież stawiasz kreski, policz sobie. Ale ja się w tych kreskach dawno pogubiłam. Bo kreskę stawiam sobie za każdym razem, kiedy mi się tatuś przyśni. Trzymam tatusiową książkę, jedną z jego ulubionych. Blisko, pod poduszką. Żeby była pod ręką, kiedy się obudzę. I zaraz, kiedy go spotkam, zapisuję na ostatniej stronie, żeby wiedzieć, ile tatusiowych snów już minęło.

Hilma nie liczy. Naśmiewa się ze mnie, że to głupie. Ale Emma też sobie stawia kreseczki. Wiem, bo mi pokazała swój zeszyt. Emma w ogóle jest miłsza, czasami do mnie przychodzi wieczorem, zwłaszcza, kiedy zimno i tęskno. Razem sobie wtedy płaczemy. Hilma chyba nigdy w życiu nie płakała. Przypomina mi pancrzyk leśnego żuka, wszystko się od niej odbija – niebo, ziemia, przeróżne kolory i cały świat, nawet ten smutny.

Liczenie jest trudne, ale pamiętanie trudniejsze. Dlatego

pogubiłam się w zapisywaniu. Zapomniałam zapisać kilka tatusiowych snów, a tak się dzieje czasem, kiedy coś widzę za oknem albo kiedy Emma rano woła i wstaję od razu, czyli za szybko. Za szybko, bo nie stawiam kreseczki. Powtarzam sobie potem przez cały dzień, żeby na pewno zapisać, że mi się coś przysniło, ale boję się, że coś przegapiłam. Czasami sny wypadają mi z głowy, zanim je w ogóle zapamiętam. Emma mówi, że to normalne, bo sny to latawce na cienkich, długich nitkach i trzeba je wszystkie mocno trzymać, żeby nie zjadła ich chmura. Jeśli tak, to ostatnio wszyscy wokół o wszystkim zapominają, bo chmur jest całe mnóstwo i ciągle pada.

Odkąd taty nie ma, Emma się nami opiekuje, w końcu jest z naszej trójki najstarsza. Mówi, że tego nie lubi, zwłaszcza nie lubi nam rozkazywać, ale czasem trzeba coś zarządzić. Hilma nie zawsze słucha. Na przykład wtedy, kiedy trzeba iść po drewno do lasu. Mówi, że mamy sobie radzić same, bo ona jest zimnolubna i jej to nie jest do niczego potrzebne. Ja nie mam odwagi Emmie odmówić, chociaż las nie jest moim ulubionym miejscem, bo czasami krzaki się ruszają i wtedy zawsze myślę, że to olbrzym.

Podobno mało już ich zostało w tych lasach i dlatego są samotni. Tatuś mi czytał z książki, a teraz czasem Emma to robi, jak już się wszystkie zajęcia od jej rąk odkleją. Zawsze najchętniej wracam do olbrzymów, bo jest mi ich żal. Zwłaszcza tego, który mieszkał niedaleko, miał grotę w Kaffebergu i żył sobie spokojnie, zanim go ktoś z miasteczka wreszcie zauważył. Pech, że akurat podczas drzemki. Bo tak to jest, że jak się taki duży stwór naje jagód, to mu się od razu chce spać, a że cały jest od tego brudny, to można sobie różne rzeczy pomyśleć. Ktoś go musiał w tym stanie zobaczyć i uznać, że to krew spływa mu z pyska. Zwołali więc wszystkie najgorsze duchy, żeby olbrzymy wypędzić, ale nic to nie dało, bo duchy nie robią na olbrzymach wrażenia. Trochę się to ciągnęło, aż wreszcie przywędrował do miasteczka sam diabeł. (Jeden z tych ziemskich, bo są jeszcze morskie, ale o tym kiedy indziej, bo znów zapomnę, co było dalej). Więc diabła zwabił duży kąsek, bo nie o zwykłego człowieka chodziło, ale o wielką, prostą duszę niczym duży, wyprasowany obrus. Z takiej porcji materiału można zrobić dużo więcej, tkaniny starcza na płaszcz

albo diabelskie szaty, albo inne rzeczy, które z tego robią. Nie wiadomo, jakie tam mają pomysły.

Żeby olbrzyma do siebie przekonać, diabeł przybrał postać olbrzymicy i zaczął go z groty wywabiać. Pokazywał się nieśmiało i z daleka tyle razy, by tamten uwierzył w istnienie drugiego (wbrew swojej wielkiej mądrości, mimo że wiedział przecież, iż jest ostatnim olbrzymem w tych lasach). Przykra to była melodia. Diabeł śpiewał wprost do samotnego serca olbrzyma. Kilka dni mu umykał, ale olbrzym na dużych palcach biegał szybko i wreszcie diabła dogonił. Kiedy olbrzymicę w objęcia złapał, z diabła spadło przebranie. Chichotał długo i złośliwie, aż drzewa stroszyły liście. Mógłby go może jeszcze olbrzym powalić, przegonić, ale na gniew było za późno. Diabeł go oszukał, a kiedy sobie o tym pomyślał, zupełnie stracił siły. Serce miał złamane. Potem nikt już olbrzyma w pobliżu nie widział. Mówią, że diabeł wykopał w ziemi dziurę i olbrzyma za palec u nogi złapał, przez dziurę pod ziemię za sobą wtargał.

Więc jakbym olbrzyma w krzakach zobaczyła, to strach i w krzyk. Wiadomo. Ale tak naprawdę by mnie to spotkanie ucieszyło. Chciałabym, żeby olbrzym ocalał, żeby ktoś jeszcze mieszkał w grocie na Kaffebergu. Żadnej groty tam co prawda nigdy nie widziałam, ale nie byłam jeszcze z drugiej strony, tej od morza, a Emma nie pozwala mi się zapuszczać samej w las.

Mieszkamy nad piekarnią, prawie zawsze pachnie drożdżami, ale mi to nie przeszkadza. Pokoje są niewielkie, ale jest ich kilka. Emma i Hilma śpią razem. Jeden pokój był tatki, tam jest półka z biblioteczką, lampka i biurko, na nim dużo map. Tatko rysował ich tyle, aż się ich uzbierał cały album. Wychodził na plażę ze swoimi linijkami i okularami. Mówił, że mierzy wysokość fali i dzięki temu potrafi powiedzieć, skąd przyszła. Dziwne mi się to wydaje, żeby wzrost coś mówił o przebytej drodze, bo przecież różnie to bywa, zwłaszcza na morzu. Ale to myślę sobie już teraz, kiedy tatki nie ma, więc nie mogę go o to zapytać. Emma nie lubi rozmawiać o morzu ani o takich rzeczach, a Hilma by mnie wyśmiała. Jak zawsze.

Była z nami kiedyś jeszcze Hanne, ale już prawie o niej zapomniałam. Wyjechała stąd, jeszcze zanim pojechał tatuś. Podobno do pracy. Wysyłała nam co roku kartkę, a w środku zawsze inny wierszyk, pisany odręcznie, bardzo równo i ładnie. Ale nie było jej już długo i gdyby nie zdjęcie, to nie pamiętałabym nawet, jak wygląda. Hilma mówi, że Hanne uciekła z domu, bo nie mogła znieść tej ciasnej, małej wyspy i że to było jeszcze przed tym, jak zmarła Mutti. Emma wtedy depcze Hilme z całej siły po stopach, jakby to stamtąd się z Hilmy wydobywały wszystkie rzeczy, których nie powinna mi mówić. Emma dopowiada, że wcale tak nie było, że Hanne po prostu miała „ambicje” i dostała „szansę”, a wiadomo, że szanse to nie są muszle wypluwane na brzeg, tylko bursztyny schowane w piasku, które trzeba samemu odkopać. Więc pytam (grzecznie, wiadomo), czy w takim razie Hanne pracuje w kopalni bursztynów, ale Emma fuka, ścierką zahacza o blat, patrzy na mnie dłuższą chwilę (nie rozumiem, czemu kopalnia bursztynów wywołuje w niej złość, więc może to wcale nie złość, ale może zazdrość). Pytam więc, czy zazdrości Hanne tego, że codziennie nadziewa bursztyny komarami i potem wszyscy się zachwycają. Ale Emma nie odpowiada. A potem przez cały tydzień albo więcej nie ma czytania ani tęsknienia.

Dochodzę do wniosku, że bursztyny to wrażliwy temat.

# Sonia Pohl:

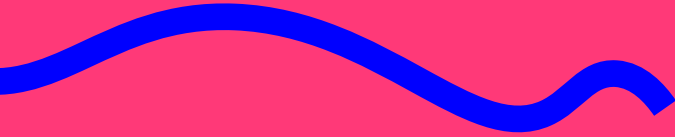
Przyływ–odpływ. Fala za falą.

Mieszkańcy nadmorskiego kurortu są przyzwyczajeni do zmian, jakie niosą pory roku – latem wyspa zaludnia się, zimą zostają tu tylko rdzenni wyspiarze. Nikt nie spodziewa się jednak, że właśnie dobiega końca znacznie większy cykl, a za tym idzie konieczność niemal kompletnej wymiany ludności. Na kontynencie kończy się wojna i jej skutki dotykają miasteczko. Jedni opuszczają je w pośpiechu, inni, choć mniej liczni, pozostają. Na wyspę wkrótce przybywają nowi.

Te zmiany obserwujemy oczami trojga bohaterów: Hrabiego, Rity i Lutka, którzy znajdują się w zupełnie różnych okolicznościach i są na innych etapach życia.

Hrabia pochodzi ze starego świata i niespecjalnie podobają mu się rozszady w ustalonym porządku. Zawierowania przeszkadzają mu w pracy, więc stara się im oprzeć. Poświęca dobro rodziny i swoją wygodę, żeby pozostać na wyspie i nadal malować ukochane morze. Zaprzyjaźnia się z oficerem, a kiedy wreszcie dostaje od niego pozwolenie na pobyt, oddycha z ulgą. Nie wie, że to zaledwie początek problemów.

Rita to dziewczynka w wieku szkolnym, która czeka na powrót ojca. W międzyczasie znany jej świat zmienia się, a ona stara się za tym nadążyć. Nieuchronnie sama ulega przemianie – uczy się nowego języka, poznaje historię



i kulturę przybyszy. Wszystko, co znała do tej pory, powoli odchodzi w zapomnienie, a perspektywa opuszczenia wyspy coraz bardziej się oddala.

Lutek jest z tych, którzy przybywają z zewnątrz. Jego rodzina przyjeżdża tu skuszona obietnicami. Okazuje się jednak, że brakuje domów i żywności. Lutek z ojcem rozpoczynają organizację miasteczka od wywozu dotychczasowych mieszkańców. Chłopak boi się wody, a mimo to podejmuje pracę na kutrach, żeby nauczyć się połowu. Sprawy wreszcie zaczynają się układać, ale on nie rozumie jeszcze, że trzeba się nieźle natrudzić, żeby w piasku zapuścić korzenie.

Kurort to trzy dopełniające się historie, a każda z nich ukazuje zderzenie dwóch kultur – jednej w odpływie, drugiej w przyptywie. To opowieść o zmianie oraz o tym, jak różnie ludzie na nią reagują.

Jednocześnie narratorka oddaje głos wyspie. Historia tego miejsca opowiada się nie tylko przez narracje bohaterów, ale odbija się także w przywoływanych przez nich baśniach i legendach. Przypominają one o tym, że wyłącznie miejsce jest trwałe, a jego mieszkańcy to zaledwie przybysze, którzy kiedyś z pewnością je opuszczą.

---

Tekst wyróżniony

---

**Anna Słowiakowska-Polak *Luki***

---

**Paweł Goźliński:**

**Anna Słowiakowska-Polak pisze świetnie zapowiadającą się opowieść o dobrych kryzysach, o podróżach do źródeł własnych niespełnień, o otwieraniu i domykaniu relacji, o dojrzewaniu późnych, nie za późnych, decyzji. O kobietach, matkach, kochankach z bardzo bliska, może nawet i czule, ale bez złudzeń i ułatwień, językiem precyzyjnym i w odniesieniu do emocji, i ciał. Z *Luk* wyłania się dobra literatura.**

# Luki

[...]

## IGA

Dziewczynki biegną do bramy, odbijając się jedna od drugiej. W dalszym ciągu budzą zainteresowanie, dwie małe kserokopie. Iga i Robert dawno temu uznali, że nie będą ubierać ich tak samo, jednak siostry, mimo iż odrębne, niezależne, zawsze na końcu upodabniają się do siebie. Jeśli jedna wybiera płaszcz granatowy, druga pragnie podobnego kroju, fasonu, chociaż może w nieco innym kolorze. Coś je do siebie przyciąga, tak samo, jak odpycha. Nocami oddychają, uzupełniając sobie oddechy. W dzień jedna drugiej wydrapuje oko i podgryza gardło. Zbesztane i przywołane do pionu szepczą sobie do ucha jakieś mantry. Iga zawsze wtedy czuje się nieswojo. Wie, że w ich małym uniwersum się nie mieści. Że te zaklęcia są przeciwko niej.

Teraz dwie osoby na ulicy odwróciły się za nimi z uśmiechem i zainteresowaniem, ale one zdają się nie przejmować swoją podwójną mocą. Tylko Iga widzi, że starsza ma nieco lżejszy ruch, delikatnie unosi stopy, przeskakuje kałuże z finezją, bieg jest dla niej zabawą, radością. Odrywa się od świata, jakby nic jej tu nie trzymało. Ta młodsza dotrzymuje jej tempa, ale jej kroki zawsze są cięższe, roztropniejsze, jakby dźwigała na plecach pokazanych rozmiarów plecak, nosiła książki za siostrą albo może jej humory i docinki. Szybciej się męczy, sport sprawia jej raczej trudność. Iga z uwagą obserwuje jej ciało, które potrafi przybrać na wadze po kilku dniach na kolonii, gdzie je chipsy i kanapki z serem. Zastanawia się, czy kiedyś obie będą sobie zazdrościć. Młodsza starszej tej beztroskiej lekkości, starsza młodszej rozważliwej i przemyślanego dreptania po ziemi. Obie prawie równo dopadają domofonu i zaczynają dzwonić w nieskończoność, aż



Małgorzata w końcu otwiera i wtedy mogą zrobić hałas na klatce kamienicy.

– Moje małe aniołki, nic dla was nie mam, ani ciastek, ani cukierków, w ogóle dzisiaj nie wychodziłam do sklepu – Małgorzata przytula raz jedną, raz drugą wnuczkę.

*W ogóle przecież nie robisz sobie zakupów. Co ty bredzisz.*

– Dobrze, że nic nie masz, nie powinny jeść słodczy. – Iga rozpakuje naprędce zrobione zakupy. Chleb, mleko, kawa rozpuszczalna, śledzie w śmietanowej zalewie. Odruchowo sprawdza, czy ubyło tabletek w pojemnikach.

– To może wam zrobię tej, herbatki. – Małgorzata krząta się po kuchni. Ma wreszcie możliwość znowu być panią domu, wciela się w rolę, o której już zapomniała. Przypomina sobie wszystkie kwestie, zakłada fartuch, który wisi na wieszaku, chociaż przecież nic nie gotuje. Zapala wszystkie światła w kuchni, żeby było ją lepiej widać. To znowu ona. Dziewczynki już są w salonie i odpalają kreskówki na telewizorze.

– Okropnie tu śmierdzi, jak możesz palić przy wszystkich zamkniętych oknach. – Iga rozsuwa zasłony, wie, że będzie musiała wykapać dzieci wieczorem, bo całe przejdą zapachem papierosów. – Przecież uwędzisz wnuczki.

Jeśli nie trafi do rozsądku, to może chociaż do serca.

– Jak ty się do mnie przy nich odzywasz! – syczy Małgorzata i nastawia czajnik. Robi to w tym swoim fartuchu. Ma ugotować wodę na herbatę, przygotowania jak do obiadu.

Iga dostrzega, że w dwóch buteleczkach kończą się leki, zapisuje w kalendarzu: Odnowić recepty: Małgorzata. WIZYTA U PSYCHIATRY?

– Nie wiem, gdzie te herbaty – rozkłada żałośnie ręce Małgorzata. Kapituluje. Nie zapamiętała jednak roli.

– Lewa szafka, pierwsza półka – mechanicznie odpowiada Iga, otwiera kosz na śmieci i zauważa w nim butelkę po winie i kilkanaście zgniecionych zdjęć. Wyciąga je i czyści z obierek.

– Co to jest, mamó? – Na fotografiach stoją jacyś obcy ludzie, niektórzy mają powycinane twarze. Gdzieniedzie ktoś dopisał „nie” albo „żegnam”. Nie jest pewna, czy to krój pisma jej mamy, bo litery są bardzo nierówne, wręcz dziecięce.

– Zostaw to. Zostaw to natychmiast. Robię porządki, a ty mi grzebiesz w śmieciach.

– A czyje jest wino?

– Wino też jest moje, Liliana mi kupiła, bo ją poprosiłam.

– Mieszasz wino z lekami?

– Mieszam sobie to z owym, i nic ci do tego.

– Przecież rozwalisz sobie wątrobę. Jesteś kompletnie nieodpowiedzialna. Trzeba cię pilnować na każdym kroku. Ciekawe, co jeszcze popijasz.

– Gównó.

Małgorzata wali szafką z całej siły, odpycha Igę i ostentacyjnie wychodzi z kuchni. Idzie do mniejszego pokoju, gdzie zapala papierosa. Iga rzuca okiem na dziewczynki w salonie, są tak pochłonięte latającą wróżką, że nawet nie usłyszały awantury. A może też nawet do niej przywykły. Iga powoli wchodzi do pokoju, widzi, że Małgorzata jest roztrzęsiona. Pali łączywie papierosa, wdycha do płuc jak najwięcej, nagle jej oczy stały się mętne, zauważa na sobie fartuch i jest zdziwiona. Iga już wie, że Małgorzata znowu wskoczyła w inną rzeczywistość, krzyk, złość, może uderzenie szafki obudziły ją w innej przestrzeni. Nie wie, dlaczego jest w fartuchu, nie wie, dlaczego krzyczała i czy w ogóle krzyczała, pewnie nawet nie wie, że za ścianą są wnuczki. Robi się mała, mniejsza niż przed chwilą, a jej cienie pod oczami rosną i rosną jak dwa ciemne jeziora, w których tonie. NAPADY AGRESJI – Iga przypomina sobie hasła ze stron internetowych.

– Mamusiu, spokojnie nic się nie stało. – Iga stoi przed nią, a w rękach trzyma zdjęcia. Z jednej strony chciałaby dać temu spokój, załagodzić sytuację, ale te zdjęcia będą ją pewnie prześladować, zada sobie zbyt wiele pytań.

– Jakie zdjęcia, kochanie?

*Oho. Teraz jesteśmy w tym miejscu. Mamusia i córka.*

– Ach te. No widzisz, tu jest Hanka, moja najlepsza koleżanka po studiach. Och, myślę, że już dawno nie żyje. Tu Marek, mój kolega. – Małgorzata rozsiada się w fotelu. Zakłada nogę na nogę i pali. Popielniczka po prostu tu jest. Jak zawsze.

– A ci powycinani?

– Jeśli są powycinani, to nie byli ważni. Nie wiem. Nie wiem, no powycinani, nieważni.

– Teraz ich powycinałaś? – Iga siada na fotelu i ogląda uważnie zdjęcia. Nigdy ich wcześniej nie widziała.

– Powycinałam tych, których nie pamiętałam. To znaczy właśnie pamiętałam, wiedziałam, że powinnam pamiętać, ale że nie pamiętałam, to się tak zdenerwowałam, że powycinałam – Małgorzata nagle jakby otworzyła drzwi do wczorajszego dnia, jakby odtworzyła jednak zaginioną taśmę. Iga nawet gdzieś w głębi się cieszy, że Małgorzata pamięta, że nie zwała tego na Lilianę czy inne siły wyższe. Nie ściąga tu podstępnych sąsiadek, księży i kosmitów. Ona wycięła.

– No więc napiłam się wina i chciałam oglądać zdjęcia. Ale te wszystkie gęby, nie dość że młode, że ładne, to wiele z nich nic mi nie mówiło. Niektóre aż mnie swędziały, patrzę na nie i wiem, że powinnam wiedzieć, nie można sobie, Iga, ot tak, zapomnieć, jak się kogoś kochało, lubiło. Chcesz papierosa?

– Nie palę mamo, od kilku lat cały czas nie palę.

– Nie można tak nie pamiętać, jak ktoś był dla ciebie ważny. A tu dupa, gówno. Nie ma nic. Więc wycięłam. Nalałam sobie wino

i wycięłam, jak nie potrzebowałam.

Iga przygląda się mężczyźnie bez głowy. Może to on, kto wie. Ale go wycięły już dawno, więc nawet nie pójdzie do kosza szukać tej głowy. Niech leży w śmieciach. Zresztą widziała tam popalone skrawki, więc może i jemu gęba płonęła. Szkoda, że nie obierają ziemniaków, leżałby jeszcze mordą pod obierkami.

– Zresztą sama powiedz? No, powiedz, Iga – Małgorzata zbliża swoją twarz do córki, ale jakimś wyuczonym odruchem, o którym nie musi pamiętać, papierosa przekłada za plecy. – No nie chciałabyś czasem tak sobie ludzi po prostu powycinać?

Małgorzata traktuje to jak dobry dowcip. Odchyła się i bierze duży buch papierosa. Zaciąga się aż do samego końca płuc. Trochę kaszle.

– A ta? – Iga wskazuje na piękną kobietę, która stoi koło młodej Małgorzaty.

– A, to Lonka, och, piękna to była baba, piękna kobieta. Mądra, elegancka, z innego świata. Córka profesorowej, wiesz, jak mi to wtedy imponowało. A ona jednak z nami się na praktykach trzymała. Rączkę z papierosem trzymała o tak, nóżkę na nóżkę, nawet jak była w gumofilcach. Lonka. A potem skończyła jak stara wariatka, – Małgorzata gasi papierosa. – Czyli zupełnie jak ja, córeczko. Sama przyjechałaś?

Potem jedzą we cztery szarlotkę. Małgorzata ucieszyła się na widok wnuczek po raz drugi, po raz kolejny i kolejny zaproponowała im herbatę, zapytała Igi, gdzie jest – lewa szafka, pierwsza półka. Iga kolejny raz sprawdza dla pewności, których leków brakuje. Dziewczynki robią salta i obroty, żeby pokazać czego się nauczyły, a Małgorzata klaszcze. Jest najlepszą widownią, bo każdy pokaz wnuczek jest dla niej tym pierwszym, najlepszym i najważniejszym. Wszystkie występy, którymi znudzona jest Iga, dla Małgorzaty są premierą. Wypijają herbaty, a Iga w międzyczasie sprawdza dokładnie, czy gdzieś nie stoi jakaś butelka wina, znajduje jedną w barku. Jedną jedyną, z zakrętką, żeby Małgorzata nie musiała się siłować z korkiem. Ale jej nie zabiera. Wieczorem nie ma siły umyć córek, a niech sobie śmierzdzą. Wła-

ściwie sama wychowała się regularnie wędzona przez mamę, ciotki, koleżanki koleżanek, kolegów, wujków. Sama zaczęła palić dość późno, bo dopiero w liceum, a nie już w podstawówce. Jakoś mimo wszystko nie ma raka płuc, a regularne kontrole u lekarza tylko to potwierdzają.

– Dzieci śmierzdzą. – Robert staje koło niej w kuchni. To drugie zdanie dzisiejszego wieczora, które do niej powiedział.

– Śmierzdzą, bo są dziećmi. Śmierzdzące, ale szczęśliwe, czy jakoś tak – odpowiada Iga i nalewa sobie lampkę wina. Rozpina pasek w spodniach, uwalnia żebra, pozwala, żeby brzuch nieco sterczał. Odrobinę.

– Śmierzdzą papierosami. Jak dwie małe popielniczki.

– Jutro się wywietrzą w parku. – Iga czuje, że czerwone wino pozwoli rozwiązuje jej wszystkie gorsety, zdejmuje z niej ubrania szefowej, rozplątuje fartuchy matki. Robi się miękka, mięciutka i kompletnie poza mocą czynników zewnętrznych. Nawet Robert, najbardziej teraz aktualny bodziec nie ma takiej siły w sobie, żeby ją dotknąć ani zranić, ani zdenerwować. Opada na kanapę. Przypomina sobie, że poza kawą, szarlotką, jakąś kanapką w locie nic dzisiaj nie jadła. Doskonale, bo wystarczy jeden kieli-szek, żeby sobie odpłynęła.

*SMS: To jak, pracujemy razem? Jestem gotowa. ZU*

A to jednak Igę odpala. Czy można napisać tak po prostu wieczorem w sprawie służbowej? Może można, jeśli się myśli nie tylko o obowiązkach, ale i o zlecającym, o niej, jako o osobie. Bierze dwa duże łyki wina, do samego końca. Zaczyna pisać SMS, ale bardzo szybko ściska dłoń w pięść, jakby zgmiotła ją samą siłą woli. Nie można odpisywać. Niech czeka między dziewiątą a siedemnastą.

Gdy szła do pokoju, zatrzymała się jeszcze przy otwartych drzwiach dzieci. Spały, oddychały równo. W swoim ustalonym

rytmie, gdy jedna robiła wydech, druga rozpoczynała wdech. Potem podeszła do półotwartych drzwi pokoju, który umownie nazywali gabinetem.

– Jeszcze popracuję – Robert odwrócił twarz od monitora. W jego okularach odbijały się litery i cyfry, tabele.

*Już chyba nawet lepiej, gdyby to były porno.*

– Dobranoc. – Wiedziała, że dzisiaj znowu będzie spał tam, a ona będzie spała sama. Zupełnie się na to nie umawiali, a przynajmniej nie na głos. Nie brakowało jej jego ciała w tej chłodnej przestrzeni łóżka. Wszystko, czego potrzebowała, mogła dać sobie sama. Tak przynajmniej pomyślała, gdy się kładła po dokładnym demakijażu, zażyciu dwóch tabletek na sen z wyciągu z szyszek. Spojrzała jeszcze raz na SMS, potem powoli, ale zdecydowanym gestem włożyła dwa palce bardzo głęboko w siebie. Poczuła, że wreszcie coś dzisiaj czuje. Doszła i zasnęła.

### **Telefony:**

O poranku, w nocy, w środku dnia, w pracy, na ważnym spotkaniu. Kiedyś było tak: nie dzwoni się przed dziewiątą rano ani po dwudziestej drugiej, bo to oznacza złe wieści. Nie dzwoni się w czasie pracy, chyba że to coś bardzo pilnego. Teraz nie ma poranków ani ustalonych godzin, ani tych, kiedy nie można.

Dzwonek na spotkaniu. Odrzucam. Kolejny. Odrzucam.

– Przepraszam państwa na chwilę, muszę odebrać, to chyba coś pilnego.

– Halo, mam, co się dzieje?

– Iga, wydaje mi się, że Kristina mnie okrada. – Odnótowuję, że zapamiętała jej imię, wie już, że nie ma Liliany ani Magdy, ani nawet sąsiadki Eli.

Mówię, że nie, że nieprawda, odkładam.

Odkładam tylko na chwilę, bo wyraźnie słyszałam przez telefon

nieco cięższy oddech i to zachrypnięte drganie w głosie. To znaczy, że wszystko się w niej teraz trzęsie, dygocze, jest jak krajobraz tuż przed burzą. Pochmurna, szumna, mogłam sprawić, żeby burza przeszła bokiem, ale nie mam teraz czasu, więc za chwilę Małgorzata może zacząć dzwonić ze zdwojoną siłą, małe tornado urojeń przejdzie znowu przez jej głowę, wpadnie do mojej i w końcu będę musiała do niej pojechać. Wzdycham z samego środka. Teraz i ja jestem pochmurna i na krawędzi wyładowań atmosferycznych spod rzęs, więc patrzę tylko w podłogę, żeby nikt na spotkaniu nie oberwał rykoszetem za moją matkę i za mnie. Oddzwaniam, wyciszam, wyciszam, szepczę, wszystko będzie dobrze.

Czasem kłamię, na potrzeby chwili. To są kłamstwa automatyczne, rzucane, ot tak, po prostu, więc nie można mówić o nich, że są z premedytacją.

Telefon. Odbieram.

*– O, łaskawa panienska w końcu odebrała. A nie wybierasz się czasem do mnie?*

Jeszcze nie doszłam do kłamstw, które czerpałyby z jej niepamięci. Nie mówię byłam wczoraj albo no przecież dopiero co się widziałyśmy. W takich odpowiedziach widziałabym jednak okrucieństwo, czerpanie z kalectwa. Na dodatek nigdy nie wiem, czy akurat dzisiaj nie jest ten dzień, kiedy wszystko jest na swoim miejscu. Puzzle myśli i wspomnień w głowie Małgorzaty dobrze do siebie pasują, układają się w przyjazną światu całość. Może leki wyprostowały jej wspomnienia, a kilka tabletek pozwoliło zachować ciągłość czasu.

Dlatego też zmyślam inne wydarzenia, które w poprzednim świecie, w którym żyła Małgorzata, były bardzo priorytetowe.

*Choroba dzieci: Nie przyjadę, bo dziewczynki coś się źle czują!*

*Praca: Nie przyjadę, mamo, mam po prostu spotkanie za spotkaniem, jak się do ciebie dotoczę będzie dwudziesta druga.*

Siły wyższe: *Nie przyjadę, bo samochód znowu nawalił, Robert oddał go do warsztatu, jestem uziemiona.*

Czasem nie chcę przyjechać, ale chcę znowu być mała, chcę współczucia i opieki, wtedy kłamię „na litość”. Wtedy ja chcę być zaopiekowana, chcę być „pożalona”, chcę do mamy.

– Nie przyjadę, bo coś bardzo kiepsko się czuję – siedzę na kanapie zaraz po przyjściu z pracy. Dzisiaj Robert zajmuje się dziećmi, a ja próbuję wstać i zrobić czterdziestominutową lekcję jogi przed komputerem. Mam dom i czas dla siebie. Nie oddam tego nikomu, zwłaszcza własnej matce.

– Ojej. Dobrze, dobrze, to ja sobie poradzę – Małgorzata zmienia od razu ton głosu. Wreszcie znowu jest potrzebna, ma formę matki, kształt opiekunki.

– To połów się, kochanie, połów.

Ale moje samopoczucie nie ma kontynuacji. Od następnego dnia telefon. Odkładam. Telefon. Odrzucam. Ale w końcu zawsze i tak odbieram, oddzwaniam, przyjeżdżam.

Telefon jest jak moja smycz, jak obroża z nadajnikiem. Telefon, jeśli dzwoni, zwłaszcza gdy wyświetla się „Mama Małgorzata”, jest obowiązkiem, ale i dramatem jednocześnie. Czuję nad sobą klątwę nieodbierania. Jeśli tym razem się zbuntuję, coś się stanie, dwa nieodebrane i nieoddzwonione – nieszczęście, a może to w ogóle już nie ona dzwoni, może dzwoni ktoś, kto znalazł telefon tuż przy zimnym ciele Małgorzaty, mamy mojej, które leży gdzieś w parku, bo wyszła, potknęła się, uderzyła głową o chodnik. Leży mama w kałuży krwi, a obok telefon w torebce, więc ktoś ją znalazł i dzwoni.

Odebranie po czterech, pięciu dzwonkach może być sygnałem, że dzwonią z pogotowia, połączenie prosto z karetki, że wiozą Małgorzatę (podpisałam jej wszystkie ubrania wierzchnie, w torebce napisałam imię, nazwisko, adres), to znaczy moją mamę, do szpitala, ponieważ miała udar, wylew, zawał w sklepie z mięsem albo pod piekarnią.

Nie mogę sobie pozwolić na nieodebranie telefonu albo na nie-



oddzwonienie, bo to jest jak z parasolem, jeśli raz nie weźmiesz go ze sobą, pewnikiem będzie padało. Jeśli raz zignoruję Małgorzatę, wszystkie możliwe nieszczęścia skumulują się między pierwszym a czwartym dzwonkiem.

Dlatego Iga wychodzi ze spotkań, z przedstawień w szkole, trzyma telefon na ręczniku koło basenu i w ręce podczas masażu. Jeśli chce, żeby był wyciszony, to ma włączone wibracje, a sama się na nie nastraja, wyczuwa je przez torebkę i podszewkę płaszcza.

Od pewnego czasu telefon trzyma jeszcze bliżej siebie, gdy w godzinach pracy odpowiedziała Zuzannie na SMS, ta nie pozostawiła jej odpowiedzi bez komentarza. Rozmawiają codziennie kilkunastoma krótkimi zdaniami. W większości o projekcie, o nowej identyfikacji wizualnej, o kolorach. Ale między *wysyłam szkice via mail* jest zawsze miejsce na *mam nadzieję, że masz udany dzień*. W odpowiedziach jest przestrzeń na *dziękuję, sprawdzę po 14*, ale tuż po tym *Tak, Tobie również życzę udanego. Mam nadzieję, że dzisiaj już po migrenie*.

Kilka razy Iga nawet pozwoliła sobie na odpisanie w godzinach wieczornych.

### **Zuzanna**

Pracownia dawała chłodne schronienie nie tylko latem, ale i zimą. Olbrzymie okna od ziemi aż po sam sufit wpuszczały światło, nawet gdy miasto taplało się w smogu i kałużach. Teraz, wiosną, można się było przytulać do szyb i chłonać ich ciepło. Zuzanna bardzo często chodziła tutaj prawie nago, zwłaszcza w czerwcu i lipcu mogłaby leżeć na drewnianej podłodze kompletnie goła i słuchać muzyki.

Czasami na klatce spotykała sąsiada, który wyraźnie był zaintrygowany i dumny, że część tego miejsca skazanego na remont albo rozbiórkę stała się miejscem kreatywnych doznań i dokonań.

Nie próbowała go unikać, chociaż czasem przedłużał jej dzień o kilkanaście dobrych minut, chrypiąc złośczenia na polity-

ków po każdej stronie, wyliczając marną rentę, a przede wszystkim łasząc się jak jego kulawe koty o jedzenie, o pieniądze na chłanie. Dzisiaj, jak rzadko nie chciała go spotkać, ale też nie leżało w jej naturze unikanie, chowanie się czy zawracanie z raz obranej drogi, nawet jeśli była to droga przez klatkę schodową.

– Pani artystko, co tam dzisiaj zmalowane? – zaśmiał się, a jego uśmiech był zarazem szczery i szczerbaty.

– Dzisiaj, panie Henryczku, pracuję na komputerze, nic to przyjemnego. – Często brała do ręki jego siatki z zakupami i pomagała mu wnieść na drugie piętro. Zakupy były niewielkie, zazwyczaj wydawały odgłos stękających butelek. Pełnych, pustych. Nie wiadomo. Może to nawet nie były zakupy, ale jakaś lokalna, dzielnicowa zbieranina skarbów i artefaktów. Sam Henryk miał zapach potu i papierosów, ale też czegoś jeszcze, całej tej kamienicy. Też prawdopodobnie nadawał się do remontu albo już bardziej do wyburzenia.

– Mąż był – sapał, a im bardziej sapał, tym bardziej było czuć w powietrzu zgniliznę, przegląd jedzenia schowany w dziurach w zębach. Na potem. Na kiedyś. – Ale powiedziałem, jak chciałaś, że cię nie widziałem, znaczy widziałem, jak wychodzisz i wsiaadasz do taksówki, więc robisz sprawunki na mieście.

– Dzięki, Henryku. – Zuza grzebie w spodniach i wyciąga pogniecioną dychę, daje ją do ręki Henryka. Brudne, długie paznokcie łapią ją za przegub.

– Będzie trzeba, to i powiem, że w nocy tu nie byłaś, a widziałem, że się światło świeciło. Koty karmiłem, widziałem.

Zuza wyciąga drugie dziesięć złotych, ale o nic nie prosi. Uśmiecha się do niego i zostawia go przed jego drzwiami. Nie chce być przy otwieraniu, bo nie zniesie więcej tego zapachu. Przeciera dłoń w miejscu, w którym dotykały jej paznokcie sąsiada, to jest odruch bezwarunkowy. On to widzi, śmieje się, nic więcej.

Weszła do swojej pracowni, dzisiaj było w niej nieco chłodniej, wiosna dopiero przymierzała się do wybuchu. Zuzanna sprawdziła telefon. Kilka nieodebranych połączeń od męża, szybko

przewijała SMS-y, w których tylko: że przeprasza, że może trochę źle zareagował, że to tylko słowa, że źle go zrozumiała. Lakończo odpisała, że ok, ok, ale idzie dzisiaj do przyjaciółki. Najbardziej jednak szukała SMS-a od Igi, czy może coś nowego, czytała konwersację tam i z powrotem.

Dzisiaj będzie pracować dwa razy bardziej i dwa razy więcej, żeby się skupić, ale najpierw napisze, że może mogłyby się spotkać. Że to już w sumie czas pogadać o pierwszym etapie prac, Iga może tu przyjść, a może w kawiarni. Odłożyła telefon, bo ból brzucha zgiął ją do połowy. Napisze potem, teraz musi wziąć leki. Coś rozkurczowego, coś na ból, krwawiła dokładnie tak samo jak co miesiąc, z irytującą regularnością. Jej organizm nie dał jej nawet dnia do namysłu, czy być może tym razem się udało. Jej mąż nie pozostawił wątpliwości, że to jej wina i że za mało chce i jeszcze mniej się stara. Z torebki wyciągnęła też letrozol, który miała łykać od samego momentu, w którym po raz kolejny się dowie, że to był jałowy miesiąc, że jest zupełnie pusta w środku. Letrozol to tabletki, dzięki którym puchła, powiększała się, a jej jajniki jak urodzajne grusze aż kipiały owocami. Wszystko to bolało, sprawiało, że stawała się obłą, za miękka, wrażliwa na nacisk powietrza i na słowa. Czuła się, jakby ktoś ulepił ją od początku do końca z najczulszej kobiecej materii, wysał z niej każdy inny pierwiastek i pozostawił bezbronną na pastwę estrogenów, progesteronu i prolaktyny. W tym miesiącu nie miała na to siły. Łyknęła przeciwbólowe i rozkurczowe. Napisała do Igi: *Wpadnij do mojej pracowni na herbatę, pokażę Ci, co mam do tej pory. Zaprojektowałam też kilka dodatkowych rzeczy.* WYŚLIJ. Letrozol wrzuciła do szuflady. Nie będzie przez trzydzieści dni pęcznieć i przyrastać. Odpisała też mężowi po raz kolejny: *nic nie szkodzi. Nie tym razem, to kolejnym.* To już któryś taki SMS, na jakiś czas wystarczał.

## NOTATKI

XXX-XXX-XXX – zadzwonić! Rekrutacja. Pro. Warunki.

Małgorzata – psychiatra. Odnowić recepty.

Dzieci – nowe buty do szkoły. Wymienić główki szczoteczek!

APTEKA: witaminy, probiotyki.

Badania: czemu jestem nieustannie zmęczona bla, bla, bla

~~Spotkanie 15:30 Bartosz K.~~

SPAC minimum 7 godzin. SPAC SPAC – jebać

Iga przekłada kartkę w kalendarzu. Skończył się miesiąc, który trwał trzy miesiące. Można go podzielić na kilkadziesiąt spotkań, setki telefonów. W jej żyłach krąży kofeina i trochę mleka bez laktozy. Dzieci widuje tylko w piżamach, rano i wieczór. Urosły im stopy, nie mieszczą się w butach ani w przestrzeni swojego pokoju. Ma wrażenie, że jej ośmiolatki zaczynają gonić czas, rozpychać się w nim, pożerać jej własny. Wieczorami musi siebie oddawać na sto trzydzieści procent, słucha piosenek, przepychanek, opowieści ze szkoły, wygrzebuje brud spod paznokci, przycina je, aż do skóry, a one rosną i rosną. Robi kolację, każdej to samo, idealnie odmierza porcje, jeden ser nie może być większy od drugiego. Siebie wykraja też po kawałku i stara się, żeby jedna i druga córka dostały po równo. Nie chciałyby nigdy się zastanawiać, czy którąś kocha bardziej, czy którąś mniej. Może kiedyś, jak będą starsze, zada sobie to pytanie, teraz jest tortem, z którego każda może zjeść dowoli. Ale po tyle samo.

– Kocham cię, mamciu... – ta starsza wkleja jej we włosy pianę z kakao, bo właśnie przed chwilą grzebała w nim palcem.

– Ja cię kocham bardziej – młodsza obejmuje ją w pasie i mocno zaciska. – Jesteś taka chudziutka, taka chudziutka jak sznurek.

– Albo bardziej jak wyschnięty sznurek – starsza też próbuje się przytulić do jej pasa. Chwyta ją za nadgarstek, próbuje objąć tylko kciukiem i palcem wskazującym, żeby pokazać, jak bardzo drobny przegub ma jej mama.

Dziewczynki przepychają się w zmniejszaniu jej i zdrobnie- niach jej ciała.

– I masz śliczną buziutkę, mamisiu.

– I nie masz zmarszczek, tylko masz tu gładkie – lepkie palce dotykają okolice jej oczu.

Tulą się tak na kanapie jak dwa makaki, a Iga już wie, że tę część wychowania rozegrała źle. Że te komplementy są niedobre, nie są o niej, ale o nich. Musiały widzieć, jak się schyla, żeby sprawdzić i dokładnie policzyć liczbę fałd na brzuchu albo gdy odmierza powoli dziurki w pasku, żeby zapiąć się na najmniejszym. Miażdży sobie żebra cielącą skórą, a tę swoją ludzką prawie przecina, żeby dojść do ostatniej z dziurek, specjalnie zrobionej przez szewca. Rozpiera ją duma.

Córki nie widzą jej jak je, bo prawie z nimi nie jada albo siada ostatnia, wybiera sobie resztkę makaronu, dokłada każdemu, a sobie tylko w łazience *znowu wyglądasz staro, zaczynasz przypominać własną matkę*. Szoruje twarz, a potem krem po kremie wklepuje tam trochę więcej życia. I ciągnie, ciągnie policzki ku górze, jak wskazówki zegara, które chciałyby, żeby wracały na punkt dwunastą. Początek.

Dziewczynki muszą to widzieć, wyczuwają już, jaki los je czeka, że będą ciałem w wiecznym odbiciu, do którego albo będą pasować, albo będą musiały się dopasować. Jak przedziwny barometr uczuć już wiedzą, że mówienie matce o jej nieskazitelnej cerze, o płaskim chłopięcym brzuchu sprawia jej przyjemność. Laurki malowane ze spieszczeń. Lubi to.

W tym miesiącu w galopie nie zauważyła, czy miała okres czy może już powoli zaczyna przechodzić na drugą stronę, tę lepszą i pełną spokoju. W radiu w samochodzie słucha kolejnych pomysłów kobiet, które nienawidzą kobiet, o ustawie antyaborcyjnej, zaostrzeniu prawa, które z założenia jest prawem zaostrzonym jak hak, na który można nabijać kolejne dziewczyny. Co ona by teraz zrobiła? Menopauza mogłaby być zamknięciem tego etapu, ale w jej brzuchu osiem lat temu jej mąż podpisał się XX XX i teraz musi przejmować się nadal prawem do stanowienia o sobie i nieumierania. Jednak krew pojawia się niewiele później,

znaczy dalej jest kobietą w tym kraju zagrożoną.

Czuje natomiast, że trochę znika jako matka, stała się centralą telefoniczną dla Małgorzaty, pracowników, kurierów, podwykonawców. I tylko może Zuzanna zauważa, że jest w niej też coś więcej, może osoba, Iga. Dlatego pisze i dzwoni, ale pyta o Igę. Nie o szkołę, nie o zajęcia dodatkowe sportowe, o zdrowie córek, ale o to, czy Iga jadła, jak spała. O Małgorzatę nie pyta, bo niewiele o niej wie. Małgorzata jest melodią telefonu, która przerywa im spotkania.

A spotykają się regularnie w biurze i kawiarniach, nie miała do tej pory czasu dojechać do jej pracowni na drugi koniec miasta. To za daleko, nie może tego wpisać do kalendarza, bo zajmuje zbyt wiele rubryk.

– Tam nie straszy, może tylko Henryk – zachęca co jakiś czas Zuzanna.

– Ja się nie boję – mówi Iga, ale to nieprawda, boi się coraz bardziej, zwłaszcza jeśli miałyby pozostać w miejscu wyjałowionym z innych osób i spojrzeń. Sama na sama. – Kiedyś wpadnę. – Dopija kawę we własnym biurze. Nie chce kończyć tej rozmowy, ale widzi, że w kolejce czeka Mama Małgorzata. Nie odpuści, więc przełącza się i słyszy historię o albumie.

Teraz znowu uroił się matce album. Opowiada o zdjęciach o podróżach, myślę w sumie, że to lepiej, że przeczesuje mieszkanie w poszukiwaniu albumu, niż gdyby miała ciągle oglądać telewizję. Wtedy cały czas wydzwania utyskując, na rządzących i na tych buców w czerni.

– Nie pochowają cię, jak będziesz tak o nich mówić – mrugam do niej i piję rozpuszczalną neskę w jej kuchni.

– Niech mnie w dupę pocałują – odpowiada i wtedy właściwie wiem, że znowu jest moją mamą sprzed dekady, może dwóch. Wulgarny kod, który bawił nas tutaj, chociaż publicznie zachowywać się trzeba było z kulturą.

– Będziesz musiała sobie poradzić kilka dni sama, bo niedługo wyjeżdżam z dziewczynkami. Chcę z nimi spędzić trochę czasu, jakiś weekend w górach. – Chociaż nigdy nie słodzę, do tej rozpuszczalnej kawy dokładam jeszcze trochę cukru. Jest pyszna, jest dziewięćdziesiąty któryś rok. Może nawet jestem nad morzem.

– O, wspaniały plan, nic nie mówiłaś. – Mówiłam, mówię właściwie co chwilę i co chwilę ona jest dokładnie tak samo zaskoczona. W kuchni panuje półmrok, wydaje mi się, że mamy włosy urosły nieco za długie, nigdy takich nie miała. Rozmawiamy jeszcze dwadzieścia minut, robię jej kanapki, ale ona w kółko powtarza, że nic nie będzie jadła. Widzę, że kuchnia coraz bardziej się lepi. Jej ukochane miejsce w domu zaczyna pokrywać się grubą, gęstą warstwą czasu.

– Iga, jak oni mogą tak robić, powiedz mi? Z naszych pieniędzy, takie dziadostwo, jakieś ciepłe źródła, kleruchy cholerne, jak oni mogą? Nikt ich za to za rękę nie złapie, tylko jeszcze im te ręce smarują. – Wyciąga kolejnego papierosa z paczki. Kanapek nie ruszyła, przykryła talerzem. Pewnie podniosło jej się ciśnienie.

Już wiem, że pewnie cały ranek paliła (zgarniam kilka popielniczek sprzed telewizora) i oglądała programy informacyjne. Próbuję zmienić temat, to nie jest trudne, nie muszę ich szukać.

– Będziesz musiała sobie poradzić kilka dni sama, bo niedługo wyjeżdżam z dziewczynkami. Chcę z nimi spędzić trochę czasu, jakiś weekend w górach.

Przecieram stół.

– O, wspaniały plan, nic nie mówiłaś. – Mama ściąga fartuch, widzę, że płacze się w jej włosy. Są faktycznie za długie. W kuchni panuje półmrok, jak w całym mieszkaniu. Widzę więc tylko kontur mamy, może powinnam z nią iść do fryzjera.

– Powinnyśmy iść do fryzjera, mamo.

– E, do fryzjera, a co ogląda mnie ktoś? – Poprawia odruchowo włosy, jak kiedyś, gdy miała burzę czarnych loków regularnie poddawanych trwałej ondulacji. To gest sprawdzania, czy wszyst-

kie mają się na baczności. Ale teraz są szare i sięgają ramion.

– Ja cię oglądam. – Zastanawiam się, jak z nią iść do fryzjera? To będą ze dwie godziny, kiedy więc iść? Nie mogę zostawić jej samej na fotelu, bo co, jeśli zapomni, że tu jest, że kobieta, która próbuje jej umyć włosy nie jest jej wrogiem? Albo zagada ją na śmierć. Albo powtórzy jedną historię kilkanaście razy. Albo zacznie opowiadać jakieś rzeczy z przeszłości, albo żalić się na mnie, albo zapali na fotelu...

– To na mnie nie patrz, jak ci tak się matka nie podoba – ostentacyjnie odwraca się tyłem do mnie, a przodem do przysłoniętego okna. Widzę tylko jej kontur, niby znany, ale znacznie mniejszy. Wszystkie krzywizny się zgadzają, ale to miniatura mojej matki, porcelanowa figurka.

– Będziesz musiała sobie poradzić kilka dni sama, bo niedługo wyjeżdżam z dziewczynkami. Chcę z nimi spędzić trochę czasu, jakiś weekend w górach – mówię wesoło, dla złagodzenia sytuacji. Wiem, że lubi, gdy dziewczynki wyjeżdżają na świeże powietrze.

– O, wspaniały plan, nic nie mówiłaś! – odwraca się uśmiechnięta.

*W międzyczasie przychodzi powiadomienie. Chodź ze mną na wystawę mojego znajomego. Nie mam z kim iść. Mąż mnie wystawił, ma delegację.*



## ZUZANNA i IGA

Spotykają się przed wejściem do galerii. Iga jest spięta. Ma poczucie, że jest tu najstarsza. Spodziewała się parady przebie-rańców, jednak dominuje czerń, spod rękawów wystają tatuaże. Dziewczyny są piękne, naturalne, często włosy mają splecione w warkocze, ich twarze nie noszą śladu makijażu albo mają makijaż, który nawet śladem się nie zdradza, że istnieje. Pano-wie, mężczyźni, chłopcy, ciężko ocenić ich wiek, noszą czapki z kutrów rybackich, duże spodnie, koraliki na dłoniach. Jedni palą na zewnątrz, bo jest już całkiem ciepły, majowy wieczór.

Jeszcze nie weszła. Nie wie, kim tu jest, w jakiej roli została osa-dzona. Rozgląda się w poszukiwaniu Zuzanny, jakby to właśnie ona miała wyjaśnić całą sytuację, nadać kolorów, rozplanować na płótnie, która z nich gdzie będzie stała, która będzie co robiła. Już z daleka widzi burzę loków Zu. Są związane na czubku w ja-kiś zagmatwany węzeł, ale tak, żeby każdy skręt miał możliwość się uwolnić. Zu jest młoda, młodsza od Igi, ale to nie metryka, tyl-ko miękkość bioder, gdy idzie, nie czuje, że na dole jest chodnik, po bokach kamienice. Zawłaszcza przestrzeń. Iga bierze głęboki oddech. Przyszła za wcześnie. Łatwiej jest jednak wchodzić, niż stać.

– Wspaniale, że jesteś! – Zuzanna pochyla się i całuje Igę gdzieś koło policzka, wyżej, w powietrzu. Kładzie jej rękę na ramieniu.

– Za wcześnie. Nikogo nie znam. – W tym samym czasie Zuzan-na macha do kilku osób, ona zna prawie wszystkich, jednak do nikogo nie podchodzi, nadal trzyma rękę na ramieniu Igi, jakby chciała ją podtrzymać w tej sytuacji. Może wyczuwa jej niepew-ność, coś dzikiego w spojrzeniu, jakby chęć ucieczki.

Przechodzą koło nich różni ludzie, Zuzanna przedstawia Igę, a ta podaje rękę jednemu, drugiemu, notuje w pamięci imiona, nazwiska. To odruch. Każdy może kiedyś się przydać. Są i tacy, których zna, ale z widzenia, ze słyszenia. Jednak nareszcie jest w miejscu, gdzie właściwie wydaje się anonimowa. Nikt jej nie zagaduje o pracę, nie chce na nikim robić wrażenia. Kurczy się pod naporem nazwisk, które rzucają do Zuzanny, „a widziałaś tego, a słyszałaś o tamtym”. Nadal nie weszły, ale w środku już

ktoś stuka kieliszkiem o kieliszek. To prawdopodobnie sam autor.

– Nie dostał dotacji, wiadomo, więc cała ta wystawa jest trochę z naszych zbiorów, a trochę z pieniędzy jego kochanków. Kochanków jest dwóch, ale teoretycznie o sobie nie wiedzą. Obaj płacą – Zuza szepce to Idze do ucha, a Iga nie słyszy właściwie nic, a jedynie czuje, że przy samogłoskach takich jak „o”, „ó” muska ustami jej ucho. I wtedy dokładnie od płatka tego ucha, przez całą małżowinę, wszystkie kręgi szyjne, aż po łopatki płynie strumień gorącej lawy. Aż na plecy. A na plecach leży już dłoń Zuzanny, która pcha lekko Igę do przodu. Popycha ku drzwiom. Szept, śmiech, popchnięcie w tłum. Szept, śmiech, ciepło na plecach. Dłoń i ucho. Iga nie bardzo widzi obrazy, widzi raczej ich fragmenty i potok czarnych ludzi, dłonie z tatuażami, jeden wielki korowód, brzęk kieliszków. Nie może się na tym skupić, bo gorąca lawa na plecach, ręka. I ucho.

– Chyba nie bardzo ci się tu podoba – Zuzanna patrzy na Igę przodem, prosto w oczy. – Może te obrazy nie są specjalnie odkrywczyste, ale jest w nich coś, co mnie jakoś ujmuje. Może rozpacz.

– Nie chodzi o to, czy mi się podoba, raczej o tłum. Dawno nie wchodziłam w tłum. – Iga sięga po kolejny kubek z winem. Kieliszki, te do toastu już zabrano. Teraz są tekturowe kubki, a i wino jakby mocniejsze i kwaśniejsze. – Obrazów właściwie nie widziałam, ciężko się do nich dopchać.

– Niby dobrze, że tłum, ale mam wrażenie, że połowa tu liczy na zdjęcie, a druga na wino i kreskę. Chcesz wziąć oddech? – Zuza patrzy, jak Iga dość łapczywie wypija kolejny kubek wina.

– Nie, nie, chcę obejrzeć. Wszystkich tu znasz?

– Prawie. Czasami wpadają jakieś współprace. Właściwie, tak jak z tobą. Od kiedy więcej robię na komputerze niż na sztalugach, powiedzmy, że straciłam kilka punktów w ich oczach. – Jakaś dziewczyna obejmuje szyję Zuzanny i całuje ją dość namiętnie w kark.

– Cześć, lampucero – zaśmiewa się. Zuzanna odwraca się i rzuca jej na szyję.

– Cześć, lafiryndo!

Ściskają się jak dwie nastolatki. Iga ogląda swoje buty, potem trochę patrzy, jak kobiety wymieniają pieszczoty, prawie piszcząc do siebie. Znów na paznokcie na kubku. Błysk oka na Zuzannę. Nigdy nikomu nie rzuciła się tak na szyję, nigdy nikomu, a może nie pamięta, że komuś. Dziewczyna znika, zanim Zuzanna ją przedstawi. Pożera ją tłum i inne ręce. Uwiesza się na kolejnych osobach.

– Dziwne zwyczaje – stwierdza Iga, ale stara się zachować neutralny ton głosu, chociaż musi go w tym zgiełku podnosić coraz bardziej. Ktoś włączył muzykę i podkreśla ją co chwilę o kilka decybeli.

– Tak, nasze plemię właśnie w ten sposób przygotowuje się do godów. – Zu puszcza do niej oko.

– Za każdym razem się tak wszyscy witacie? – Iga tym razem bardzo stara się zdobyć punkt w tej wymianie.

– A nie tylko w porze godowej – tym razem obie parszczą;

– Hej, hej! Świetnie, że jesteś! – Zu macha jakiemuś facetowi z brodą.

– Z tym nawet spałam. – Zuzanna bierze łyk i patrzy sponad kubka na Igę.

Iga wzrusza ramionami. Że normalna sprawa. To już nieśmieszne. Normalna przecież sprawa, że ludzie ze sobą sypiają na całym świecie, pewnie nawet i teraz, może nawet w toalecie za ścianą, tylko nie ona, nie z mężem, nie z nikim. Od dawna ze sobą. Normalna sprawa.

– Ej, nabijam się z ciebie, wiesz? – Zuzanna wybucha śmiechem. – Spałam z nim podczas wyjazdu na jakąś tam jogę z malarstwem czy inne zajęcia. Spałam, znaczy, w jednym pokoju. Widzę, że jesteś tu tak zestresowana, jakbyś musiała wysiąść z jeepa podczas

safari i podejść do każdego niebezpiecznego zwierzęcia. Poczekaj, pójdę nam przynieść jeszcze wino i przywitam się z jedną moją koleżanką... Z nią też spałam, – Zuza nie czeka nawet na reakcje i odchodzi.

Nie bawi mnie to, tylko wkurwia. Przynajmniej tak rozszyfrowuję to, co dzieje się w okolicach mojego żołądka. Po co tu przychodziłam, co to za sprawdzian na mnie, czy się głupio zaśmieję, zachichoczę na wieść o jej romansach. Zupełnie sama na środku chciałabym zerknąć w telefon, to mi daje poczucie kontroli. Równocześnie nie chcę tam patrzeć, obiecałam sobie wieczór bez niego. Co mogę tam zobaczyć? Kilka połączeń od mamy, jakiś SMS na litość, o tym, że w maju w centrum dużego miasta właśnie przymiera głodem koło dużej lodówki, albo i jeszcze lepiej. Umiera z braku nikotyny tuż pod szafką z kartonem marlboro light. Nie, nie, a może to nie zdenerwowanie. Dociera do mnie, że to po prostu głód zalany średniej jakości winem. Znowu dzisiaj przecież niewiele zjadłam, a to, co mogłabym wrzucić przed wyjściem, zjadły mi dziewczynki.

Kiedys zeżreją i mnie, jak zaczną dorastać w ekspresowym tempie i będą potrzebować większej dawki kalorii. Nie chcę teraz myśleć o dzieciach, nie chcę o matce.

Złość rozłożona na czynniki pierwsze szybko ulatuje, kolejny łyk alkoholu rozbraja napięte mięśnie. Iga nie chce wracać do domu. Ciepło z pleców, ze środka, z oddechów innych ludzi rozgrzało ją już całą. Przez kilka sekund nawet wydaje jej się, że mogłaby tańczyć. Szybko jednak tłumi w sobie to uczucie. Bez przesady, bez przesady, to nie są jeszcze te promile, żeby uwolnić miednicę i pozwolić jej zakołysać się do jakiś nowoczesnych kawałków. Łokcie przy sobie, żadnych gwałtownych ruchów w górę. Nagle pojawia się przy niej jakiś facet, ma wrażenie, że go zna. Chyba z telewizji, może nawet z kilku gazet. On poprawia cienkie okulary, które wcale nie wymagają poprawy. Może to tik. Ma niedopięty kołnierzyk koszuli i widać, że macki tatuażu wychodzą mu na szyję. Stuka swoim kubkiem o kubek Igi i powoli nachyla się

w jej stronę, próbując saczyć banalną rozmowę, że jak jej się podoba, że chyba się już wcześniej poznali. W pomieszczeniu ktoś gasi światła, muzyka robi się głośniejsza. Koleś coś mamrocze o obrazach, świetne, może jej wynegocjować lepszą cenę, bo zna autora. Nagle pojawia się kobieta, zawisa mu na ramieniu, całuje go w ucho i odchodzi porwana przez tłum.

*Całuje czy liznęła? Co mnie to obchodzi, ciepło tylko czuję. Szeptala czy dotknęła ustami? Co mnie to obchodzi, gdzie jest Zuzanna. Szeptala chyba tylko.*

– Zabieram cię stąd. Nareszcie jest okazja, żebyś zobaczyła moją pracownię. – Zuzanna pojawia się nagle, wyłania się z tyłu zza pleców, podczas gdy facet już napiera na Igę.

– Gdzie wychodzicie? Idziemy w miasto?

– Nie tym razem. – Zuzanna stuka swoim papierowym kubkiem w jego kubek, jakby chciała nim powiedzieć żegnam.

Którym razem, myśli Iga? To są inne miasta, takie imprezy, inne razy? Ludzie zaczynają się rozkręcać. Iga widzi jeszcze kilka znajomych twarzy. Ustawia się kolejka do toalety.

– Chyba właśnie teraz zaczyna się zabawa. – Iga upija jeszcze jeden łyk wina. Jest gorsze niż poprzednio, chyba według zasady *najlepsze podaj na początek, potem i tak się już nie zorientują.*

– Raczej nie taka, w jakiej chciałabyś brać udział.

Zu łapie Igę za rękę i prze do przodu, całuje w tym czasie jakiś tuzin ludzi. Hojnie rozdaje cmoknięcia i miłe słowa, *tak, tak spotkamy się, cmok, cmok, musimy to powtórzyć, cmok, cmok, no to wpadaj na kawę, kiedy masz ochotę, cmok, cmok.*

Iga idzie za jej plecami i trzyma kurczowo jej dłoń. Daje się prowadzić jak dziecko, nie jest na swoim terenie, nie wie, jak do wyjścia. W taksówce nie puszcza ręki Zuzanny, kładzie ją sobie na udzie.

## IGA I ZUZANNA

Idą po schodach, które skrzypią, jakby chciały dać znać całemu domowi, że właśnie pożera nowego gościa. Iga idzie, Iga idzie. To dźwięk, który obudziłby lokatorów sprzed wieku, a już na pewno Henryka, który nagle pojawia się przed nimi. W jednej ręce trzyma coś, co przypomina kota, ale narysowanego przez dziecko. Jest krzywy, nie ma jednego oka, wystaje mu kiel. Jak Henrykowi.

– O, artystka! – chrypi Henryk. – Z koleżanką. – Teraz łypie żółtym okiem. Jest w tym zarówno pocieszny, jak i obleśny.

Zuzanna wita go śmiechem, a mijając, głaszcze łeb włochatego potworka.

– Będzie, widzę, jakaś zabawa, dla kota na jedzenie by się przydało, żeby mógł się bawić – Henryk łapie za rękę Ige. Ta wyciąga z kieszeni pięć złotych, ale kota nie dotyka.

Henryk patrzy na piątkę, a bruzdy na twarzy zastygają mu w smutnym układzie. Twarz oświetlona starą żarówką z półpiętra wygląda jak maskaron. Zuzanna mocuje się z kluczem w drzwiach.

– Mąż był. – Henryk nie wyciąga ręki po monetę. – Przywiózł jakieś wody mineralne, ale ja mu nic nie mówiłem, dał mi dychę, ale powiedziałem, że nie widziałem artystki, że chyba poszła po farby.

Zuzanna otworzyła drzwi, ale nagle odwróciła się, zbiegła po schodach. Złapała piątkę z ręki Igi, z kieszeni wyciągnęła jeszcze dziesięć złotych, wcisnęła to w rękę Henryka i krzyknęła dobranoc. Pchnęła Ige ku górze, a za sobą zostawiła ucieszony maskaron i karykaturę domowego Puszka.

Iga weszła do środka, ale coś jej się nie zgadzało. Pokój jej się zgadzał z założeniami o Zuzannie. Panował w nim chaos, który jednak miał swoją mapę. Nad przestrzenią dominowała wcale nie sztaluga, ale olbrzymich rozmiarów ekran komputera.

*Mąż był. Czyli jest. Czyli jest. Czyli.*

– Wino jeszcze mam. Lepsze niż tamto.

– Każde będzie lepsze niż tamto. – Iga nie siada, chodzi po całej pracowni, przygląda się sprzętom.

Powietrze całe twardnieje, robi się nie do wytrzymania, przejście każdego metra wymaga skruszenia przestrzeni, więc Iga chodzi coraz wolniej i wolniej. Wyciąga rękę w tył po kieliszek z winem, ale się nie odwraca. Asekuracja.

– Nie będziesz na mnie tu patrzeć – Zuza żartuje, łatwo jej to przychodzi. Ona nie ma problemów z przechodzeniem po sobie znanym terenie. Im bardziej Iga zwalnia, tym bardziej Zuza przyspiesza. Jedna brodzi, druga pływa.

– Patrzę na ciebie przecież, nawet jakby bardziej. – Iga podnosi jakiś szkic, który leży na biurku. – Często masz tu gości?

– Nieczęsto.

Zuzanna podchodzi i bierze Idze kieliszek z ręki, a potem po prostu zaczyna ją całować, gdzieś tuż nad obojczykiem, w tym zagłębieniu, w którym zbierają się krople po prysznicu. I po szyi. Wiedzą dobrze obydwie, po co przyszły, nie ma zwiedzania pracowni, chcą zwiedzić siebie. Zuzanna całkiem przejmuje inicjatywę, jest w niej śmiałość, upór, delikatność, ale absolutna stanowczość. To, co Iga teraz może robić najlepiej, to nie stawiać oporu.

I nie ma we mnie żadnego oporu, nie mam w sobie siły na rozgrywki. Nie dostałam nigdy żadnych wytycznych ani instrukcji, co powinnam teraz zrobić, gdzie położyć ręce ani jak odmawiać. Dlatego właśnie nie odmawiam. Wyłączam wszystko po kolei, wyłączam jak dźwięk w telefonie, najpierw myślenie, stopniowo w dół, jak ręce Zuzanny. Nie ma tu już żadnych rozterek, nie ma drugiego, trzeciego dna, nie ma. Potem wyłączam zahamowania, ustalone od lat, pielęgnowane, obrastające w siłę. Potem wyłączam kontrolę ciała, wszystko tam w sobie odpinam, nie spraw-

dzam, nie chcę wiedzieć, czy coś wystaje, czy układa się dobrze, czy jest w kadrze, w dobrym oświetleniu. Chciałabym, żeby raz ciało było czuciem, a nie ciałem stałym. Chciałabym, żebym cała była oddechem i emocją, a nie kantem i kształtem. I to wszystko robią ręce Zu.

A ręce Zuzanny są sprawne, jakby wszystko wiedziały, znały geometrię, malowały pewnie łopatkami już nie raz. Wypracowany nadgarstek wie doskonale, jak sunąć wzdłuż zagięć, palce na suwaku w dół, na skórze w górę. W dół i w górę.

Dwa łyki wina.

– Na odwagę? – mruczy Zuzanna.

– Na szczęście.

I pieszczą się na fotelu, nie na podłodze, nie na kanapie. Ale na fotelu, koło którego stały, bo każde miejsce jest dobre dla ich ciała. Krzywe linie Zuzanny i proste Igi przecinają się pod różnymi kątami. Palce jednej zagłębiają się w skórze tej drugiej, między fałdkami na boku, między pośladkami, między wargami. Wszędzie palce, nagle okazuje się, że mają ich dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, że mają więcej kości, piersi, mają więcej włosów. Blond loki oplatają proste brązowe pasma, płaczą się, tworzą dwukolorowe sploty. Splecione palce, włosy, biodra, nogi. Nogi Igi coraz szerzej, gdy Zu w nią wchodzi powoli, po jednym, po dwa, po trzy. A Iga się odwdzięcza, reguła wzajemności, i ssie, ssie Zuzę do końca, do wirowania, a powietrze nagle znika, bo go nie potrzebują. Ani podłogi, ani sufitu, są czuciem, gęsią skórką, gorącym rozchodzącym się od podbrzusza aż po same końce sutków. Przygryzienie. I znowu palce splecione, włożone w siebie, w tę drugą, w tę pierwszą. Palce coraz szybsze, wkładanie, wyjmowanie, wibrowanie. Wirowanie.

Wibrowanie.

Wibrowanie telefonu na stole.

Dochodzą jedna po drugiej. Iga oddycha, jakby oddychała pierw-



szy raz od dawna, jakby wzięła pierwszy haust powietrza. Jej skóra robi się czerwona w okolicach policzków, na dekolcie. Zuzanna opada na podłogę. Leży goła z zamkniętymi oczami i jeszcze chwilę, może kilkanaście sekund, wkłada palce w siebie, gładzi się między zagłębieniami, jakby chciała wypić orgazm do samego końca, jakby jeszcze ta dokładka po prostu jej się należała.

Wibrowanie telefonu.

Zuzanna jest bezwstydnie łakoma, co Igę równocześnie zdumiewa, fascynuje i podnieca. Chciałaby mieć w sobie tę łapczywość, brać sobie więcej i więcej. Wie, że zasługuje na repetę. Niech ją Zu nauczy zachłanności. Ale dzisiaj, dla niej już wystarczy.

Wibrowanie telefonu.

Iga nie wytrzymuje tego dźwięku, zakrywa się marynarką i wyciąga komórkę z torebki. Dziesięć nieodebranych połączeń od Małgorzaty. Kilka od męża. Kilka z nieznanego numeru.

*SMS: Twoja mama chyba złamała rękę, gdy szukała jakiegoś albumu na szafie. Jej sąsiadka cię szuka.*

*SMS: Tu Ela, sąsiadka pani mamy. Mama chyba złamała rękę, trzeba to pokazać w szpitalu.*

Iga zaczyna się ubierać w ekspresowym tempie. Zuzanna leży nadal nago na ziemi, dookoła niej włosy. Rozpuściła je, rozpuściły je razem. Teraz już bacznie obserwuje ruchy Igi, której ciało nagle się zamyka. Szybko potrzebuje pary majtek, stanika, rajstop. Ciężko zakładać rajstopy, zakrywając piersi. Kilkanaście minut temu pozwalała je ssać, przygryzać, ocierać, oglądać, teraz chowa, ukrywa, zasłania. Różnica w czasie i w dzwonekach telefonu.

– Uciekasz?

– Po prostu wracam. Masz tu może kawę?

Zu robi mocną, gęstą espresso, ale przez ten czas niewiele mówi. Iga teraz pozwala się jeszcze pocałować, dwa razy w kark, raz w obojczyk, ale nagle jest to bardzo kwadratowe, kanciaste.

Zu mruczy, łąsi się, ale na twarzy Igi nie ma już rumieńców, tylko niebieski odcień telefonu.

– Odezdziesz się?

– Na pewno. Mąż twój był, znaczy jest w mieście.

– Jest. Znaczy był. Ale byłaś też ty. – Zu stoi w poświęcie lampki, nadal goła, dwoma rękami związuje loki na czubku głowy, tworząc chaos.

– Odezwę się – mówi Iga. Całuje Zuzannę w usta i wychodzi, bo telefon właśnie dał znać, że taksówka już czeka. Trzy wibracje.

## IGA I MAŁGORZATA

Iga siedzi z mamą na SOR-ze po znajomości. Znajomość ich polegała jedynie na tym, że może ktoś tam jest poinformowany, ktoś może coś wie, że jest starsza osoba, *ale triażu nie przeskoczysz i rejestracji też nie*, jak powiedziała znajoma – znajomość. Dlatego są tu już od godziny, a może i dłużej. Iga pije kolejną kawę z automatu. Po winie pozostało tylko uczucie uciskania skroni, niebolesne, niemiłe. Po Zuzannie pozostało znacznie więcej. Iga co chwilę czuje jakby draśnięcie na skórze, lekki prąd pod żebrami, mrowienie między nogami. Zaciska oczy. Nie teraz.

Teraz.

Ręka mojej mamy była coraz większa, mieszały się kolory od ciemnego fioletu aż po głęboki granat, a nawet czern w okolicach paznokci. Zresztą pod paznokciami też czern. Obrzydza mnie to i jednocześnie rozczula. W mojej pamięci Małgorzata miała zawsze piękne paznokcie, nie za długie, nie za krótkie. Czasem śmiała się, że niby i postura chłopki, ale ręce to jednak pianistki z dworu. Wcale nie ma postury chłopki, ma szerokie biodra, a ja po niej. Ale wąskie ramiona, drobne piersi.

– Mamy jakiś numererek? Tu wszyscy mają numererek. – Małgorzata nerwowo rozgląda się po poczekalni.

– Mamy, mamo, numererek, przy tobie go brałam, mamy numererek 378 i musimy czekać na swoją kolej.

– Dobrze.

Dawniej. Wieczorami mama siedziała na kanapie, oglądała „Szkło kontaktowe”. Malowała długie paznokcie na kolory neutralne, ale pochwalała mój wybór czerwieni i granatu. *Jesteś młoda, młode ręce dobrze wyglądają, gdy je intensywnie podkreślisz.* I faktycznie, biel skóry była bielsza przy czerwieni, a latem oliwkowy odcień odbijał się od ostrego różu.

– Mamy numererek? Tam pan ma numererek.

– Mamy numererek, mamo, mam go w ręce – zobacz.

– A jaki mamy numer?

– 378, i musimy czekać na swoją kolej.

Teraz paznokcie mamy były czarne, długie, niezadbane, niektóre połamane. Pasowały do prawdopodobnie złamanego nadgarstka, do nie za czystej bluzki. Zobaczyłam więc właśnie kolejną oznakę znikania mamy – teraz od rąk i paznokci. Kolejne piknięcie gdzieś przy sercu i w okolicach żołądka, może nawet przepony. Ciepły smutek. Jej ręka na kubku z kawą jak karłowata winorośl.

– Mamy numererek?

– Mamy, mamo. 378.

Jak mogłam nie zauważyć, że trzeba jej pomóc z paznokciami u rąk, i z przerażeniem spojrzałam, że oczywiście u stóp też. Nie dotykałam nigdy stóp mojej mamy, a może dotykałam tylko, jak byłam mała i każda część Małgorzaty była po prostu mamą. Jej brzuch, piersi, dłonie, ale i stopy. Nie były dziwnie pokręcone,

nie widziałam haluksów, schodzącego paznokcia, zrogowaciałych pięt, ale po prostu spacer z mamą i trochę nierówny chód.

*Jak obcinać paznokcie osobie starszej* – wklepuję w Internet. Chyba mnie absolutnie pojebało, normalnie przecież. Normalnie bierzesz paznokcie i obcinasz, specjalnym długim patyczkiem wyciągasz spod paznokci brud, i po sprawie. Nie robisz z tego...

– Iga, a my w ogóle mamy numerki czy tutaj tak siedzimy?

– Mam, mam, mam, numerki, 378, i już o to pytałaś. Zobacz, mam go w ręce.

– To mi daj.

– Nie dam ci, bo go za chwilę zgubisz i tyle będzie z naszego numerka.

– Czemu o mnie mówisz w ten sposób, dlaczego miałabym zgubić cokolwiek! Muszę zapalić, nie wzięłam torebki. Dasz mi swojego papierosa?

– Nie mam, bo nie palę od kilku lat, i od kilku lat mówię ci co chwilę...

– Ach, nie palisz, faktycznie... oszaleję!

– To już się chyba dzieje, mam...

– A żebyś wiedziała.

Śmiejemy się razem. 13 sekund jak dawniej.

– A słuchaj, czy ty w ogóle pomyślałaś, żeby wziąć jakiś numerki, tu do kolejki trzeba mieć numerki.

Może kogoś jednak zamówię do tych paznokci? Przecież na pewno są jakieś kosmetyczki z dojazdem, pedicurzystki z usługą w domu. I wtedy poczułam kolejny wstyd. Wyobraziłam sobie, że do przesiąkniętego dymem papierosowym mieszkania Małgorzaty wchodzi piękna dziewczyna, która na co dzień wykonuje malunki kwiatów i nowoczesne ombre na drogich wypolerowa-

nych płytkach paznokci, a ja podstawię jej pod oczy zaniedbaną stopę mojej mamy. Mama będzie ją zagadywać i ciągle pytać o dokładnie to samo albo, co gorsza, po chwili zapomni, że pani Edyta albo Oksana w ogóle do nas przyszła. Zajmę się tym, jak ten koszmar w szpitalu się skończy. Sprawdzam telefon. Cztery połączenia od Zuzanny i SMS *trzymaj się, jak coś to dzwoń*. W tak-sówce zdobyłam się jednak na usprawiedliwienie mojego wyjścia. Nie zostawiam po sobie złego wrażenia.

– Boli cię, mammo?

– Boli mnie bardzo, ale wytrzymam, mniej by mnie bolało, gdybym zapaliła.

– Ale, niestety, nie mam papierosów, mammo, a nie mogę cię tu samej zostawić.

– A po co my tu w ogóle siedzimy?

– No, żeby ktoś obejrzał twoją rękę, bo wydaje mi się, że masz złamaną.

– A no, może mam, a słuchaj, czy my mamy jakiś numer, bo tu się wyświetlają.

Teraz czuję, że nawet ja po tych dwóch czy pięciu latach zapaliłabym papierosa, wzięła wielkiego porządnego macha, aż do samego żołądka, ale najbardziej podniecała mnie wizja ogromnego wydechu, którym wypuściłabym z siebie absolutnie wszystko, całą złość, która we mnie narastała. Po prostu odpowiedz jeszcze raz. Więc w głowie zaciągam się mentolowym marlboro, a na głębokim wydechu mówię:

– 378.

Rozglądam się po poczekalni. Małgorzata świetnie wstrzeliła się w imprezowy majowy piątek. Przez miasto przejeżdża jakiś rajd, młodzież ryzykuje pod dyskotekami, jedząc nieznane substancje od nieznanych znajomych, nad Wisłą chłopcy piją i tłuką się po mordach. W zaułkach ktoś uprawia seks. Ja uprawiałam seks.

W piątkowy wieczór, z Zuzanną.

Mama patrzy wciąż na tablicę, gdzie zmieniają się cyferki. Czy zrozumiała? Jestem zmęczona i ona też chyba. Wszystko z nią chyba. Nie ma o co pytać. Za nami siedzi siwiuteńka elegancka starsza pani z wielką plamą czerwieni na głowie. Z daleka można by pomyśleć, że to po prostu niekompetentna fryzjerka zrobiła jej taką fryzurę, a pani przysłała tu na skargę. Przecież ma hoń to ulubiona farba kobiet po przekroczeniu pewnego roku życia. Jednak farba co jakiś czas kapie jej na oko, a pani przeciera je płócienną chusteczką. Ma przy tym minę, która nie wyraża absolutnie nic. Ani nie cierpi, ani nie jest zniecierpliwiona. Siedzi wyprostowana i co jakiś czas przeciera oko. Tyle. Udziela mi się jej spokój, chociaż znużenie działa coraz mocniej. I może kac? Myślę, że moja mama wygląda przy niej jak biedna. Czy to moja wina? Brudna, trochę zaniedbana, z tłustymi włosami, i te okropne paznokcie. Zaczyna mnie zalewać jakieś dziwne uczucie czułości, tkliwość taka. Malutka mamusia i taka zaniedbana.

– Czy my tu w ogóle czekamy po cokolwiek? Może wejdz do gabinetu, może zapytaj. Czy wzięłaś numerki?

Czułość znika. Pyk. Znowu przebiła balonik dobroci. Przez drzwi właśnie wpada lipcowy karnawał. Chłopcy w piórach, chłopcy w różowych włosach i pełnych make-upach. Ten, któremu stringi wystają aż na plecy, a na bardzo chudziutkim torsie ma właściwie dziecięcy dziewczęcy stanik – płacze. Ma rozmazany makijaż. Na jego ręce olbrzymi przesiąknięty krwią bandaż. Znowu ta czerwień. To jakiś kolor obowiązujący na SOR-ze. Na pewno na triażu dostaje się za niego więcej punktów niż za fiolet i czerni mojej mamy.

– Ależ cię chuj urządził – krzyczy jego kolega. – Co on, rękę ci chciał ujebać?

– Panowie! Proszę o ciszę! – krzyczy kobieta z recepcji. Szokuje mnie ta jej niepoprawność, nieprzystawalność do internetowej poprawności. Nie zastanawia się nad formą. Dla niej wszystko jest, jakie widzi.

– Ależ przebierańcy – szeptce Małgorzata. – Kto to są, oni? To one

czy oni?

– Mamo, cicho – z przerażeniem zerkam, czy nas słyszeli.

– No co, chcę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Dociera do mnie, że ja też bym chciała wiedzieć, mówią do siebie dziwnymi japońskimi imionami. Mają torby z hello kitty jak moje córki i kreski na powiekach, jakich nigdy mi się nie udało uzyskać.

– Iga, a to nie nasz numerek?

– Nie mamo. Nasz to 387.

Dociera do mnie, że nie zapytała, czy mamy numerek ani dlaczego tu jesteśmy. Kolorowy korowód sprawił, że mama wie, że siedzimy na SOR-ze, że czekamy, aż ktoś obejrzy jej rękę po tym, jak spadła z taboretu, szukając jakiego albumu. Może coś rozbłysło w jej głowie, uśmiechnęła się, mózg przyspieszył szturchnięty tym dziwnym zjawiskiem. Lekarz mówił, że potrzebuje bodźców.

Teraz po prostu zapomniała, jaki to numerek. I ja też! Sprawdzam.

– A nie, 378!

– Widzisz! Też nie pamiętasz – cieszy się.

– Tak, mamusiu, też mi się już zapomina.

Patrzę na jej twarz chyba pierwszy raz, od kiedy tu jesteśmy. Jej oczy są zmęczone bardziej niż moje. Widać, że się boi, jest zdezorientowana. Jej mózg zabiera ją co chwilę gdzieś indziej, wyjmuje z rzeczywistości tu i teraz, i stawia być może na trawie przed domem rodzinnym. Tam łamie rękę, spadając ze starej śliwy. A potem nagle, na trzy długie minuty, znowu wraca na piątkowy SOR. Musi jej przecież chwilę zająć zorientowanie się w sytuacji. A potem ponownie, wpada na Mazury, na Hel. Może tam sobie siedzi teraz, i przysięgam, widzę bardzo dokładnie, kiedy jej oczy są tu, a kiedy patrzą na morze. Gdy wraca, rozgląda się zdenerwowana, chwyta za napuchnięty nadgarstek, kręci na palcu pierścionkiem, który na pewno teraz nie zejdzie. Gdy

podróżuje po pamięci, jest zrelaksowana, lekko się uśmiecha. Widać, że bezpieczniej czuje się w przeszłości niż tu, w świetle jarzeniówek. Właściwie zupełnie jej się nie dziwię.

Na chwilę też zamykam oczy. Po co mam być tutaj. Jestem z Zużą.




# Anna Słowiakowska-Polak:

Iga właśnie weszła w wiek, w którym nie jest ani już młoda, ani jeszcze stara. Doskonale lub sugestywnie gra role, które przybrała dawno temu: matki, żony, szefowej, córki. Mimo wszystko ciężko jej się odnaleźć w tej dziwnej sytuacji: cele zostały zrealizowane, ale to, co miało być jasno wytyczoną drogą, okazuje się niesatysfakcjonujące. Rozczarowuje ją nie tylko codzienność, jej związek, macierzyństwo, ale także jej ciało. Nagle niemłode, ale i niestare, nieukochane w młodości, teraz już tylko... ratowane.

Iga próbuje po prostu trwać. Mąż jak mebel, córki z podręczników, mieszkanie ze spadku – wszystko bez zaskoczeń. Świat podzielony na rubryki, przypomnienia w telefonie, notatnik w torebce i zegarki w każdym miejscu. Ten porządek burzą w życiu Igi dwie kobiety: matka i Zuzanna.

Mama Małgorzata nagle zaczyna odchodzić w krainę bez pamięci. Odbiera Idze tym samym względny ład, ale też jakby kwestionuje przekonania, w których jej córka do tej pory żyła. Nie szanuje czasu, przestrzeni, zawłaszcza przedpołudnia. Nieustannie wydzwania, zapomina o jedzeniu, o higienie, ale pamięta numer do córki. Im bardziej Małgorzata traci pamięć, tym częściej przebywa w swoich „tam, kiedyś”, w które siłą zabiera Igę.



Tymczasem w życiu Igi pojawia się pewna artystka – graficzka Zuzanna. Najpierw ich relacje mają biznesowy charakter, wkrótce jednak Iga wpada w romans, który ma być substytutem miłości albo kamykiem do wykrzesania adrenaliny.

Im bardziej matka popada w obłąd, im więcej chcą od Igi Zuzanna, dzieci, jej praca, tym bardziej zaczyna znikać sama Iga. Staje się bezkształtną masą między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, notatką w kalendarzu, pogrążoną w wiecznym zobowiązaniu wobec innych.

Iga chciałaby zniknąć, wyjechać. Sama. Porzucić rodzinę chociaż na chwilę. Niestety, absolutnie nikt nie jest w stanie zająć się jej matką. Iga postanawia więc dołączyć Małgorzatę do swojej wyprawy. Jadą w podróż starym kamperem przez mapę wspomnień matki: w Bieszczady, na Roztocze i Podlasie, wreszcie na Mazury i nad Bałtyk. Można to wszystko nazwać ucieczką.

Jedna kobieta odjeżdża w przeszłość, druga w tej przeszłości być może znajdzie odpowiedź, co zrobić z przyszłością.

# Pozostałe teksty

Magdalena Ciechanowska - *Szachrajka*

Aleksandra Igras - *Afisz*

Iwona Kasino - *Sekret mojej mamy*

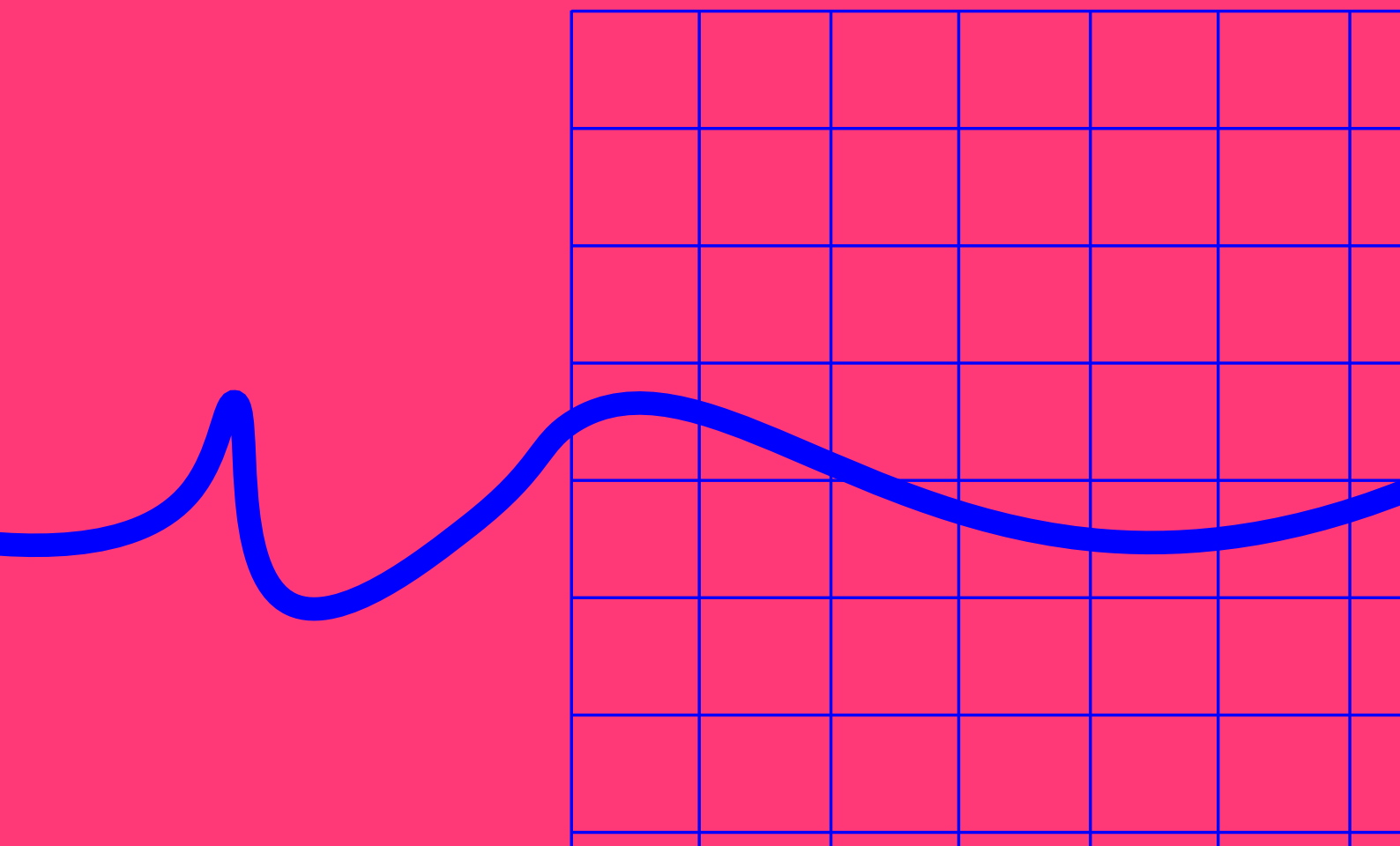
Arkadiusz Kowalik - *Dźwięki ptaków, odgłosy ludzi*

marta sokołowska - *Po ojcu*

Sylwia Iwańska - *Gwałt na pamięci*

Katarzyna Woydyło - *Między piętrami*

Barbara Żakiewicz - *Wygwane dzieci*



# Szachrajka

## Fragment

Jesienne noce sprzyjają ceniom, zjawom i zuchwałym występkom, zwłaszcza w takim mieście jak Kraków, gdzie duchy jak króliki wyskakują zza węglów i spomiędzy chodnikowych pęknięć.

Nadeszła pełnia.

Krwawy księżyc subtelnie doświetlał zabytkowe uliczki, wejścia do piwnicznych spelunek, dyskretne kąty i załamania starych murów. Dodawał uroku kasztanowcom na zmęczonych turystami Plantach, przystankom tramwajowym i koszom na śmieci. Przez nieotwierane nigdy okna wślizgiwał się na klatki schodowe brzydkich budynków.

Szczególnie miękko poświata kładła się na ułożonych w kręgu ośmiu menhirach. Okalające je ruiny starej prochowni, niezmiennie oszpecone bohomazami, trwały w łagodnej ciszy. Razem z końcem lata straciły zainteresowanie zagubionych, nocnych wędrowców i miejscowych hulaków, którzy pozostawili po sobie odłamki kolorowego szkła, z każdym dniem zapadające się coraz głębiej w ziemię.

Równowagę i należyty ład wzgórza Swaroga zakłócały jednak inne byty.

Pierwszym z nich była kobieta o uduchowionych oczach i lekkomyślnie nadanej urodzie bogini. Opadające na plecy włosy podążały miękko za ruchami smukłego, doskonałego ciała, uwodząc i prowokując. Pachnące tuberozą i arabskim jaśminem nadgarstki, długie, ciemne rzęsy, gładka szyja – każdy element zdawał się odgrywać swój własny teatr.

Poza nią, tuż za murem prochowni, znajdował się jeszcze cień. Cień, powiedzmy sobie to jasno, zdeterminowany i gotowy.

Byłoby naiwnością sądzić, że łatwo jest wpłynąć na nocny obraz miasta,

jednak zaryzykujemy pogląd, że co wrażliwsi mieszkańcy odczuli jakąś niepokojącą zmianę, drobne drgnięcie na strunie czasoprzestrzeni, kiedy ostrze pasterskiego noża z impetem wbiło się w idealny brzuch bogini.

Drugie uderzenie z początku zatrzymało się na kości, ale szybko znalazło drogę między żebrami, prosto w mięsistą tkankę serca. Kolejne ciosy były nieistotnym dodatkiem, który wydarzył się dla świętego spokoju mordercy, albo też z niemożności pohamowania zwierzęcego instynktu.

W końcu cień zakończył swoje dzieło. Patrzył jeszcze przez chwilę na ofiarę, a potem powoli wycofał się i odszedł. Zniknął, rozplynął się w zdziuczonych ścieżkach kamieniołomu.

Gałki oczne kobiety znieruchomiały i przypominały teraz szklane kulki, którymi dawno temu bawiły się dzieci. Spływająca drobnymi strumykami krew nadawała jej ciału jeszcze jakieś pozory ruchu, życia, ale głowa leżąca bezwładnie na chłodnej, twardej ziemi nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Czerwone krople powoli stapały się ze ściółką, cień był już daleko, a kamienny krąg wciąż błyszczał odbitym światłem.

W oddali, w knajpach starego Kazimierza, dopijano ostatnie piwa. Na nowych osiedlach i PRL-owskich blokowiskach rodzice po raz kolejny wstawali do płaczących niemowlaków. Pechowcy cierpiący na bezsenność, przekręcali się z boku na bok, klnąc i złorzecząc. Gdzieniegdzie nocną ciszę przerwał krzyk wracającego z imprezy studenta.

Uboższe o jedną duszę miasto zmierzało w kierunku dnia.

\*

– Które chcesz? – zawołał. – Rubiny? Czy ten jasny komplet?

– Jasny! – usłyszał z garderoby. – Niebieską zakładam!

Wstukał ośmiocyfrowy kod i przekręcił dźwignię.

Lubił zaglądać do sejfu.

Wyciągnął obite granatowym pluszem pudełko. Pogładził dłonią miękkie

włoski, a potem odchylił wieczko. Zawartości nie mógł nikomu pokazać, ale od czasu do czasu patrzył na nią dla frajdy. Zanim te cuda zapewnią mu spokojną i odpowiednio wczesną emeryturę, zdąży spędzić z nimi trochę czasu. Z westchnieniem odłożył cenne pudełko.

Jego dłoń ledwie zdążyła dotknąć szkatułki z biżuterią żony, kiedy usłyszał histeryczny wrzask.

– Karol! Chryste, chodź tu! Kurwa, Karol, szybko!

Bez wahania rzucił się do drzwi i z impetem wpadł do garderoby po przeciwnej stronie. Szarobiała chmura owionęła jego oczy, usta, nozdrza. W pierwszym odruchu odwrócił głowę.

– Karol!

Nabrał powietrza. Dym wcale nie był tak gęsty, jak wydawało się w pierwszej chwili, ale wciąż napływał. Z cichym sykiem wydobywał się zza powieszonych na drążku sukienek od Valentino i Diora. Wśród zagadkowych oparów tkwiła jego żona, w pełnym bezruchu, jakby dotknięta paralizem. Darła się za to wniebogłosy.

– Na boga, kobieto, rusz się! – Złapał ją za rękę i siłą odciągnął od wieszaków.

Dym zdążył przedostać się na korytarz, ale nie był tam tak gęsty.

– Coś ty zrobiła? – zapytał.

– Nic, to się samo zaczęło! – odparła, drżąc. – Zupełnie nagle!

Była śmiertelnie przerażona. Objął ją i zaczął uspokajać, choć sam też trząsał się z nerwów.

Przez myśl przeszło mu, że gaz może być trujący. Albo wybuchowy. Czy nie powinni uciekać? Dzwonić na pogotowie gazowe, na straż pożarną? Ratować się?

Zanim jednak zdążył wziąć nogi za pas, mózg podsunął mu mgliste i niejasne wspomnienie, które wydawało się mieć znaczenie.

Pociągnął nosem.

Karmel, ewidentnie czuł karmel. Przypomniwał sobie głupie eksperymenty z kolegami z podstawówki. Jak w pysk strzelił, to musiała być saletra z cukrem.

Czerwona lampka w głowie Karola zapaliła się o minutę za późno. Klnąc, odepchnął żonę i wbiegł do gabinetu.

Poczuł na skórze chłodne powietrze dolatujące z otwartego okna i przeszły go ciarki. Przełknął ślinę, podszedł do sejfu i zajrzał do środka.

Szkatułka jego żony była na swoim miejscu, gotówka i paszporty też. Oszukując samego siebie, przez chwilę wypatrywał granatowego pudełka. Może przez nieuwagę odłożył je gdzie indziej?

Rzeczywistość zupełnie nie chciała z nim współpracować. Jego skarb zniknął.

Karol rzucił się do okna, jednak nie dostrzegł żadnego podejrzanego ruchu, samochodu czy sylwetki.

W obliczu katastrofy człowiek lubi łudzić się, że czas za chwilę się cofnie, a wszystko okaże się kosmiczną pomyłką.

Tymczasem dowód na nieodwracalność minionego wydarzenia, wypatrywana przez Karola złowroga sylwetka, właśnie zwalniała tempo biegu. Zatrzymała się przy wiekowej topoli i podniosła z ziemi zardzewiały, popielaty składak. Wyciągnęła z bagażnika ciepłą, granatową bluzę. Zdjęła lateksowe rękawiczki, rozpuściła orzechowe włosy i niedbale przeczesła je palcami. Zanim wsiadła na rower, zdążyła jeszcze zaśmiać się radośnie i poczuć płynącą w żyłach adrenalinę. Cenny łup w plecaku wydawał się pulsować, jakby biło w nim osobne serce.

\*

Strzeliste wieże sprawiają, że kościół na podgórskim rynku można omyłkowo wziąć za siedzibę czarnoksiężnika. Odpukać, turyści nie zdają sobie sprawy z istnienia tego miejsca, bo pewnie bezlitośnie zapełniliby puste ławki i zalali plac wielojęzycznym gwarem. Teraz, przechodząc obok, można przynajmniej pomarzyć, że w wolnej chwili przysiądzie się tu spokojnie z migdałowym rogalikiem.

Skręcając w jedną z uliczek, Karski przezornie się rozejrzał. Wystarczył mu drobny, niemal niezauważalny ruch głowy, by upewnić się, że nie jest śledzony. Kluczył między budynkami, aż dotarł do niszczących schodów. Wbiegł na górę i usiadł u ich szczytu. Odruchowo wyciągnął rękę, żeby odsłonić tarczę zegarka spod czarnego rękawa.

Nie czekał długo.

– Siema – przywitał się chudzielec, siadając tuż obok. – Kapitanie.

Karski nienawidził, kiedy tak go nazywano. Głupia ksywa z czasów naiwności.

– Cześć, młody – powiedział, widząc, jak przez nos tamtego wędruje zmarszczka niezadowolenia. – Powiedz mi, co tam się wczoraj odwalilo na willach?

– Nie wiesz? Paniczowi od armatury ktoś ojebał sejf.

– Co poszło? Kasa?

– Jakies świecidełka. – Chudy wyciągnął z kieszeni brudną chusteczkę i wytarł cieknący nos. – Kretyn, lubił się pochwalić po pijaku. Wczoraj też od razu poleciał z jęzorem do sąsiadów i masz, pół dzielnicy na gwałt szuka ochrony. Chcesz wiedzieć coś więcej?

Karski pogardliwie wzruszył ramionami.

– Kradzieże mnie nie interesują. Myślałem, że coś grubszego się szykuje.

– Nie za wybredny jesteś jak na psa? Mówią, że to sprawka Aurory. Kiedy ktoś od was się za nią weźmie? Dziewczyna robi niepotrzebne zamieszanie na mieście.

– Pewnie nigdy.

– Jak to? Przecież wszyscy wiedzą, co odpierdala?

– I co z tego? – Karski wzruszył ramionami. – Nie ma poszkodowanych, nie ma śledztwa. Panicz to samo, sąsiadów ostrzegł, ale nam nic nie zgłosił.

– Cwaniara coś wymyśliła. A widziałeś ją? Ładna jest?



- Mamy zdjęcie na bazie. Czy ja wiem? Średnia, nie przyglądałem się.
- Skoro się nie przyglądałeś, to pewnie nic specjalnego – stwierdził chudy z pewnym zawodem.
- Panienki wolę oglądać w innych miejscach.
- Mówiłem, wybredny.
- Dobra, dość tego, nie mam czasu na pogaduszki. Przekaż staremu, żeby nie grali jutro wieczorem, będzie nalot. Maszyny też niech posprzątają.
- Będzie cacy herbatka.
- Cacy to będzie, jak mi się zrewanżujecie. Potrzebuję jakiś konkret.

Chudy rozłożył ręce.

- Kiedy nic się teraz nie dzieje. Wszystkich dużych już pozamykaliście.

Karski spoważniał i nachylił się w jego stronę.

- Młody, ty myślisz, że ja się wczoraj urodziłem? – Chudy milczał. – Wiesz, jaka jest umowa. Chyba że mam sam przyjść i poskładać staremu interes?
- Po co te nerwy? Dogadamy się.

Chudy nie dostrzegł drgnięcia na twarzy Karskiego. Alergia dawała mu się we znaki, jakby wszystkie zaułki tego betonowego miasta obsiane były pokrzywą i perzem. Sięgał do kieszeni po chusteczkę, kiedy niespodziewana siła przygwoździła go do zimnej posadzki.

- Dogadamy się? – powtórzył Karski, prawą ręką ciągnąc za materiał sportowej kurtki chudego, tak, żeby uciskał krtań. – Co ty myślisz, że ja jestem twoim kolegą?

Doceniał duszenie, bo z miejsca pokazywało, z jakim człowiekiem ma do czynienia. Chudy, gangster z bożej łaski, chwycił jego rękę i próbował odciągnąć ją od swojej szyi. Mógłby zamiast tego przywalić mu w twarz, zaatakować oczy, ale nie, siłował się bez sensu, jakby wydawało mu się, że ma szansę swoimi patykowatymi rękami pokonać jego stalowy chwyt. Fantasta.

- Macie tydzień na znalezienie mi czegoś dobrego, albo uznam, że robicie

mnie w chuja. Jasne?

Chudy, gdyby mógł, pewnie pokiwałby głową, ale nie był w stanie. Krew zaczęła odpływać mu z twarzy. Karski wyczekał odpowiedni moment i rozluźnił palce. Z obrzydzeniem wytarł rękę o spodnie. Słyszał jak tamten łyka gwałtowne, bolesne hausty powietrza.

– Nie musiałeś – wycharczał wreszcie chudy – Kurwa, nie musiałeś.

– Młody. – Karski włożył ręce do kieszeni i uniósł lewy kącik ust. – Jak ty się chcesz zadawać z miłymi ludźmi, to lepiej zmień branżę.

Na odchodne klepnął go w ramię.

– Widzimy się za tydzień na starym stadionie. I mam nadzieję, że to będzie bardziej owocne spotkanie.

Pięć minut później Karski wmieszał się w tłumek czekający na przystanku. Stali w ciszy, spoglądając co chwila na elektroniczną tablicę, jakby to miało magicznie przyspieszyć przyjazd opóźnionego tramwaju. Od strony rynku nadciągnęła niska staruszka, holując kraciastą torbę na kółkach. Jej zawartość intensywnie pachniała świeżym chlebem zakupionym w jednej z pobliskich piekarni. Staruszka zmierzyła wzrokiem dziewczynę z odsłoniętymi kostkami i wzdrygnęła się, marszcząc okolice ust. Potem jej spojrzenie zatrzymało się na Karskim. Przeżegnała się za maszyście.

Jego lewa tęczęwka była idealnie błękitna, za to prawą niemal w połowie przykrywała plama brązu. Kiedy był młodszy, tłumaczył ludziom, czym jest heterochromia. Po trzydziestce ani razu nie użył tego słowa.

– Spokojnie – powiedział do staruszki. – Jestem bardzo leniwym demone. Nie ma się czego bać.

Usłyszał, jak ktoś za jego plecami prychnął śmiechem. Kobięcina mocniej zacisnęła rękę na uchwycie i ruszyła żwawo, z przestraszeniem oglądając się za siebie.

Dziesiątka była o tej porze zapchana wracającą ze szkół młodzieżą, której zwyczajne rozmowy budziły w Karskim niesmak. W wagonie stanął przodem do szyby, dzięki czemu pasażerowie nie musieli na niego patrzeć. Ani on na nich. Skupił się na panoramie. Przyglądał się spod powiek mi-

janyh ulicom, tak jakby można było w ten sposób zauważyć jakieś symptomy zła w tkance miasta. Dostrzegał pstrokate szyldy na ścianach, z których tynk odchodził płatami i ludzi spieszących diabeł wie gdzie. Nikt już nie chodzi normalnie, wszyscy cierpią na deficyt czasu.

Wysiadł na Cystersów i udał się tam, gdzie można było usłyszeć najciekawsze plotki z komendy wojewódzkiej. Do ukrytego w cieniu drzew baru mlecznego.

– Znowu szydzą, że u nas nożownia – powiedział nadkomisarz o podkrążonych oczach. W jego ochrypłym głosie można było wyczuć rodzaj lepkiej satysfakcji. – Maczetogród i takie tam.

– Można się dosiąść? – zapytał Karski.

– Chodź, Daro. – Nadkomisarz przyjaźnie odsunął krzesło, choć miny pozostałej dwójki siedzącej przy stole nie wskazywały na entuzjazm. – Co tam u ciebie?

– Nic, posucha. Mówisz o tej denatce z kamieniołomu?

Nadkomisarz wyraźnie się ucieszył. Odłożył widelec na talerz wypełniony podwójną porcją pierogów ruskich z cebulką i złożył dłonie.

– Tak, już po sekcji. Słuchaj, osiem ran kłutych. Wyciekło, wszędzie już o tym trąbią.

– I tak się dziwię, że tak długo im zeszło. Zdarzało się, że byli na miejscu przed prokuratorem. Jest jakiś trop?

Najmłodszy z siedzących przy stole wtrącił się z przejęciem.

– Mówią, że to sataniści.

– Sataniści? – powtórzył Karski, patrząc na niego spod zmrużonych powiek. – Nie ograniczajmy się, może zabiła strzyga?

– Nie kpij, Daro – rzucił nadkomisarz. – Kobitkę poszatkowali w kręgu z kamieni. Do tego jakieś świeczki, znaki, duperele. Coś może być na rzeczy.

– Prędzej uwierzę, że to zemsta za ukradziony rower. Trochę rozsądku, panowie.

Odchylił się na krzesło i kątem oka złapał czyjeś niechętnie spojrzenie.

Wiedział, że nie jest lubiany, ale czasem zastanawiało go, dlaczego patrzą na niego w ten sposób ludzie, których nawet nie kojarzy. Jakby zrobił im jakąś krzywdę.

– Znam go – powiedział nadkomisarz. – Startował do was niedawno, ale był za cienki. Wszystkim szczyłom się wydaje, że w cebosiach jest lepiej. A to pewnie to samo gówno.

– Żebyś wiedział – odparł Darek, nie spuszczając czujnego wzroku z chwilowego przeciwnika. Odsunął krzesło i wstał.

– Daro, daj spokój – powiedział nadkomisarz.

– Idę po sernik. Gnoja zabiję kiedy indziej.

Dwa stoliki dalej siedzieli stali bywalcy, sącząc herbatę i rozmawiając. Wyglądali schludnie, choć nie śmierdziali groszem. Całymi dniami grywali w tysiąca. Karty tasował zawsze ten z długą, siwą brodą, on też zapisywał wyniki w grubym zeszytce w kratkę. Czasem po prostu siedzieli w milczeniu, z uśmiechem pana na włościach obserwując gości przychodzących na bułkę z pastą jajeczną czy naleśniki ukraińskie. Herbaciarze byli jednymi z niewielu znanych Karskiemu ludzi, którzy nie byli wiecznie zagonieni i niezadowoleni. Trochę im zazdrościł.

Przechodząc obok ich stolika, podniósł leżącą na podłodze serwetkę. Zmiał ją w dłoni i wykonał zamaszty ruch w stronę kosza na śmieci. Potem podszedł do lady i zamówił ciasto, pokazując palcem konkretny talerzyk. Wybrał najbardziej symetryczny kawałek.

Kwadrans później stał już na zewnątrz baru. Sięgnął do kieszeni. Treść zapisanej na perforowanej celulozie notatki sprawiła, że z zaniepokojeniem ściągnął twarz. Niebo też zdążyło się zachmurzyć, jakby próbowało dopasować się do jego nastroju.

Do gabinetu szefa dotarł w mniej niż dziesięć minut.

– Cześć. – Przystanął w drzwiach. – Słyszałem, że o to niedzielne morderstwo podejrzewają jakąś tajemniczą sektę?

Szef podniósł wzrok, jakby wcześniej go nie zauważył. Był zdenerwowany.

– To na razie nie nasza sprawa, nie mieszamy się, dopóki nas nie poproszą.

– A poproszą?

– Daj spokój. Pewnie znajdą zaraz jakiegoś zazdrosnego kochanka albo ćpuna, który to zrobił. Siadaj, Karski. Jak ci idzie namierzanie?

– Cóż – odparł, sadowiąc się na krzesle. – Jeszcze nic nie mam. Co taki spięty jesteś dzisiaj?

– Nie wiesz tego ode mnie, ale wewnętrzni cię sprawdzają.

Karski zmarszczył brwi. Do ostatniej chwili miał nadzieję, że informacje dostarczone przez uchołi to tylko fantazje i czcza gadanina.

– Jakiś konkret?

– Analizują stare sprawy – powiedział szef, ścisząc głos. – Śmierć na skałkach też.

Po szybie zaczęły spływać pierwsze krople drobnego deszczu. Karski uważnie patrzył na rozmówcę.

– Czemu wzięli to na tapet? Mają jakieś nowe poszlaki?

– Nie wiem i nie zamierzam węszyć. Własnej dupy narażać nie będę. Załatw coś dobrego, to ktoś z góry może przyhamuje prokuratora.

– Jak to „załatw”? – Karski rozłożył ręce. – Dopiero co narailem ekipie największy transport narkotyków, jaki kiedykolwiek przejechał przez Kraków. To mało?

– Darek, plecy mają swoją datę przydatności. Sukces sprzed trzech miesięcy nikogo nie interesuje. Liczy się to, co jutro będzie w nagłówkach. Osobiście wolalbym poczytać o aresztowanych członkach gangu, a nie o policjancie idącym do pierdła za morderstwo, ale ludziom pewnie jest wszystko jedno. Byle szumiało.

– Dobra – odparł Karski z niechęcią. – Zrobię, co mogę.

– I słuchaj, bądź teraz ostrożny, nie pakuj się w żadne kłopoty. Sprawa jest

poważna. Pilnuj papierów, wszystko ma być czyste jak łąza.

– Jasne, zaraz przysiadam do makulatury.

\*

Deszcz rozszalał się na dobre i kiedy Karski po trzech jałowych godzinach wyszedł z budynku prosto w wieczorny mrok, chodniki i ulice podziurawione były wielkimi kałużami. Przystanął nad jedną, powstrzymując irracjonalną chęć przejścia przez środek. W dzieciństwie usłyszał od kogoś, że kałuże to wrota do innego wymiaru. Niby głupie, a jednak lubił na nie patrzeć z nadzieją. Po ślęczeniu nad raportami, każda fantazyjna myśl wydawała się ożywcza. Mocno wciągnął nozdrzami powietrze, było rześkie i świeże, jak zawsze po ulewie. Nie miał ochoty na zaduch w tramwaju woniejącym zabieganymi ludźmi. Poszedł piechotą.

Ulice były niemal puste, od czasu do czasu mignęła jakaś postać przemykająca pod murem ze złożoną parasolką wystającą z torby. Zimne krople skapywały z drzew, a wiatr wzmagął się coraz bardziej. Karski lubił, kiedy miasto było takie spokojne. Przystanął na chwilę na moście Grunwaldzkim i opierając się o barierki, patrzył w czarną toń, w której odbijał się ubywający księżyc.

Za jego plecami przeszła grupa rozweselonych nastolatków.

– To jest wszystko nieprawda, nie było żadnego zabójstwa – powiedział ktoś. – Pały chcą, żebyśmy siedzieli w domach.

– Kontrolują nas.

Karski uśmiechnął się pod nosem. Wieść o rytualnym morderstwie rozniosła się w mig i zawładnęła umysłami mieszkańców jak zjadliwy wirus. W mieście żadnym tajemnic każdy miał już własną teorię.

Ruszył dalej. Wiatr rozpędził chmury i coraz więcej ludzi wychylało nosy ze swoich ciepłych mieszkań. Karski wolał zniknąć, zanim zrobi się tłoczno.

Z daleka rozpoznał wąsatą postać, która nerwowo kręciła się pod bramą jego kamienicy.

– Cześć, Teodor – przywitał się. – Coś się stało?

– Czy coś się stało? – Wypielegnowany wąs poruszył się z oburzeniem. – Ciągłe coś się dzieje! Kupują, burzą i znowu kupują! – Podszedł do Karskiego i złapał go za łokieć. – Musisz, musisz coś zrobić, kapitanie! Oni tam przesiadują i spiskują, godzinami obmyślają, jak zniszczyć to miasto. I to tuż pod moim nosem, na mojej ulicy, barbarzyńcy i pomiot szatana! Spiskują, słyszysz?

Karski oddychał spokojnie, próbując nie zmieniać wyrazu twarzy.

– Teodor. Miałem ciężki dzień, pogadamy kiedy indziej, dobra?

Niestety zamiast uspokoić rozmówcę, tylko go rozsierdził.

– Ty się będziesz krygował, guzdrał, odwlekał, a oni tam wszystko zdemolują, zrujną i hotel postawią! Albo gorzej! – Jego oczy świeciły księżycowym blaskiem. – Bank. Sklep. Szklany. A jak nie szklany, to na czerwono pomalują.

– Teodor...

– Jeśli się nie postawimy prymitywom, zaraz zobaczysz to za swoim oknem. Zetną lipy, dęby, wierzby i wtedy będziesz miał się z pyszna. Oni tam tylko siedzą i obradują, jak się do tego zabrać!

Karski położył dłonie na ramionach Teodora.

– Obiecuję ci, że się temu przyjrzę. W przyszłym tygodniu.

– Ciągłe tak mówisz. – W jego oczach zaczęły formować się zaczątki łez. – Zbywasz mnie, przyjacielu. Po prostu zbywasz.

Ostatnią rzeczą, na którą Karski miał ochotę, było tłumaczenie się Teodorowi.

– Mam sprawy rodzinne na głowie – skłamał. – Daj mi kilka dni.

Teodor fuknął, ale skapitulował.

– Będę czekał – powiedział. – Trzymam cię za słowo.

Karski pokiwał głową. Przez chwilę słuchał dźwięku mokrych liści plaskających pod eleganckimi butami odchodzącego Teodora.

Wszedł do klatki. Piwniczny zapach starych murów kamienicy zawsze działał na niego uspokajająco. Karski wpatrywał się przez chwilę w matowy o tej porze witraż z tulipanem, a potem skrzypiącymi drewnianymi schodami ruszył na drugie piętro.

W swoim mieszkaniu powinien czuć się bezpieczny, a jednak nie, właśnie tam lęki wracały do niego ze zdwojoną siłą, może dlatego że nie musiał zachowywać pozorów. W jego umysł natychmiast wkradł się niepokój. Napięcie, pośpiech, oczekiwania innych, nagłówki, raporty, niemoc. Rzeczy, których na pewno nie dopilnował, a które są o krok od odkrycia przez wrogów. Nieprzyjazne twarze, słowa, krzyki, wspomnienia strzałów, lęki, sny i koszmary. Wszystko to walczyło o jego uwagę. Nawarstwiające się pomysły, rozwiązania, wszystkie prowadzące do niczego, a właściwie z powrotem do początku, do poszukiwania wyjścia. Pętla szaleństwa.

Wbiegł do łazienki i zwymiotował do muszli. Potem oparł się plecami o wannę i otarł czoło, które zdążyło zrobić się mokre. Jego ciałem jeszcze przez chwilę wstrząsały drgawki. Nie byłby w stanie powiedzieć, jak długo siedział w bezruchu, może pięć minut, a może pół godziny. W końcu podniósł się ciężko. Dokładnie umył zęby.

W salonie oparł ręce o dębowy blat, włączył czajnik. Słuchając szumu gotującej się wody, odkręcił kuchenny kran i ochlapał twarz lodowatą wodą. Jeden, drugi, trzeci raz. Kiedyś to pomagało.

Otworzył szufladę i sięgnął do tekturowego pudełka wypełnionego earl grey, jednak jego ręka zawisła w powietrzu, a wzrok ześlizgnął się na czarną, metalową puszkę z rysunkiem sakury.

Potrzebował się zrelaksować.

Postawił puszkę na blacie i uruchomił tablet. Po chwili zastanowienia wybrał listę rozpoczynającą się *Oceanem wolnego czasu* Maanamu. Bez pośpiechu przygotował skręta i ruszył w stronę fotela. Rozsiadł się wygodnie, zatapiając plecy w welurowym oparciu.

Dźwięk dzwonka rozległ się w momencie, kiedy płomień zapalniczki liźnął końcówkę jointa.

Karski zaklął. Wstał, na wszelki wypadek schował trawę z powrotem do puszki i poszedł otworzyć.



– Cześć – usłyszał.

W drzwiach stała szczupła dziewczyna o łagodnych rysach, trudnym do określenia kolorze włosów i bystrych, zielonych oczach. Prezentowała się całkiem zwyczajnie, nie była ranna, pijana ani potargana.

Nie znał jej. Ale czy na pewno?

Wyciągnęła przed siebie dłoń ryzykownie trzymającą szyjki dwóch brązowych butelek i zamachała.

– Mogę wejść? – zapytała.

Nie odpowiedział, musiał się jej jeszcze przyjrzeć. Było w niej coś znajomego, coś, co miał na końcu języka, ale co trudno było sformułować w konkret. Założył rękę na rękę i wtedy odpowiedni trybik w jego mózgu wreszcie poruszył się zgodnie z przeznaczeniem. Umysł od razu zapulsował alarmem i postawił ciało w stan gotowości.

– Aurora – powiedział głośno. – To ty, prawda?

– Brawo, detektywie – odparła, układając usta w coś przypominającego uśmiech, ale ledwie dostrzegalnego.

Oparł się ramieniem o framugę i zmrużył oczy.

– Serio? – zapytał. – Ty? Tutaj?

– Wpuścisz mnie do środka czy mam ci się tłumaczyć na klatce?

Wyglądała jednak na przestraszoną. Wyczekując jego odpowiedzi, odgarnęła z twarzy kilka niesfornych kosmyków.

– Właż – wycedził, szerzej otwierając drzwi.

Obserwował ją uważnie, kiedy zdejmowała kurtkę i adidas.

– Potrafisz zwiewać w samych skarpetkach? – zapytał.

Najwyraźniej nie dosłyszała kpiny w jego głosie, bo pokręciła głową przecząco.

– Nigdy nie próbowałam. Ale kiedy na szali jest moje życie, nie liczę na fory.

Karski przełknął ślinę. Cała ta sytuacja wyjątkowo mu się nie podobała. Wskazał dziewczynie kanapę, a sam poszedł po otwieracz. Zanim go użył, dyskretnie obejrzał butelki. Kapsle nie wyglądały na uszkodzone.

Postawił piwo na stoliku i usiadł w fotelu naprzeciw Aurory.

– Zakładam, że masz ważny powód?

– Tak – odparła. Wypiła chciwie kilka łyków i otarła usta wierzchem dłoni.

– Potrzebuję pomocy.

Lewy kącik ust Karskiego powędrował do góry.

– A myślałem, że twoje zjawienie się w moich drzwiach było już wystarczająco niedorzeczne.

Milczała.

– Poza tym... – Rozłożył ręce na podłokietnikach i postarał się, żeby jego ton wydawał się trochę niedbały. – Słyszałem, że całkiem niezle radzisz sobie sama.

– Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że co najmniej połowa tego, co o mnie opowiadają, to bzdury?

– To na pewno, ale która połowa to kłamstwo?

Tym razem z wyzwaniem spojrzała mu w oczy.

– Zastanów się, ile prawdy jest w tym, co mówią o tobie i będziesz miał gotowy szablon.

Wytrzymał. A potem spokojnie, jak gdyby nigdy nic, upił łyk piwa. Było całkiem dobre, zimne i mocno chmielowe.

– Słuchaj, nie jestem dobrym partnerem do pogawędek. Mów, z czym przyszłaś albo się wynoś.

Odniosł wrażenie, że nieco zbladła.

Odłożyła swoją butelkę na stolik.

– Ktoś na mnie poluje – oznajmiła poważnie.

– Jakoś mnie to nie dziwi – rzucił Karski, marszcząc brwi. – O ile wiem, załazłaś za skórę całej masie ludzi. I to wpływowych.

– Ale do tej pory nikt nie chciał mnie zabić – odparła.

Odruchowo podparł podbródek dłonią. Ciekawość zwyciężyła.

– Kogo aż tak wkurwiłaś?

– Pomożesz mi czy nie?

Na jej twarzy widać było napięcie.

Karski wstał i w milczeniu włożył ręce do kieszeni.

To nie był najlepszy moment na pakowanie się w kłopoty, nawet tak interesujące.

– Dlaczego przyszłaś z tym do mnie? – zapytał.

– Słyszałam, że się nudzisz w pracy.

– Nieśmieszny przytyk, tracisz tylko punkty. Czemu ja?

– Na mieście mówią, że można się z tobą dogadać.

Zza okna przedarł się krzyk miejscowego pijaczka.

Wieczorami, a niekiedy i w nocy, docierały tu niedobitki utracjuszy, którzy za dnia przesiadywali pod mostem Dębnickim. W miarę wykańczania zapasów alkoholu zapuszczali się coraz głębiej w Stare Dębniki, jakby pałali sentymentem do nadgryzionych przez ząb czasu kamienic. Choć może po prostu kręcili się w pobliżu monopolowych w dzielnicowym rynku.

Karski wciąż stał i patrzył, jak dziewczyna wierci się na kanapie.

Nie wyglądała jak rasowa przestępczyni, jej spojrzenie było niewinne i miękkie. Wyzierała z niej jednak jakaś trudna do ujęcia dzikość. Nieumalowane rzęsy, włosy w lekkim nieładzie, paznokcie równo przycięte przy samej skórze. Kilka ledwo widocznych piegów. Biała koszulka za duża co najmniej o jeden rozmiar, przetarte levisy, klasyczny zegarek z brązowym paskiem.

Te pozory niewinności martwiły go nie na żarty, do tego z tyłu głowy huczały ostrzeżenia szefa.

Zebrał powietrze w płucach i użył najbardziej stanowczego tonu, na jaki było go stać.

– Nie – powiedział.

Posmutniała i spuściła głowę. Przez moment zrobiło mu się jej żal.

– A czy... – Złapała dłonią przeciwległe ramię, jakby osłaniała się przed zimnem. – Czy mogłabym się chociaż przekimnąć na kanapie? Nie mogę wrócić do swojego mieszkania.

Karski był pod wrażeniem jej tupetu.

– Nie masz jakiejś koleżanki?

– Nie chcę nikogo narażać – powiedziała. – Glinie nikt nie odważy się grozić.

– Opanuj się z tym lechtaniem – odparł. – Na mnie to nie działa. – Skrzyżował ramiona i przez chwilę szukał odpowiednich słów. – Widzisz... Uważam, że w każdej legendzie jest ułamek prawdy. O tobie mówią, że jesteś przebiegła, co w moim mniemaniu oznacza, że nie można ci ufać. O mnie za to krąży opinia palanta.

– Zapomniałeś o mordercy.

Miał ochotę przełknąć ślinę, ale powstrzymał się.

– Niech ci będzie, że mordercy. Ale skupmy się na palancie. Nie sądzisz, że nasza sława nas wyprzedza i podpowiada najrozsądniejsze rozwiązania?

Jej oczy zapłonęły. Wstała z kanapy i ruszyła do wyjścia.

– Trafię sama.

Kiedy usłyszał huk zamykanych drzwi, usiadł. Obracał w dłoniach zimną butelkę. Nie był z siebie dumny.

Co jeśli naprawdę ją zabiją?

Próbował odsunąć od siebie tę myśl, ale bezlitośnie wracała. Widział już

w życiu kilka trupów i z przerażającą łatwością potrafił wyobrazić sobie dowolną maskę na nieodwracalnie zimnym ciele. Złapał się za skronie, czując, jak palący ból przeszywa klatkę piersiową. Kiedy był dzieckiem, nie wiedzieć czemu wydawało mu się, że sumienie i płuca to jeden i ten sam narząd. Umysł za nic nie chciał pozbyć się tego obrazu.

W nocy długo nie mógł zasnąć. Słuchał, jak krople deszczu bębnią o parapet i zastanawiał się, co by było, gdyby się zgodził.

\*

Z ciemności wyrwał go irytujący dźwięk. Alarm w telefonie. Powieki wydawały się ciężkie, podobnie reszta ciała. Zwlekł się z łóżka, odsunął za ciemniącą roletę i wyjrzał przez okno. Drzewa wciąż stały na swoim miejscu.

Ułożył się na podłodze w podporze przodem i zrobił serię dynamicznych pompek. Potem obrócił się na plecy i przez chwilę patrzył w sufit.

Aurora. Czy to był sen?

Rano zbywanie natrętnych myśli wychodzi o niebo lepiej niż w nocy.

Otworzył drzwi i piętnaście razy podciągnął się na drążku rozporowym. Poranny rozruch zawsze najszybciej go budził i pozwalał zapomnieć o koszmarach.

Wszedł do salonu i włączył ekspres. Ostatnio nagrzewał się dłużej, tak jakby był zmęczony produkowaniem zbyt dużej ilości kawy.

Karski podstawił szklankę pod kran i nalał zimnej wody. Starał się wypijać chociaż trochę jeszcze przed pierwszym espresso. Obrócił się, oparł się biodrami o szafki i biorąc pierwszy łyk, skierował wzrok na widoczną za oknem zielenią.

Prawie upuścił szklankę.

Odłożył ją i złapał się za klatkę piersiową.

– Jasna cholera...

Miał na końcu języka soczystsze przekleństwo, ale nie lubił używać ich

w swoim domu. Wyobrażał sobie, co powiedziałby na ten temat ojciec.

Podszedł bliżej, stawiając kroki ostrożnie, jakby miał do czynienia z tygrysem.

Na jego kanapie spała Aurora, przykryta kraciatym, brązowym kocem.

Mełł to przez chwilę w głowie, po czym westchnął głęboko. Tak łatwo się jej nie pozbędzie.

Wziął szybki, lodowaty prysznic. Założył czyste dżinsy i czarny T-shirt. Wyciągnął patelnię z szafki, otworzył lodówkę. Ciągle łapał się na tym, że odruchowo stara się nie być za głośno.

Aurora obudziła się, kiedy już smażył jajecznicę. Przeciągnęła się i zwinie wyplątała z koca. Miała na sobie flanelową koszulę gospodarza.

– Szykujesz śniadanie? – Zajrzała mu przez ramię.

– Tak. Teraz moja kolej na pytania. Co ty tu robisz?

– Czekam na jajecznicę – odparła, wskazując palcem na patelnię.

– Zaraz stracę cierpliwość.

– Będzie herbata?

– Zauważyłem, że masz dwie zdrowe ręce. – Wskazał jej na front szuflady.

– Czajnik widzisz.

Zaczęła przegrzebywać torebki z suszem.

– Chryste – zdenerwował się. – Weź earl grey w torebkach.

– Chcę zieloną.

– Nie mam.

– A to? – Uniosła blaszane pudełko z sakurą i postawiła je obok kuchenki.

Błyskawicznie położył na nim dłoń, drugą ręką wyłączając gaz. Przełożył pudełko na drugą stronę.

– To nie herbata, tylko zioła.

Obeszła go z tyłu i chwyciła puszkę.

– Lubię zioła. Rumianek? Mięta?

– Nie! – Znów musiał wyrwać jej to cholerstwo z rąk. – Zostaw. To mieszanka tylko dla mężczyzn.

Aż zaboląło go w środku, kiedy zrozumiał, co powiedział.

Dziewczyna roześmiała się z wyraźną uciechą.

– Trafiony, zatopiony. – Usadowiła się przy stole i opierając łokcie na blacie, podparła twarz dłońmi. Obserwowała go, kiedy rozstawiał talerze i nakładał jajecznicę z patelni. Przygotował jeszcze herbatę i usiadł.

Zanim zdążył chwycić za widelec, dziewczyna wepchnęła do ust ćwierć porcji. Jadła tak łapczywie, jakby od tygodnia nie miała nic w ustach.

– Spokojnie – przystopował ją. – Zachowujesz się, jakbyś siedziała dwadzieścia lat w więzieniu. Może jeszcze napłuj do środka? Przecież nikt ci tego nie zabierze, dziewczyno.

– Jest dobra – odparła. – Dawno nie jadłam nic ciepłego. Też będziesz jadł, czy zamierzasz tylko ciągle mierzyć mnie tym lodowatym spojrzeniem?

Odsunął talerz, jedzenie go dekoncentrowało.

– Chcę wiedzieć, jak tu weszłaś.

– Zaniepokojony, co?

Jak diabli, ale nie mógł dać tego po sobie poznać.

– Albo zaraz mi to wyjaśnisz, albo aresztuję cię za włamanie.

Roześmiała się perliście.

– Nie możesz. – powiedziała. Na chwilę odłożyła widelec, kierując na Karckiego swoje szachrajskie spojrzenie. – Ludzie są bardzo wrażliwi na luki w zabezpieczeniach. Najlepsze zamki, drzwi antywłamaniowe, alarmy... A wiesz, gdzie jest najwięcej dziur? – Wskazała na swoją głowę. – Właśnie tutaj.

– Do rzeczy.

– Widziałeś, jak wychodziłam?

Zamarł.

– Byłaś tu cały czas?

Skinęła głową i sięgnęła po kromkę posmarowaną masłem.

– Technicznie rzecz biorąc... – zaczęła z wypchanymi ustami, zasłaniając je przedramieniem – ...jestem czysta jak łąza. Wpuściłeś mnie.

– Kazałem ci się wynosić.

– Kapitanie. Przypomnij sobie, co dokładnie powiedziałeś, bo ja pamiętam to inaczej. Zrobiłeś mi wykład o potrzebie działania zgodnie ze swoją naturą. I voilà, zastosowałam się.

Oparł skroń na dłoni. Dawno nie czuł się tak bezdennie głupi.

– Powinieneś częściej chodzić do kina – oznajmiła. – Wiedziałbyś, że zawsze trzeba pobiec za dziewczyną. Mogę jeszcze chleba? Jest bardzo smaczny.

W milczeniu wskazał jej szafkę.

– Zabrałaś coś poza koszulą? – zapytał.

– Pożyczyłam – sprostowała, sadowiąc się przy stole z bochenkiem. – Jeszcze zapasową szczoteczkę do zębów.

– Grzebałaś w moich rzeczach?

Wzruszyła ramionami.

– Trochę. Lubię się rozglądać u klientów, czasem sekrety leżą sobie na wierzchu jak gdyby nigdy nic. Nie uwierzyłbyś, jakie fenomenalne fanty można zdobyć w ten sposób.

Zmrużył oczy.

– Co na przykład?

– Myślisz, że ci tak po prostu powiem?

– Jesteś mi winna chociaż jedną ciekawą historię za nocleg i śniadanie.



– Wskazał talerz podbródkiem. – Wiem, że robię najlepszą. Nigdzie nie zjesz takiej. Poza tym wyrolowanie mnie chyba dostarczyło ci niezłej rozrywki, a w życiu nie ma nic za darmo.

Roześmiała się, zasłaniając pełne jedzenia usta.

– Potrafisz być zabawny, kiedy zechcesz.

– Opowiadaj.

Wzięła głębszy wdech.

– Kiedyś odwiedzałam dość często biuro znanego polityka. Miał bardzo porządną sejf, ale trochę proszku, rzut oka pod ultrafioletem i wiedziałam, że używa tylko czterech cyfr z klawiatury. Oczywiście mógł złożyć z nich całkiem długi kod, jednak z doświadczenia wiem, że ludzie są leniwi. A im droższego sprzętu używają, tym mniej myślą.

– Nawet zakładając, że mówimy o czterech cyfrach, to i tak dwadzieścia cztery kombinacje? Całkiem sporo.

– Owszem, a system blokuje się po trzech nietrafionych próbach. Ale nie spieszyło mi się, a było się tam całkiem łatwo włamać. Pozwolisz, że nie będę wchodzić w szczegóły. Założyłam, że sam otwiera sejf co kilka dni, więc przychodziłam tam raz na dwa tygodnie i podejmowałam dokładnie dwie próby. Masz może kefir?

Bez słowa wstał, otworzył lodówkę i wyciągnął błękitny karton. Postawił go tuż przed jej nosem.

– Wstrząśnij.

– Dziękuję. Przy czwartej wizycie czułam się tam już całkiem swobodnie, więc zaczęłam szperać. Okazało się, że gość w zwykłej biurowej szafie trzyma zeszyt z brudami na wszystkich świętych tego miasta. Prawdziwy disneyland szantażu.

Karski zabębnił palcami o kolano.

– Wszystkich świętych, czyli kogo?

– Urzędnicy, sędziowie, policjanci. Kto wie... Może nawet ci, którzy właśnie teraz próbują cię załatwić.

Karski zdrętwiał. Położył przedramiona na blacie i nachylił się.

– W co ty ze mną pogrywasz?

Uśmiechnęła się.

– Mogłabym pomóc ci pozbyć się ogona – powiedziała i upiła kilka łyków kefiru z kartonu, łypiąc na Karskiego od niechcenia. – Ale nie zrobię tego, jeśli ktoś mnie sprzątnie.

Odchylił się do tyłu na krześle i pokręcił głową.

– Wiedziałem, że to się tak skończy. Po prostu wiedziałem.

– Będziesz to jadł? – zapytała. – Stygnie.

– Tak, będę – odparł, błyskawicznie przysuwając talerz z powrotem. – Ubierz się, ogarnij i pogadamy na poważnie. Jak ty właściwie masz na imię?

– Weronika.

Kiedy skończył śniadanie, siedziała już na kanapie, z nogą założoną na nogę, w dzinsach i wczorajszym podkoszulku. Dostrzegł w dziewczynie nerwowość, którą próbowała wepchnąć pod płaszczyk beztroski.

– Jaką kawę pijesz?

– Nie piję w ogóle. Czy to oznacza, że się zgodziłeś?

Przystanął.

– Nie pijesz kawy?

– Nie. Coś nie tak?

Karski z gruntu nie ufał ludziom, którzy gardzą kawą. Byli na samym dnie jego morza niewiary.

– Mam naprawdę niezłą mieszankę. W stosunku do moich zarobków nawet chyba za dobrą. Może jednak spróbujesz?

Wzruszyła ramionami.

– Dobrze, jeśli to dla ciebie takie ważne. A wracając do tematu...

– Weronika... – Ziarna pachniały obłądnie. Nasypał garść do młynka i zamknął pokrywę. – Posłuchaj uważnie, bo nie będę się powtarzał. Chyba sama doszłaś już do tego, że nie należę do altruistów. Tak, zachęciły mnie te twoje bajeczne haki na moich wrogów i jestem skłonny ci pomóc w ramach uczciwej wymiany. Ale uprzedzam, że jeśli masz w planie mnie wykiwać, lepiej od razu daj się komuś zastrzelić, bo nic przyjemniejszego cię z mojej strony nie czeka.

Skupił się na procesie. Wyciągnął z szafki dwie szklanki i jedną postawił pod wylotem ekspresu. Ciemnobrązową miarką odmierzył dwie porcje zmielonej kawy i ubił je w metalowej łyżce. Zdmuchnął z brzegów kawowe resztki. Lubił, kiedy powierzchnia wsadu jest idealnie płaska i niczym niezakłócona. Kolbę wkręcał, zawsze ustawiając ją najpierw w pozycji dokładnie dziewięćdziesięciu stopni względem ściany bocznej ekspresu. Podwójne espresso kończyło się dwanaście milimetrów pod brzegiem szklanki – w sam raz, żeby pozostały margines stanowił doskonałe tło dla lekkiej pianki, która powstaje w wyniku ciśnienia.

Pierwszą kawę wypił, mając czternaście lat. Jego ojciec wtedy powoli wracał do formy, wstawał z łóżka, chodził do pracy, mył się i codziennie zmienił bieliznę. Nie można było mówić tu jednak o normalności. Owszem, studenci trzymali go przy życiu, cała reszta jednak była tylko zbędnym dodatkiem. Gdyby syn nie podsuwał mu posiłków, przestałby jeść, podobnie było z czystymi ubraniami, rachunkami, zakupami. Wszystko, czym wcześniej zajmowała się żona profesora Leona Karskiego, przestało dla niego istnieć, stało się przezroczyście i nieistotne, o ile oczywiście nie chodziło o wyrażenie intelektualnej krytyki.

Ale ktoś musiał się tymi przyziemnymi sprawami zajmować.

Karski pamięta jak dziś ten moment, kiedy zalał wrzątkiem przeterminowane fusy (kawę pijała tylko matka). Wydawało mu się wtedy, że robi coś zakazanego, co z miejsca przeniesie go w dorosłość. Spodziewał się, że napój doda mu nadludzkich sił. Tak się jednak nie stało, poczuł zaledwie lekkie pobudzenie, do tego zalewajka smakowała obrzydliwie i chrzęściła w zębach.

Od tamtej pory pije kawę codziennie.

Postawił obie szklanki na stoliku przy kanapie i zatrzymał się. Weroni-

ka podniosła na niego oczy, a potem chwyciła palcami za szklane ucho i ostrożnie umoczyła wargę w gorącym napoju. Zaskoczona smakiem, uniosła lekko brwi.

– Znośna? – spytał.

– Świetna – odparła. – Ale kiedy tak nade mną stoisz i się gapisz, mam wrażenie, że piję czyjąś krew. Jakbyśmy pieczętowali tajne przymierze.

– Masz, dziewczyno, wyobraźnię.

– Potrafisz ją uruchomić. Groźby i kawa rytualna. Co będzie dalej?

– Przed nami najgorsze. – Usiadł w fotelu naprzeciw. – Wy tłumacz mi, co to za historia z tym polowaniem na ciebie.

Splotła dłonie i położyła przedramiona na udach, milcząc przez chwilę, jakby szykowała się do trudnego egzaminu.

– Dwa dni temu zatrzymało się przy mnie czarne audi. W środku było trzech byczków, zorientowałam się, że coś mi grozi, więc zwałam, zanim zdążyli wysiąść.

– Próbowali cię gonić?

– Tak, ale jestem dobra w te klocki. Nie mieli ze mną szans. Za to wczoraj wróciłam do siebie i zobaczyłam ten sam samochód pod blokiem obok, pusty. Okno w mojej sypialni jest zawsze uchylone, a było zamknięte.

– Hm, spodziewają się hałasu.

– Właśnie. Wierz mi, wyglądali na takich, którzy nie żartują.

– Przyszło ci do głowy, żeby zawiadomić policję?

– Nie. – Zarumieniła się i podrapała za uchem. – To mieszkanie, o którym nikt nie wie. Mogę mieć tam kilka fantów.

– Wolisz ryzykować, że położą cię trupem?

– Bo ja wiem? Nie ma jakiegoś pośredniego wyjścia między pójściem siedzieć a wycieczką na cmentarz?

– Po pierwsze, sprawa nie jest przesądzona. Może to tylko jeden z ludzi,

których złupiłaś, chce dojść sprawiedliwości po swojemu? Wyrwać ci z gardła paciorki i nastraszyć? Czemu od razu hipoteza, że chcą cię zabić?

– Bo tu nie chodzi o kradzież – odparła grobowym tonem.

– Na co czekasz? – zachęcił ją. – Mów, nie będę z ciebie wszystkiego wyciągał.

– Kojarzysz tego biznesmena, Klimczuka? Od niedawna siedzi w polityce.

Owszem, kojarzył. Sam Klimczuk nie był nigdy o nic oskarżony, ale jego nazwisko przewijało się gdzieś w tle pobić, porwań, nieczystych interesów. Kiedyś Karski postanowił nawet wokół niego powęszyć, ale szef szybko wezwał go na dywanik. Klimczuk to porządny, zasłużony dla miasta obywatel i nie należy go niepokoić. A jeśli jednak będzie go niepokoił, skończy w cywilu albo i gorzej, bo przyjaciele przyjaciół zainteresowanego tak zapowiedzieli. Co i tak nie zmienia faktu, że podejrzewanie Klimczuka o cokolwiek jest niemądrą stratą czasu.

Szef, mówiąc to, kiwał głową, jakby chciał sam sobie potwierdzić, że mówi prawdę. Karski był w stanie się założyć, że ta przemowa skończyła się trzema baniami wyborowej wypitymi w samotności po jego wyjściu.

Gdyby to wydarzyło się kilka lat wcześniej, kiedy był głupszy i miał więcej zapału, nie odpuściłby tak łatwo. Ale wtedy wiedział już, że są ludzie równi i równiejsi, i tym równiejszym lepiej nie podskakiwać.

– Co z nim? – zapytał.

– Spotykałam się z jego synem, Danielem.

– Czekaj, czekaj... Przecież syn Klimczuka przedawkował na imprezie trzy tygodnie temu? I zszedł?

– Tak... Rzuciłam go może dwa dni wcześniej. I tu jest pies pogrzebany. Jego ojciec uparcie obwinał mnie o wszystkie porażki Daniela. Uważał, że sprowadzam go na złą drogę.

– A tak było?

– Żartujesz? Czy ja wyglądam na ćpunkę?

Spojrzał z ukosa na Weronikę, która wpatrywała się w niego zielonymi

oczami, pełnymi drobnych, zupełnie normalnych plamek.

– Nie, ale wybacz, nie wyglądasz też jak towarzystwo dla Daniela Klimczuka. Co was właściwie łączyło?

– A jeśli powiem, że seks i adrenalina, będziesz drażył?

Założył ręce za głowę. Musiał się nad tym spokojnie zastanowić.

– Uważasz, że Klimczuk obwinia cię o śmierć syna i chce się zemścić.

– Pewności nie mam.

– Załóżmy, że chciałbym się czegoś dyskretnie o gościu dowiedzieć. Jakies słabe punkty, zwyczajnie?

– Niech pomyślę... Ma tego swojego sekretarza, Słowika. Ufa mu, a przynajmniej takie sprawia wrażenie. Kojarzę też jego kochankę, oczywiście o ile to aktualna sprawa. I wiem, gdzie grywa w karty.

Od czego zacząć?

\*

Marta z zadowoleniem przejrzała się w lustrze.

Szara sukienka leżała doskonale, opinając jej smukłą talię i kształtne pośladki. Długie blond włosy spływały miękkimi falami aż za łopatki. Podciągnęła opadający lekko stanik i na próbę uniosła podbródek.

– Zdjęcia też będą ci robić? – zapytał mąż.

– Nie, chyba że trafią się jacyś paparazzi. Ostatnio często mnie fotografują, muszę być gotowa. Niech zobaczą, że na tym polu też wygrywam.

Strzepnęła niewidzialny pyłek z torebki i założyła pantofle na wysokim obcasie.

– I jak? Dobrze wyglądam?

– Jesteś idealna. – Pocałował ją w czoło – Idź, pokaż im.

Taksówka dowiozła ją pod sam lokal, dzięki temu nie musiała piechotą

pokonywać nierówności otaczających rynek uliczek. Zamaszystym ruchem odrzuciła włosy na plecy i weszła do restauracji, która o tej porze była niemal pusta. Wydawało jej się, że kiedy była tu ostatnio, kelner zaprowadził ją do stolika, jednak tym razem nikt się nią nie zainteresował.

Nie dostrzegając nikogo o oczekiwanej aparycji, ruszyła w kierunku bocznej sali. W progu wpadła na nią jakaś niezdara idąca z przeciwka.

– Przepraszam – powiedziała – Zapatrzyłam się w telefon.

Marta spojrzała na nią krzywo.

– Masz szczęście, że mnie nie pobrudziłaś – burknęła.

– Ciasto czekoladowe dopiero przede mną – oznajmiła tamta, szczerząc zęby. – Więc może faktycznie jest w tym trochę szczęścia.

Po czym, bezczelnie się śmiejąc, poszła w stronę łazienki.

W tym momencie Marta dostrzegła na sali samotnego mężczyznę, który przypominał dziennikarza. Na jej widok podniósł się i gestem zaprosił ją do stolika. Miał na sobie starannie wyprasowaną, błękitną koszulę, która podkreślała harmonijną budowę ciała. Krótkie, ciemne włosy okalały inteligentną twarz z jednodniowym zarostem. Uznałaby go za całkiem przystojnego, gdyby nie jego oczy. Były przenikliwe i chłodne, i brązowe. Coś w tym brązie wydawało się nienaturalne.

– Widział pan? – zapytała. – Co za chamstwo.

– Jakie czasy, taka kultura – odparł i pocałował ją na powitanie w rękę.

Zaśmiała się.

– Myślałam, że dżentelmeni już wyginęli.

– Jak widać, ukrywamy się w lochach – odparł mężczyzna z nonszalancją.

– Czego się pani napije?

– Słyszałam, że mają tu niezłe wino... ale ta pora.

– Proszę się nie krępować, ja też chętnie spróbuję.

Uniósł rękę, żeby przywołać kelnera, i zamówił butelkę solarisa, co nieco Martę zaskoczyło.

Zanim przeszli do wywiadu, gawędzili chwilę o pogodzie, korkach i tym, o czym plotkuje się w mieście.

– A słyszał pan o tym strasznym, satanistycznym mordzie? – zapytała. – Przerażające.

– Słyszałem – odparł mężczyzna, mrużąc lekko powieki. – Może czas już przejść do meritum, jesteśmy oboje zapracowanymi ludźmi. Czy mogę włączyć nagrywanie?

– Oczywiście, proszę. – Poprawiła się na krześle. – Jestem gotowa.

– Pani Marto – zaczął. – Od lipca prowadzi pani popularny program w telewizji publicznej. Czy daje to pani wpływ na bieg wydarzeń w kraju?

– Oczywiście. Przede wszystkim cieszę się, że do odbiorców dociera dawno nie słyszany głos. Wiara, rodzina i tradycja długo były przedmiotem pogardy. Chcę udowodnić, że może być inaczej, że znów warto być przyzwoitym. Umysły naszych widzów to potężne narzędzie, które prowadzi do szeroko pojętych zmian.

– Nawiązując do konserwatywnych wartości, które pani wyznaje – mężczyzna oparł skroń na palcach – jak godzi pani pracę z życiem prywatnym? Co o tym myślą najważniejsi mężczyźni w pani życiu? Mąż, syn, kochanek?

Marta poczuła, jak krew gwałtownie odpływa z jej twarzy.

– To jakaś prowokacja, tak? – wypaliła ze wzburzeniem. W pierwszej chwili chciała zabrać mu telefon, ale dżentelmen był szybszy. Położył na nim dłoń i pokręcił głową.

– Żadnych głupstw. – Zgiął łokieć i spojrział na zegarek. – Właściwie to mam dzisiaj jeszcze sporo do zrobienia, więc nie traćmy czasu na grę wstępna. Pani sypia z Robertem Klimczukiem, a ja chciałbym się czegoś o nim dowiedzieć.

– Pan sobie robi ze mnie żarty! – Wstała, głośno szurając krzesłem. – Robert pana zniszczy!

– Proszę siadać – powiedział tonem wykluczającym jakikolwiek sprzeciw – i zajrzeć do swojej drogiej torebki.



Kobieta, sama nie wiedząc czemu, usiadła i spełniła rozkaz.

– Co to jest? – zapytała, wyciągając rząd białych torebeczek.

Karski skrzywił się z zażenowaniem.

– Nie przyszło mi do głowy, że będzie pani tak głupia, żeby tego dotykać. Ale to nam jeszcze ułatwia sprawę. Amfetamina jest bardzo wygodna, pojedyncza porcja jest niewielka... To, co znajduje się w pani torebce, podchodzi już pod znaczną ilość, której posiadanie jest zagrożone wyrokiem do dziesięciu lat więzienia. Zatrzymać panią od razu, czy pogadamy?

– Jak to: zatrzymać?

– Przepraszam, zapomniałem się przedstawić. Jestem z policji.

– Proszę się wylegitymować.

Cmoknął z niesmakiem.

– Dla ułatwienia przyjmijmy, że jestem umundurowany i nie muszę.

– Nie jest pan.

– Ale mógłbym być. Jeśli mamy się bawić w formalności, mogę załatwić pani oficjalne przesłuchanie. Moja partnerka chętnie zrobi pani pamiątkowe zdjęcie pod komendą.

Siedząca pod ścianą dziewczyna pomachała do Marty wesoło. Na talerzyku przed sobą miała ogromny kawałek tortu czekoladowego z kremem, w połowie zjedzony.

Twarz Marty przybrała kolor zielonkawoszary. Karski chwycił butelkę i dolał wina do kieliszków.

– Na zdrowie.

– Czemu pan to robi? Przecież ja...

– Pani Marto. Teoretycznie mógłbym panią szantażować romansem, utratą twarzy i tak dalej. Ale ja znam takich jak wy, złapać was za rękę, powiecie, że to ręka wroga. Szkoda mi na to czasu. – Zatrzymał się. – Czy ja mam wyjąć broń? Bo wygląda pani, jakby chciała się na mnie rzucić.

– Zgnijesz w piekle, draniu!

– Nie sprawię pani tej przyjemności, bo tak się składa, że jestem ateistą. Poza tym gnicie i ogień nijak mają się do siebie. Proszę mówić.

– Ale ja... – Jej twarz skrzywiła się w nagłym ataku płaczu. – Ja zupełnie nie wiem, czego pan ode mnie chce.

Podał jej serwetkę.

– Będę zadawał pytania, żeby panią nakierować. Zacznijmy od początku, jak poznała pani Roberta Klimczuka?

Opowiadała więc, niechętnie i z obrażoną miną, o tym, jak poznali się na jakiejś uroczystej gali. Potem ciągle na siebie wpadali na środowiskowych wydarzeniach, aż w końcu od słowa do słowa poprosił ją, żeby pomogła mu w prowadzeniu kampanii. Miłość między nimi? Jakoś tak wyszło, Robert jest idealistą, ona też. Mąż nic nie wie, tak samo żona Klimczuka, ale i tak nie ma o czym mówić, to przeszłość, wypadek przy pracy. Tak, Robert dalej jest jej mentorem, spotykają się, rozmawiają, nic więcej. Nie, nigdy nie widziała, żeby ktoś w jego otoczeniu nosił broń.

– Pani wspomniała, że Robert mnie zniszczy. Co miała pani na myśli?

Zaczerwieniła się po czubki uszu.

– On ma wysoko postawionych znajomych.

– Świetnie, proszę wymieniać.

– Ale...

– Pani Marto, jeśli pani myśli, że zostawi mnie pani z laurką, to proszę sobie od razu darować. Ja czekam na mięso i albo je od pani dostanę, albo wyciągnę siłą. Chce pani stąd wyjść za kwadrans czy za cztery godziny? A może jednak w kajdankach?

Spojrzała niepewnie w stronę wyjścia.

– Dobrze, ale...

– Spokojnie, nikt się niczego nie dowie.

Kobieta założyła rękę na rękę i obróciła głowę w bok, żeby nie patrzeć na

Karskiego, a potem mówiła dalej.

Czasami kiedy byli gdzieś razem, do Klimczuka przychodził człowiek, który może i mógł mieć pistolet. Do obrony, bo Roberta wielu ludzi chce zniszczyć. Tak, Robert wydawał temu człowiekowi polecenia. Krótkie, z reguły chodziło o to, żeby coś załatwić. Przykład? Mówił coś o pozbyciu się dzikiego lokatora z kamienicy. Nie, więcej nie pamięta. Raz rozmawiali o jakimś szlaku, akurat wyszła do łazienki, ale słyszała. Drożny, niedrożny, celnicy robią bezsensowne problemy. Strasznie się wtedy wkurzył, wypalił pół paczki papierosów. Nazwiska wrogów? I przyjaciół też? Z przyjaciółmi łatwiej, ma przecież to swoje stowarzyszenie dżentelmenów. Nie, dokładnie nie wie, panowie rozmawiają w swoim gronie. Ostatnio Robert jest zresztą bardzo przygnębiony po śmierci syna, prawie nie wychodzi z domu. Biedny Daniel. To nie był zły chłopak, po prostu wpadł w kiepskie towarzystwo. Tak, heroina go zabiła.

Karski wypytał kobietę jeszcze o Słowika, żonę i córkę Klimczuka. Po godzinie męczarni uznał, że czas najwyższy kończyć.

– Obym pana więcej nie zobaczyła – powiedziała Marta, udręczona, ale pałająca widoczną pogardą.

– Niczego nie obiecuję – odparł, chowając notes i owinięte serwetką woreczki z cukrem pudrem. – Mają tu doskonałą kaczkę w wiśniach, polecam.

Weronika wyszła z restauracji zaraz za nim.

– Nie powiem, umiesz sobie zaskarbić sympatię – powiedziała, podchodząc.

– Nie muszę być miły. Poprowadzisz?

Rzucił jej kluczyki, złapała je w powietrzu i włożyła do kieszeni.

– Laski też wyrywasz w kolorowych szklach? – zapytała.

– Nie – odparł. – Dorosłem. Zakładam je tylko, kiedy chcę być anonimowy. A ty przynajmniej się facetom, jak zarabiasz na życie?

– Nie odpuściłbyś sobie, co?

– Jeśli ty możesz usprawiedliwiać arogancję ciekawością, to ja też.

– Nie mówię – powiedziała, patrząc przed siebie. – Ludzie są za głupi, żeby im ufać.

Zauważył, że jej włosy zmieniają się w zależności od padającego światła. Wczoraj po zmroku wydawały się brązowe, ale w dzisiejszym słońcu zrobiły się jasne. Tak samo było z jej oczami, wcześniej był pewien, że są zielone, a teraz wpadały w szarość. Niejednoznaczność Weroniki była jednak płynna, symetryczna i przyjemna dla oka. Miała w sobie coś z kameleona, dopasowywała się do aury.

Uśmiechnął się do siebie, kiedy dostrzegł niespodziewany związek. Aura, Aurora.

– Słyszałaś, jak mówiła o tym stowarzyszeniu? – zapytał, przerywając ciszę. – Co to za dziecinada?

– Coś obilo mi się o uszy. Może Słowik wyśpiewa jakieś konkrety?

# Magdalena Ciechanowska:

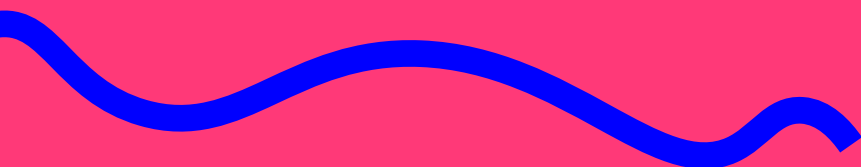
Młoda kobieta ginie w rytualnym, kamiennym kręgu.

Cenne precjoza znikają w tajemniczych okolicznościach.

Miasto nie śpi.

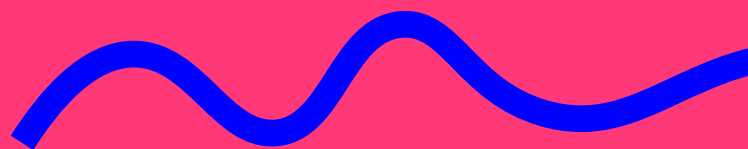
Dariusz Karski, funkcjonariusz CBS, staje się obiektem polowania służb wewnętrznych. Nim sam dojdzie do tego, jak rozprawić się z wrogami i duchami przeszłości, w jego drzwiach zjawia się nieuchwytna złodziejka Aurora. W zamian za pomoc oferuje Karskiemu materiały obciążające tych, którzy chcą go dopaść. Karski daje się wciągnąć w niebezpieczną grę i razem z Aurorą rozpoczyna dochodzenie, które prowadzi go prosto w pułapkę. Złodziejka znika i zostawia go w potrzasku.

Aby udowodnić swoją niewinność Karski musi



odnaleźć Aurorę i zrozumieć, co stoi za jej działaniami. Droga do prawdy okazuje się wieść tropem narkotyków, neopogańskich wierzeń, wpływowego klubu i rodzinnych sekretów. Tłem wydarzeń jest Kraków, miasto podskórne, mgliste, pełne zaułków i miejsc znanych wybranym.

Tajemnica, którą Karski i Aurora próbują rozwikłać, to nie tylko sprawa kryminalna, ale też trudna podróż w głąb siebie i konieczność przyznania się do ludzkich słabości.



# Afisz

## Prolog

Śniła, że rodzi.

Stała w rozkroku nad wykopaną w rdzawej ziemi jamą. Między jej udami rozpięty był świat. Dookoła zapalał się busz. Płomienie pełgały tuż pod jej nogami. Przydeptywała je, nie czując bólu.

Sięgnęła dłonią do krocza. Zanurzyła palce. Otarły się o śliski, okrągły kształt. Gdy je wyjęła, zobaczyła na nich krew. Przykucnęła i zajrzała w głąb jamy. Potem naprężyła się, a z jej łona gładko wytoczyła się kula.

Maria wybudziła się. Do końca dnia czuła niepokój. Wieczorem Peter rozgrywał z komputerem partię szachów. Maria otworzyła drzwi do jego gabinetu, oparła się o framugę i patrzyła. Rozczuliły ją jego rzadkie, szare kępkę włosów sterczące nad uszami. Zauważyła też, że kanciaste oprawki okularów nie pasowały do wyblakłych, okrągłych oczu jej męża.

– Mariah, Risha, wszystko ok? – Peter poprawił okulary i spojrzał na nią z wyrozumiałością, na jaką stać tylko ludzi, którzy dzielą ze sobą życie od kilku dekad.

Maria nic nie odpowiedziała. Wyszła nakarmić zwierzęta.

Trzydzieści siedem lat wcześniej Maria zostawiła swoje miejsce urodzenia daleko za sobą. Wybrała się na antypody – również poglądów. Zdołała zbudować nowy życiorys, w którym zmieniła upodobania, nazwisko, kolor włosów. Do perfekcji wyćwiczyła giętkość języka, by móc naśladować nieznane jej głoski i wydo-

być z nich natywne dźwięki. Po ślubie z Peterem z ulgą wyrobiła paszport pod obcym godłem – nowy dowód tożsamości.

Ale kilka lat po narodzinach wnuczki, która zaczęła domagać się opowieści z przeszłości, jej wspomnienia wyszły z za szyby i nasiąkły czymś żywotnym, prawdziwszym. Często jeździła z małą do oddalonego o czterdzieści mil marketu. Pickup sunął po zakurzonych drogach Nowej Południowej Walii. Z wiekiem ta susza coraz bardziej zaczęła jej przeszkadzać. W końcu wydała się jej nieznośna, jałowa. Zaczęły wracać obrazki polskich dziurawych szos i miasteczek wschodniej Polski: z kościołem, knajpą, urzędem i żywozielonym skwerkiem. Przypominał się jej też rodzinny Lublin, na tyle duży, że mogła się w nim wykształcić. Ziarno wiedzy padło na żyzny grunt i wykiełkowało palącą potrzebą wyjechania, poznania czegoś większego, ważniejszego.

Bywały wieczory, kiedy z wnuczką pochylała się nad ilustracjami baśni Andersena. Dziewczynka błędziła paluszkami po zwalistym, ciemnozielonym borze, z którego tanecznym krokiem wyłaniała się bohaterka jednej z baśni.

Maria czasami odkładała książkę i zaczynała grę ze swoją pamięcią. Opowiadała małej o podlaskich wioskach schowanych w ciemnozielonej puszczy. I o łąkach poprzecinanych rowami, stawach zarośniętych tatarakiem, oraz o smaku geesowskiego chleba, który jeszcze ciepły dowoziło się do domu na bagażniku składaka.

Dzieci lubią bajki.

Potem Marii przemykały przez głowę domy z pokrzywionymi płotami i dachami z eternitu. Powracały smętne widoczki zdemolowanego przystanku PKS-u i paskudnego baraku, w którym mieścił się sklep gminnej spółdzielni. Do świadomości przedzierała się brzydota komunistycznych budowli, wszechobecna prowizorka i bylejąkość, strach oraz ciągłe braki wszystkiego.

To zostawiała jednak dla siebie.



Przed narodzinami wnuczki Marii wydawało się, że miejsce urodzenia można zesłać do niebytu, do czegoś tak mało realnego, że nie istnieje. Nie ma go.

Patrząc w jej zaciekawione oczy, Maria przyznała wreszcie, że miejsce urodzenia zostaje na zawsze, gdyż nie podlega ani reklamacji, ani wymianie.

Swoimi przemyśleniami nie podzieliła się już z mężem. Minęło kilka tygodni i przyszła nowa fala pożarów, a zaraz po niej wy czekane deszcze. Woda na nowo zaczęła wypełniać koryto rzeki Murray.

## Rozdział I

Lublin.

Słońce świeciło inaczej. Ostro. A był dopiero marzec.

Tamte polskie marce były inne. Mroźne i białe. Ojciec był w wojsku. Matka ciągnęła ją na sankach. Obie miały na sobie kurowskie kozuchy. Siedmioletnia Maria – kożuszek z pomponami. Czuła się zakładniczką kożucha, bo krępował jej ruchy, a sam mościł się wylewnie w siedzisku. Do kompletu miała jasnoróżowe rękawiczki wydziergane przez babcię. Babcia kupowała resztki wełny produkcyjnej od sąsiadki z parteru. Za dolary wysyłane z Australii przez brata babci. Na szczęście amerykańskie. Wiedzieli, że z tymi australijskimi byłby tylko zamęt. Infantylnie pompony burzyły obraz dumnej pierwszoklasistki. Rysia chciała maszerować, ale matka stwierdziła, że tak będzie szybciej.

Znajomi mijali je na ulicy i zadawali to samo pytanie: Rysiu, wolisz braciszka czy siostrzyczkę? Maria wtedy wołała, by nie zwracać się do niej zdrobnieniem Rysia. Później za tym zatęskni, a na dźwięk tego słowa będzie ją dłubać w środku. Tak prawie na płacz. Jej australijski mąż robił, co mógł, ale język układał mu się tylko w anglosaskie Risha. Długo brzmiało po nowemu, obco.

Tamtego marcowego dnia matka zostawiła sanki przed klatką dziadków przy Nowym Świecie i spokojnym krokiem odeszła w stronę szpitala kolejowego. Pięć godzin później, jedenastego marca, urodziła jej brata. Nikt już później nie woził Rysi po śniegu. Kolejnej zimy za mały będzie na nią kurowski kożuszek.

Wciąż było jasno, choć śródmieście przygotowywało się na wieczór.

– I co myślisz, Ryśka? – Danką, przyjaciółka z tych na całe życie, oprowadzała Marię po ich rodzinnym Lublinie. Spacerowały zmodernizowanym placem Litewskim.

– Prawie bym nie poznała – Maria rozejrzała się i odnalazła pałac Lubomirskich, gdzie kiedyś mieścił się Instytut Nauk Politycznych. Z powodu kłopotów jej ojca nie przyjęto jej wtedy na studia. Na szczęście w mieście był jeszcze ten drugi uniwersytet, kościelny.

– Minęło czterdzieści lat. Długo się zbierałaś. Ale co? Teraz to po europejsku, z rozmachem.

Maria przytaknęła i wzięła Dankę pod rękę. Przez te lata Danką odwiedziła ją w Australii trzy razy. Cały czas miały kontakt telefoniczny. Ale bliskość przyjaciółki – namacalna, cielesna – wynagradzała wcześniejszą rozłąkę.

Skierowały kroki w stronę lubelskiego Starego Miasta, które zaskoczyło Marię różnorodnością elewacyjnych barw. Pamiętała, że ojciec zabraniał jej się tu włóczyć. Ona nie słuchała. Miały dziesięć lat. Łaziły z Danką po staromiejskich podwórkach, które pachniały kapuśniakiem i mydlinami, częściej drożdżami i obrzynkami, zawsze moczem. Najbardziej upodobały sobie wydrażone w kamienicach tunele łączące wąskie, boczne uliczki. Kilka razy siadały tam na bruku pod łukowatym sklepieniem i grały z miejscowymi dziećmi w hacie. Te dzieci, których matki przesypiały dnie i piły nocami, miały rozciągnięte nitki ust i nieduże wylękle oczy kłowna. Młodsze z nich, jak były głodne, podjadały ziemię z doniczek z pelargoniami. Kwiaty hodowała emerytowana nauczycielka z parteru. Kobieta, ze swoimi mieszcząnskimi manierami, była na Starym Mieście samotną wyspą.

Tak jak osamotnione, jedyne w podwórzu były jej nauczycielskie pelargonie.

Nie zaglądnęły do tamtych podwórek. Nie starczyło już na to czasu. Przysiadły tylko na kawę przy ulicy Złotej, niedaleko kościoła Dominikanów. W nieodrestaurowanej kamienicy naprzeciwko zamiast okien widniały wielkie czarnobiałe wydruki zdjęć niegdysiejszych mieszkańców. Tak jakby turystów do każdego z mieszkań zapraszał jego gospodarz czy gospodyni. Było coś niepokojącego w tych powiększonych, nieostrych i ziarnistych kadrach.

– Co się z nimi stało? Czy przeżyli tu całe życie? Czy też, tak jak ja, wyjechali? – zapytała Maria retorycznie.

Danka westchnęła i odpowiedziała z jakimś słyszalnym w głosie oburzeniem.

– Tak, Marysiu, wyjechali, ale nie za morza i oceany. Tylko bliżej. Na Majdanek.

Maria niezdarnie odłożyła filiżankę na okrągły stół przykryty haftowaną serwetą w stylu tych z międzywojnia. Uroniła kilka kropel kawy. Oczywiście wiedziała, bo jak mogła nie wiedzieć? Za jej bytności w kraju nie mówiono o tym, ale potem sporo przecież na ten temat czytała.

Ostatecznie Żydom z Lublina zwrócono pamięć o ich miejscu urodzenia. Dowody na to urodzenie w postaci zdjęć wзираły z fasad kilku lubelskich kamienic. A na nich wymowne spojrzenia dawnych mieszczan. Maria miała wrażenie, że o czymś informują, że coś te spojrzenia zwiastują.

Zamówiły taksówkę. Chciały zdążyć na seans w sali kinowej CSK. Wsiadły przy placu Teatralnym. Industrialny gmach kulturalnego centrum udanie łączył żelbet, szkło, aluminium i stal. Bez zbędnego rwetesu wtapiał się w śródmiejską zabudowę. Dla Marii była to miła odmiana. W jej pamięci zapisały się koszmarnie realizacje peerelowskiej architektury. W Dankę wstąpiła nowa, radosna energia i po chwili objęła swoim polem magnetycznym całą przestrzeń placu. Niemal tańczyła, poruszając rytmicznie

biodrami.

– Pamiętasz? – pytała Marii. – Przychodziliśmy tu paczką po zajęciach. Wdrapywaliśmy się na strop. Ty lebiega, to chłopcy wciągali ciebie za ręce.

– Jasne, że pamiętam. Słuchaliśmy Maanamu, paliliśmy szlugi i piliśmy bułgarskie wino. – Maria uśmiechnęła się do tych wspomnień o beztrosce młodości.

– Podkradane, oczywiście, moim starym z kredensu. No i zobacz! Po tylu latach zamienili Teatr w Budowie na takie чудо.

Danka obróciła się na wysokim, kołkowanym obcasie, aż czarny płaszcz zafalował. Kręciła się, śmiała, zarzucała poły płaszcza. „Kobieta nietoperz”, przyszło Marii na myśl. „Nie, to superwoman”. Marię ucieszyła ta danczyna pogoda ducha. Na koniec pi-ruetu tak Danką zachwiało, że gdyby jej nie podtrzymała, runęłaby na szachownicę wielkich płyt Teatralnego. Na milisekundę przed upadkiem Danka wyglądała jak wystraszona, zdezorientowana kura tuż przed ciosem siekiery. Zaniosły się śmiechem. Objęły. Wyciągnięte do przodu ręce oparły nawzajem na swoich ramionach. Stały naprzeciwko, lustrując się serdecznie.

I wtedy Maria go spotkała.

Patrzył na nią znad ramienia Danki, z teatralnego afisza rozpiętego na pięciometrowym banerze. Był tak ogromny, majestatyczny, że dopiero z odpowiedniego dystansu mogła się z nim zmierzyć. „Światowej sławy kompozytor, rodowity lublinianin, już w kwietniu zagości w CSK” – informował napis. Ale Maria widziała tylko jego oczy. Spokojne oczy dojrzałego mężczyzny, który wie, że spełnia się w życiu i jest szczęśliwy.

– Cholera, kochana, jeszcze wczoraj tu tego nie było. No, w nocy musieli rozwiesić – zagadała Danka przepraszająco. „Kobieta kura”.

## Rozdział II

Plac pełen ludzi i nadciągający zmierzch. Odwróciła się. Zdążyła jeszcze uchwycić zaokrąglony owal jego twarzy i siwe pasma włosów. Fryzura ta sama co wtedy. Wiązanki zmarszczek wokół ust i oczu, które zamiast odejmować urody, dodawały mu klasy jak dobrze dobrane spinki do mankietów. Spotęgowany wizerunek był monstualny i martwy. Przypomniała sobie jego ciało. Żywe i ciepłe.

Poczuła, że się rozwarstwia. Danka przejęła inicjatywę, objęła ją ramieniem i gdzieś prowadziła. Maria szła bezwiednie, patrzyła tylko pod nogi i uważała, żeby nie nastąpić na linie między płytami placu. Nabawiła się tego natręctwa jeszcze w dzieciństwie. Kiedy omijała linie, miała poczucie kontroli. Uszły niedaleko.

– Dobra, zmiana planów. Olewamy film i od razu idziemy na wino. Za rogiem jest restauracja. Mają tam wspaniałą kartę win z Roztocza. Mówię ci, Ryśka, nie gorsze niż te wasze australijskie. Z winnicy pod Modliborzycami. Chyba był u nas na roku chłopak z Modliborzyc? Kojarzysz? Niski blondynek. Taki zgrywus – gdała dalej Danka i po chwili wpychała Marię do windy biurowca.

Wjechały na ostatnie piętro. Była tam restauracja z najlepszym tarasem widokowym w mieście. Kelnerzy wyfraczeni, kuchnia molekularna, w rogu niewidomy pianista. Danka ostentacyjnie włożyła stowę do szklanego słoja na napiwki. Głośno domknęła wieko. Chłopak ukłonił się, nie przerywając gry.

Dopiero przy drugiej butelce Danka odzyskała rezon. Co chwilę coś domawiała i powtarzała „Czem chata bogata”. Była hałaśliwa, niezrównaną werwą obdzieliłaby co najmniej tuzin dzisiejszych zblazowanych dwudziestolatków. Miała też wątrobę niczym radziecki żołdat, która nie poddawała się przemijaniu i chętnie zgłębiała wiązania węgla, tlenu i wodoru. Pierwiastki ukryte w trzystuzłotowych butelkach wina z Roztocza mnożyły się we wnętrzościach Danki jak roztocza w kurzu na welurowych fotelach. Maria też sporo piła. Musiała. Żeby zająć swoje myśli, opowiadała Dance o wyprawie z Peterem po winnicach Hunter Valley. „Spędziliśmy tam upojny tydzień”, usłyszała to zdanie ze

swoich ust i uznała je za kiepski żart. Danką wręcz przeciwnie; odchyłona na krzesło, śmiała się w głos.

Marii zaszumiało w głowie. Postanowiła się przewietrzyć. Przez automatyczne drzwi wyszła na taras. Zaciągnęła się najpierw papierosem, a potem powietrzem. Ze zdziwieniem przyznała, że poczuła zapach domu. Dotarł do niej gdzieś tam hen znad pól, miast i wiosek. Był mieszanką wiosennych roztopów, zbutwiałych liści, betonowych osiedli z wielkiej płyty oraz kiszzonek sprzedawanych w supersamach i na targowiskach. Marcowy przednówek.

Zdała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej tej polskiej wilgotności.

Zgasiała papierosa. Z drugiej strony tarasu był dobrze widoczny i wciąż tam tkwił. Afisz.

W dzieciństwie mieszkała w kamienicy graniczącej z najstarszym lubelskim parkiem, dlatego jej droga do szkoły zawsze wiodła przez Ogród Saski. Najbardziej lubiła wrześniowe poranki, dzięki którym oswajała się z nowym rokiem szkolnym po rozgrzanych podlaskich wakacjach u dziadków od strony ojca.

Maria przymykała wtedy powieki i wchodziła w parkową wilgoć, która łagodnie ją rozbudzała. Przez dłuższą chwilę przedzierała się przez jej warstwy. Lepkość na skórze podobna była do tej z poranków nad Nurcem, kiedy szarym świtem wychodziła na podwórze. Czasem się wsłuchiwała, ale nie znajdowała tamtych dźwięków: posuwistych kroków dziadka, pobrzęku drutu rączki od wiadra z porannym udojem, łomotania pokrzywionych drewnianych drzwi sieni o ich równie pokrzywioną framugę. Przebijał za to cichy pomruk trolejbusów i monotonne szuranie mioteł po parkowych alejkach. Ranne słońce oznaczało je ostrym, niebieskawym światłem. Tak innym od tego sprzed miesiąca. Tamto było nabrzmiąle, soczyste, sierpniowe. Wolała wrześniowe. Ba-bie lato, Indian Summer, cygańskie lato. Tyle narodów nazwało ten czas w roku, czas zawieszenia, i dostrzegało w nim – tak jak ona – jego wyjątkowość.

Pewnego dnia pod koniec podstawówki wracały z matką do domu, kiedy zza rubinowego krzaku głogu wyszedł im na przywitanie zaniedbany mężczyzna w średnim wieku. Na ich widok wyraźnie się rozpromienił. W jego prawej dłoni coś furkotało. Przypominało kawałek nierówno oderżniętej słoniny.

Matka wzięła się pod boki i parsknęła śmiechem. Śmiała się i śmiała, a on furkotał i furkotał. W końcu matka wypaliła: „Panie, gdzie z takim interesem do takiej kobiety jak ja”. Na te słowa skapnęło mu na trawnik kilkanaście kropel perlistej rosy. Matka skomentowała tylko, że i tak wcześniej czy później Rysia by to zobaczyła.

Przez kolejne cztery lata Maria często go widywała. Mówiono: „Parkowy zboczeniec, ale z takich, co to tylko pokazują”. Maria nadała mu imię Henio i od razu po tym nazwaniu poczuła się bezpieczniej. Z czasem nauczyła się go mijać obojętnie, bez emocji. Był zawiedziony. Słonina kurczyła się i nikła mu w dłoni.

W drugim tygodniu trzeciej klasy liceum Maria znowu natknęła się na Henia. Tym razem nie wyszedł jej powitać. Górował nad krzakiem głogu i cały się prężył. Wyglądał jakby był w trakcie premiery nowego spektaklu. Zdziwiło ją to przedstawienie przy pustej widowni.

Przeszła kilka kroków. Poruszyły się gałęzie i zdradziły obecność widza. Coś ją tam przyciągnęło, zaciekawiło. Paradoksalnie założyła, że kilkuletnia znajomość z Heniem będzie dla niej gwarantem bezpieczeństwa.

Podeszła z drugiej strony krzewu i rozchyliła czerwonolistne gałęzie. Oprócz Henia zobaczyła kogoś jeszcze: przycupniętego przodem do Henia, a tyłem do niej młodego mężczyznę. Najpierw zwróciła uwagę na włosy. Rozpoznała je. Były gęste, faliste i przydługie. Na szkolnych korytarzach mimowolnie wodziła za nimi wzrokiem. A potem spostrzegła opartą na kolanie dłoń. Drżała. Między kciukiem a palcem wskazującym żarzył się niedopałek. Ta dłoń na szkolnych przerwach trzymała tomik Poświatowskiej. Z okładki łopotał kolorowy motyl.

Marię zelektryzował ten widok: parkowym widzem Henia okazał się Tomek Ginczarski, który chodził z nią do tego samego liceum, ale do klasy równoległej. Tomek był synem prominenta, towarzysza Kazimierza Ginczarskiego. Rodzina Ginczarskich mieszkała kilka ulic dalej, w secesyjnej kamienicy przy ul. Chopina. Tomek różnił się od swoich rówieśników. Nie był ani hipisem, ani tym bardziej gitowcem, tylko odprasowanym chłopakiem z dobrego domu. Złośliwi mówili o nim: „reżimowe dziecko”. Pozostali doceniali jego talent muzyczny i wróżyli karierę. Mimo że od wszystkich stronił, w liceum było o nim głośno.

Heniek wyrastał nad Tomkiem, miał nad nim fizyczną i psychiczną przewagę. Dzieliły ich tylko dwa metry. Patrzył na chłopaka z góry, jak na swojego wyznawcę. Maria znieruchomiała. Tomek również trwał bez ruchu. Tak jakby Heniek nacisnął w licealistach przycisk pauzy. Dopiero po chwili Maria spojrzała na wykrzywioną twarz Heńka i zdała sobie sprawę, że w swoim ulubionym transie zmierza do finiszu. Puściła gałąź i wtedy Tomek odwrócił się. Spotkali się wzrokiem. Zanim uciekła, dotarło do niej przeciągłe westchnięcie Heńka.

W kolejnych tygodniach szkoły Maria z Tomkiem celowo nie zwracali na siebie uwagi. Aż do dnia, kiedy przeglądała puchary w szkolnej gablocie. Cała długa ściana pucharów. Świadczyły o tym, że ich liceum to nie w kij dmuchał, tylko sukces kilkunastu pokoleń młodych-zdolnych. Wśród nich same elity i ona: wnuczka Podlasiaków, i kolejarzy z Lublina.

– Brzoza czy sosna? – usłyszała za sobą. Zesztywniała. W gablocie rozpoznała odbicie Tomka: szeroki krawat, marynarka, faliste przydługie włosy. Nad nimi coś na kształt aureoli, poświaty. Spuściła wzrok i lekko przekręciła głowę w bok.

– O co ci chodzi? – odpowiedziała zapatrzona w czubek jego buta. Był wypastowany, lśniący, mahoniowy.

– Jaki pseudonim? Nadaj sobie jakiś. Pomyśl, że mamy wrzesień czterdziestego roku, a ty jesteś już w konspiracji i pijesz wódkę z chłopcami z Szarych Szeregów. Zawsze po godzinie policyjnej, bo lubisz ryzyko – kontynuował półgłosem. Zbliżył swój but do jej pantofla. Tylko trochę. O dwa centymetry. Były tuż koło siebie.



Zebrała się w sobie i wyprostowała. Ale wciąż zerkąła w dół, z ukosa.

– Nie wiem. Może Sarna? – rzuciła cicho i od razu poczuła, jak zalewa ją nieprzyjemna, ale ciepła fala wstydu. Aż po końce odsłoniętych uszu. Czerwieniały.

– Nie! Brzoza. Wysoka! I taka jasna. – Wyciągnął dłoń i wykonał gest, jakby chciał dotknąć jej włosów. Zmienił zdanie i poszedł w drugą stronę.

– Ginczarski! – krzyknęła za nim.

– Tak?

– Nie wiedziałam, że jarasz szlugi. Dlaczego nie chodzisz z nami na skwerek za budą? Daj znać, kiedy będziesz chciał urwać się na dymka.

– Dam. Ale tylko tobie. Zgoda?

Przez chwilę szukał czegoś w jej oczach. Tamtego dnia do samego wieczora Maria czuła jego zapach. Był mieszanką politory i rumiankowego szamponu.

(...)

## Rozdział XII

Wynajmował pokój w poniemieckiej willi w dzielnicy Krzyki. Wieczorem mieli wyjść do jego znajomych z Akademii Muzycznej.

Było już letnio, a długie oranżowe promienie zmierzchu oświetlały jej sylwetkę. Stała w łazience, w samej bieliźnie, i nad umywalką malowała kreski na powiekach; jeszcze czterdzieści lat temu jakaś Frau nad tą samą umywalką uczyła swoje jasnookie dzieci higieny jamy ustnej. On oparł się o rant wanny i patrzył na nią pożądliwie, ale i z zawiścią.

– Moje też pomaluj – poprosił.

– Mam ci umalować oczy? Naprawdę chcesz tak do nich pójść? – zaśmiała się.

Pierwszy raz spojrział na nią inaczej, złowrogo. Ponowił prośbę w tonie nieznoszącym sprzeciwu:

– Pomaluj mnie! Nałóż mi też na oczy cienie. O, te ceglaste... Albo nie, tamte fioletowe! – Wskazał. A kiedy zauważył jej zagubienie, przypuścił atak: – Ryśka, a co w tym złego? Wiesz, ty chyba bardziej do pasania gęsi się nadajesz niż na biby u moich znajomych.

Zabolało ją to, ale podeszła do niego bojowo, rozłożyła przybory do makijażu. Złapała go mocno za włosy i odchyliła głowę. Z precyzją kreśliła kontur jego oczu, farbowała skórę na powiekach. Cieszył się tymi zabiegami w dziwnie zmysłowy sposób. Kiedy skończyła, podszedł do lustra. Mocował się spojrzeniem sam ze sobą, dotykał swojej twarzy. Rozchylił wargi, wysunął język.

Wtedy poczuła to ukłucie, a za chwilę ostre szarpnięcie. Niedomówienia, fragmenty wspomnień i sytuacji ułożyły się w spójną całość. Ta myśl o nim, a za chwilę przekonanie, coraz szybciej kroczyły do jej jaźni i – żeby przerwać ten pochód – Maria wymierzyła Tomkowi solidny policzek.

– Już się tak nie afiszuj! – krzyknęła.

Poczuła, że go zawiodła, zdradziła. Zaczęła obcałowywać mu dłonie. Z początku nie reagował. Siedział zrezygnowany, ze spuszczoną głową. Uklękła przed nim i schowała twarz między jego udami. Tomek uniósł brodę Marii i włożył palec wskazujący do jej ust.

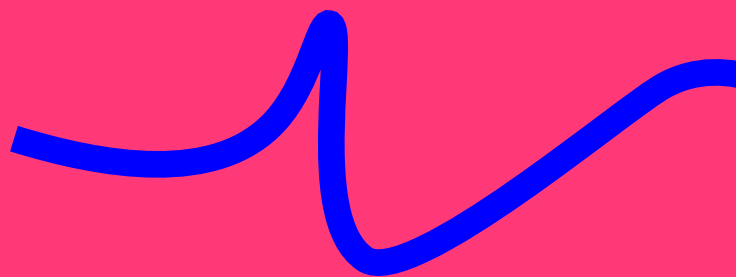
– Ssij – rozkazał cicho.

A potem się kochali. Maria obiema dłońmi opierała się o rant poniemieckiej wanny. Jej włosy spływały po porcelanowej, obtłuczonej gdzieś powłoce. Po raz pierwszy w życiu skurcz, zapoczątkowany gdzieś między lewym udem a biodrem, dotarł do jej wnętrza i przyniósł pełnię cielesnego przeżycia. Kiedy

później w coraz rzadszych chwilach słabości Maria wspominała ten dzień, zawsze czuła się zagubiona.

To tamtego wieczoru w towarzystwie jego wrocławskich znajomych dowiedziała się o innym znaczeniu słowa pikieta.

# Aleksandra Igras:



Maria mieszka w Australii, do której wyjechała tuż po zakończeniu stanu wojennego, mając dwadzieścia jeden lat. Mieszkała tam jej matka, która kilka lat wcześniej porzuciła rodzinę na rzecz „lepszego jutra”. Maria w nowej ojczyźnie związuje się z Peterem, starszym od niej o dwadzieścia lat statecznym lekarzem. Niestety, mimo starań nigdy nie zostaje matką. Pokocha za to najmłodszą wnuczkę Petera tak, jakby łączyły je więzy krwi.

Po czterdziestu latach Maria decyduje się odwiedzić Polskę i swoje rodzinne miasto – Lublin. Dlaczego, pomimo dobrej sytuacji materialnej, nie zdecydowała się wcześniej na przyjazd? I dlaczego po tak długim czasie zmieniła zdanie?

Z Okęcia Marię odbiera przyjaciółka z dawnych lat Danka. Obie jadą do rodzinnego miasta. Powrót Marii zamienia się we wspominkowy spacer. Kobiety są beztroskie i w wesołym nastroju. Ta zabawa zostaje przerwana, kiedy natrafiają na ogromny afisz na placu Teatralnym przy lubelskim CSK. Na afiszu widnieje zdjęcie światowej sławy kompozytora – Tomasza Ginczarskiego. Mężczyzna odegrał znaczącą

rolę w życiu głównej bohaterki.

Akcja powieści przenosi się do końca lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Maria i Tomek chodzą do tego samego liceum. Wbrew woli rodziców połączyło ich uczucie. Jej ojciec jest opozycjonistą, jego – wysokim urzędnikiem PRL. Poznajemy ich miłość, śledzimy perypetie zakochania, a potem studencką rozłąkę.

Ich ścieżki zaczynają się rozchodzić. Problemem nie jest odległość, tylko fakt, że Tomek na studiach we Wrocławiu odkrywa – czy raczej potwierdza – swoją prawdziwą orientację seksualną. W tle odbijają się echa homofobicznej rzeczywistości PRL-u.

Związek bohaterów ostatecznie przerywa wprowadzenie w Polsce stanu wojennego. Tomasz, który przebywa na stypendium w Wiedniu, zostaje po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Maria w tym czasie traci niechcianą ciążę – jak się potem okazuje jej jedyną szansę na dziecko. Potem wyjeżdża do Australii, gdzie dopiero po kilku latach odnajduje spokój. Tomek nigdy nie próbuje się z Marią skontaktować.

Czy Maria skonfrontuje się z Ginczarskim? Co będą mieli sobie do powiedzenia? Jaki wpływ na ich życia wywarły wydarzenia z marca osiemdziesiątego drugiego roku? Czy odnajdą wspólną wersję wydarzeń? Czy niemożność bycia sobą nas rozgrzesza? I wreszcie: w jakich okolicznościach zamieniamy się rolą ze swoim krzywdzicielem?

# Sekret mojej mamy

## PROLOG

Kora młodych jodeł ma pęcherze wypełnione żywicą. Pokazał mi to kiedyś tata. Znalazł na srebrzystym pniu wypukłe miejsce i zachęcił, żebym nacisnęła je palcem. Kora ugięła się, jakby była z plasteliny. Pęcherz w końcu pękł. Wypłynęła z niego kropla pachnącej i lepkiej żywicy. Siedzieliśmy potem pod tą jodłą, jedząc zabrane na wycieczkę kanapki. Zadawałam tacie mnóstwo pytań, a on wyjaśniał i opowiadał.

Lubię wracać do tego wspomnienia. Czasów odkrywania świata ramię w ramię z moim tatą. Kiedy wierzyłam, że jest najmądrzejszy na świecie.

Tamtej naiwnej mnie już nie ma. Wiedza taty okazała się ograniczona. I jakoś trudniej nam znaleźć wspólny język. Po dzieciństwie bardzo tego żałuję. Chciałabym, żeby odpowiedział teraz na pytania, które jestem zmuszona sobie zadać. Wyjaśnił, o co w tym wszystkim chodzi. Niestety on nie wie, więc poszukuję odpowiedzi samodzielnie. I samotnie.

Co się stanie, jeśli skóra człowieka stwardnieje jak kora? Już wiem, że nie pomogą na to żadne kremy, maści ani smarowidła. Powstanie człowiek drzewo. Kora skutecznie oddzieli go od innych ludzi. Dziwadło trzeba będzie ukryć przed światem, żeby nie szokowało samym swoim widokiem.

Ale co może zmusić skórę do zmiany w korę? Jaka jest przyczyna tak nietypowego zachowania komórek?

Póki co gubię się w domysłach.

## ROZDZIAŁ I

Drzwi do pokoju walą o ścianę.

– Kalina! – warczę.

– Powiedz „piesek”! – Różowa sprężynka wskakuje na łóżko. Tiulowa spódniczka faluje góra-dół.

– Nie ma szans. – Odsuwam się.

– Oj, powiedz! Piesek. Powiedz „piesek”!

Sprężynka skacze coraz wyżej. Prawie się przy tym przewraca, ale niezrażona wywija dalej.

– Kalina, przestań! – Robię uniki, żeby nie oberwać, bo macha łapami na wszystkie strony. W końcu uderza ręką w półkę, z której spada zeszłoroczny kasztan. Łapię go odruchowo i mocno zaciskam na nim palce.

– Złaź! – podnoszę głos.

– Piesek! Piesek! Piesek! Piesek!

Mam wrażenie, że się zacięła.

– No dobra, piesek.

– Masz majtki z desek! – Kalina kładzie się na plecach i wierzga nogami.

Spycham ją na ziemię.

– Aaauaaa!

Łóżko jest niskie, na podłodze leży puchaty dywan, więc nic jej się nie powinno stać. Pewnie tylko udaje.

– Nie drzyj się – mówię. Próbuję ignorować jej wrzaski i skupiam się na podrzucaniu kasztana. Sucha, nierówna kulka ląduje raz w mojej prawej, a raz lewej dłoni. Chętnie rzuciłabym czymś

w siostrę, ale nie moim kasztanem.

W drzwiach do pokoju staje tata.

– Ona mnie zrzuciłaaa! – Kalina błyskawicznie wykorzystuje okazję, ale tata nawet na nią nie patrzy.

– Jedziemy – informuje nas i wychodzi.

Mała natychmiast zrywa się z podłogi. Uderza mnie w dłoń, wytrącając kasztan. Błyskawicznie go chwytą i wybiega za tatą.

– Oddawaj, to moje!

Pędzę za nią do salonu. Rozczochrana pseudobaletnica demoluje kanapę.

– Jestem Birke, lubię się bawić kasztanami – przedrzeźnia mnie. Trzyma kasztan w ręce wyciągniętej nad głową.

– Nie wolno ci dotykać moich rzeczy! – krzyczę.

– Ale wolno mi sprzątać. To jest śmieć i zaraz go wyrzucę!

– Nie zrobisz tego! – Wbijam paznokcie w jej rękę. W odwecie ona kopie mnie w brzuch. Przewracam się na plecy.

– Zrobię – grozi, pociągając nosem. Rozmasowuje czerwone pręgi na skórze.

– Tylko spróbuj, a...

– Jedzicie czy nie? – pyta tata.

Nie zwraca uwagi ani na naszą kłótnię, ani na znowu płaczącą Kalinę. Ciekawe, czy pojechałby bez nas.

Moja siostra wyciera policzki dłońmi. Głośno pociąga nosem i łyka wszystkie smarki.

– Już go nie chcę. – Rzuca we mnie kasztanem i pędzi do przedpokoju, żeby założyć sandałki.



## ROZDZIAŁ II

Automatyczne drzwi do szpitala zamykają się za nami z delikatnym sykiem. Biorę głęboki wdech i głośno wypuszczam powietrze. To mój sposób, żeby przygotować się na czekające mnie spotkanie.

Wdech, wydech. Wdech i jeszcze jeden wydech.

Patrzę na swoje odbicie w szybie. Rozluźniam mięśnie twarzy. Usta rozciągam w delikatnym uśmiechu. Udawanie ćwiczę codziennie. Nikt nie może się domyślić, że żołądek mam wykręcony z nerwów.

Rytmiczne uderzenia dziecięcych sandałków o podłogę z linoleum odbijają się od ścian prawie pustego korytarza. Tata przyspiesza kroku, żeby dogonić biegnącą Kalinę. Pielęgniarki patrzą z troską na tę uroczą dziewczynkę. Pewnie bardzo jest im jej żal.

Ja nadal wlokę się za nimi. Mijam dyżurkę pielęgniarek. Czuję ich spojrzenia na sobie, ślizgają się po fragmentach odsłoniętej skóry. Śledzą każdy mój krok, krok córki dziwadła z izolatki. Nie jestem słodka i malutka, nie wzbudzam u nich opiekuńczych uczuć. Raczej ciekawość. Może wypatrują u mnie pierwszych oznak choroby? Onieśmielają mnie. Kurczę się w sobie i najchętniej uciekłabym ze szpitala.

– Cześć, kochanie.

Mama wykonuje ruch ręką, jakby chciała mnie pogłaskać. Nie dosięga. Odruchowo robię krok w tył. Zasłaniam usta, tłumiąc okrzyk. Jestem przerażona nie tyle swoją reakcją, co tym, że nie potrafiłam jej powstrzymać.

– Wszystko w porządku – uspokaja mnie mama.

Zauważyła, że się cofnęłam, ale wcale nie jest zła.

Za to ja jestem po prostu beznadziejna. Bardzo potrzebuję dotknąć mojej mamy. Ale nie jestem w stanie się przemóc. To jest silniejsze ode mnie. Nawet nie potrafię udawać.

Przełykam ślinę. Nie mogę płakać. Nie teraz, nie przy niej. Robię kilka kroków do przodu.

Boję się jej dotknąć. Brzydzę się. Jej skóra jest jak kora bardzo starego drzewa. Twarda i głęboko spękana. Odpada przy każdym ruchu wykonywanym przez mamę. Na prześcieradle leżą drewniane okruchy, część z nich spadła na podłogę. Robię, co mogę, żeby po nich nie deptać, bo ten chrzęst pod butami wywołuje u mnie mdłości.

Kalina, podparta na łokciu, leży za plecami mamy. Drugą dłonią głaszcząc jej schorowaną rękę. Palcem wskazującym wędruje wzdłuż bruzd. Czasem wodzi tylko po krawędziach pęknięć, a czasem wpycha go jak najgłębiej się da.

– Boli cię to? – pyta z ciekawością małego naukowca.

– Nie, w ogóle – mama odpowiada Kalinie, ale patrzy prosto w moje oczy. – To mnie nie boli – powtarza.

Podobno ta spękana warstwa już nic nie czuje, a jedynie chroni ciało.

Z korytarza dochodzi zachrypnięty głos lekarza. Trafiliśmy na popołudniowy obchód. Czekam, aż wejdzie do naszej sali. Ale on tylko przelotnie zagląda do środka. Nawet nie robi kroku przez próg. Jak zwykle nie ma nam nic do powiedzenia. Nie wiadomo, co tak naprawdę mamie dolega i jak to leczyć.

Kalina paznokciem odłupuje kawałek zdrewniałej skóry. Ogląda go uważnie, dzieli na mniejsze części.

– Birke, masz. Zrobiłam z tego serce. – Podaje mi jedną z nich.

Zaraz zwymiotuję. Muszę nabrać powietrza.

– Patrzcie, czego się dziś nauczyłam! – Kalina próbuje założyć nogę za głowę. Brudna stopa zaplątuje się w jasne włosy. – Dobra jestem?

– Wspaniała – potwierdza mama słabo. – A tobie, Birke, jak miął dzień?

– Zwyczajnie. – Wzruszam ramionami. – Było gorąco.

– Idźcie na korytarz – mówi niespodziewanie tata. – Musimy zamienić kilka słów sam na sam.

Kolano podskakuje mu nerwowo. Dłońmi pociera o uda.

– Dlaczego? Chyba nie będziecie się kłócić? – pytam podejrzliwie.

– Nie wymyślaj bzdur, Birke – ucina ostro tata, ale zaraz zmienia ton. – Po prostu dorośli muszą czasem sami porozmawiać – wyjaśnia, jakbyśmy obie miały po sześć lat. A przecież przede mną ostatni rok w podstawówce!

Tata zdecydowanie wyjmuje Kalinę z objęć mamy. Mała wierzga nogami w powietrzu. Kiedy już stoi koło mnie, tupie ze złością.

– Pożegnajcie się.

Chciałabym przed wyjściem tak jak Kalina przytulić się do mamy. Albo pocałować ją w czoło. W ten sposób jakoś wynagrodzić jej tamten odskok. Ale wtedy poczułabym smak drewna, moje wargi zahaczyłyby o nierówną i twardą korę. Nie zdobywam się na taki gest.

– Pa, mamó. Do jutra – mówię zamiast tego.

Mocno łapię za rękę siostrę. Starannie zamykam za nami drzwi do izolatki. Chcę opuścić szpital, zanim zaczniesz tam awanturę. Przyspieszam kroku.

– Powiedz „korzeń”.

– Korzeń – odpowiadam bez zastanowienia.

– To się ze mną ooożeeen! – triumfalnie wydziera się na cały korytarz Kalina. Skacze koło mnie jak piłeczka.

### ROZDZIAŁ III

Nasze wieczory dzielą się na zwykłe i niezwykłe.

Te niezwykle są wtedy, kiedy tata przygotowuje kolację dla nas trojga. Kiedy w palce-gilgalce łapie Kalinę i rozchichotaną zanośsi do łóżka. Albo gdy zarządza rodzinny wieczór filmowy z ulubioną kreskówką i chipsami.

A te zwykle są wtedy, kiedy tata mówi to, co teraz:

– Zajmij się nią.

Rzuca kluczyki od auta na komodę. Staje przed oknem balkonowym i patrzy przed siebie. Już go nie interesujemy.

Zagryzam zęby.

Realizuję schemat wypracowany przez rodziców, kiedy mama jeszcze była zdrowa. Przygotowuję Kalinie kolację. Pilnuję, żeby się wykąpała. Czytam bajkę.

– Dobranoc, Bibi! – Wieczorny buziak zostawia mokry ślad na moim policzku. Od razu ścieram go dłonią.

– Dobranoc. I nie mów do mnie Bibi! – Nie lubię, gdy się tak do mnie zwraca. Ale najwyraźniej to część naszego schematu.

Włączam różową lampkę nocną. Mała za nic nie chce zasypiać sama, więc siadam na podłodze koło łóżka. Przyglądam się siostrze. Przytula pluszowego misia. Jest naprawdę urocza, gdy nie skacze i nie gada bez sensu. Długie rzęsy rzucają fantazyjne cienie na policzki. Drobne usta są lekko uchylone. Proste jasne włoski rozsypały się na poduszce. Niby blond, ale błyszczą srebrzyście, bajkowo. Na buzi nie ma ani jednego piega. Jest taka podobna do mamy! Przechodzi mi złość na to, że muszę się nią zajmować. Gdy zaczyna oddychać równo i cichutko, na palcach opuszczam pokój.

Tata nadal stoi przed oknem prowadzącym na balkon. Mamrocze coś pod nosem. Łapie się za głowę w geście rozpaczy. Po chwili gniewnie wymachuje pięścią.

– Chyba nie grozisz mojemu kasztanowcowi? – pytam, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby to właśnie robił. Klócił

się z drzewem. Wygląda jak szaleniec.

Mijam go i wychodzę na balkon. Jest duszno, rozgrzane powietrze oblepia mnie jak wata cukrowa. Momentalnie zaczynam się pocić. Stoję i słucham odgłosów ulicy, zwyczajnego życia. Pode mną przechodzi grupka roześmianej młodzieży. Jakiś samochód rusza z piskiem opon. Z oddali dochodzi odgłos kopanej piłki. Mimo gorąca komuś chce się biegać po boisku i grać w nogę.

– Nie przejmuj się moim tatą – mówię do rosnącego obok balkonowi kasztanowca. Ma już całkiem spore kolczaste kule. Jedna z jego gałęzi nagle się porusza. Zielone kasztany dyndają jak czereśnie. Pewnie wiewiórka skacze ukryta pośród liści, które miejscami zaczynają brązowieć. Wychylam się, żeby pogłaskać jeden z nich.

To drzewo to mój przyjaciel od zawsze. Cierpliwy, wszystkiego wysłucha. Czasem odpowie, doradzi. Gdy byłam mała, mama zabraniała mi rozmawiania z nim. W końcu tata ją przekonał, że wiele dzieci ma wymyślonych przyjaciół, a mój przynajmniej jest widzialny i zupełnie nieszkodliwy.

Do salonu wracam, gdy tata znika w łazience. Przeglądam wiadomości z klasowego czatu. Przynajmniej przez moment czuję się częścią zgranej ekipy, mimo że na wieści ode mnie raczej nikt nie czeka. Same super zdjęcia. Kuba pozdrawia z Turcji. Maja skromnie z Jastrzębiej Góry. Zośka macha do nas z basenu w Egipcie. Choć nie rozumiem, jak można lecieć do Egiptu i chwalić się kąpielą w hotelowym basenie, to robi mi się przykro. Zazdroszczę im tej beztroski, wyjazdu choćby nad Bałtyk. Wiem, że nie powinnam porównywać siebie z nimi, ich życia z moim, ale te myśli same pchają mi się do głowy. Łzy rozmazują zdjęcia, więc odkładam telefon. Pociągam nosem.

– Muszę wyjechać. – Tata siada koło mnie na kanapie.

– Co? Ale... – Sens jego słów dociera do mnie powoli. – Z pracy cię wysyłają? Na długo?

– Kilka dni.

– Kilka dni? – wykrzykuję. Ale zaraz ściszam głos, żeby nie obu-

dzić siostry. – Ty nie możesz nigdzie jechać!

– Muszę. Po prostu muszę. – Bezzradnie rozkłada ręce.

– Wiesz, co musisz? Musisz powiedzieć w pracy, że się nie zgadzasz. Przecież mama jest chora.

– W szpitalu ma dobrą opiekę. Przemyślałem to.

– Ale ja nie chcę zostać sama z Kaliną! Nie dam rady. Nie wytrzymam tego. Ona jest okropna...

– Nie przesadzaj – przerywa mi tata. – Świetnie się dogadujecie.

– Co ty mówisz? Jakie świetnie? – Wstaję. Chodzę tam i z powrotem przed kanapą. – Musisz to jutro jakoś odkręcić. Chyba ktoś cię zastępuje w pracy?

– Oczywiście, że tak, ale...

– Tato, proszę. To nie jest czas na służbowe wyjazdy, prawda?

– No, nie jest... – Tata wzdycha.

– Dobrze, że się zgadzamy. – Oddycham z ulgą. – Odkręć to jutro. Dobranoc.

Całuję go w policzek i zostawiam wpatrzonego w podłogę. Głowę oparł na rękach, dłonie zanurzył w siwiejących włosach. Rozumiem, że czeka go niemiła rozmowa z szefem, ale nie ma innego wyjścia.

#### ROZDZIAŁ IV

Przez sen czuję na sobie wzrok Kaliny. Stoi i się na mnie gapi. Nie cierpię, kiedy tak robi.

– Jezu! – wykrzykuję po otwarciu oczu. Odruchowo odskakuję na drugi koniec łóżka. To nie siostra się na mnie patrzy.

– Mama... – mruczy rozespana Kalina. Przeciąga się rozkosznie. Przeciera piąstkami oczy.

Na różowym krzeselku pośrodku pokoju siedzi szczupła kobieta. Uśmiecha się przyjaźnie. Prawą ręką przeczesuje srebrzyste, bajkowe włosy, które opadają luźno na plecy. Mimo kończącego się lata jej pociągła twarz jest blada. Na policzkach dostrzegam zaledwie kilka piegów. Ma cienkie brwi, a między nimi dwie wyraźne, pionowe zmarszczki. Spod długich rzęs patrzą na nas szare oczy.

Krew szumi mi w uszach w rytmie pędzącego serca. Ten niespotykany kolor włosów, bladość cery, nawet uśmiech, który do nas wysyła są takie... mamine. Jednocześnie ma coś surowszego w spojrzeniu. I delikatne dołeczki w policzkach. Mamie się takie nie robią. Ale poza tym ta kobieta jest uderzająco do niej podobna.

– Wróciłaś – stwierdza moja siostra rozmarzonym głosem. Jeszcze jest na granicy jawy i snu. Powoli wstaje z łóżka. Czyżby chciała do niej podejść?

– Kalina, stój! – rozkazuję. Wystraszona siada na materac. – Tato! Tato! – wołam.

Przez głowę przebiegają mi miliony myśli. Analizuję sytuację. Łóżko siostry jest bliżej drzwi.

– Kalina, idź po niego! Natychmiast.

– Wyjechał.

Na dźwięk głosu tej kobiety przechodzi mnie dreszcz. Znam go od dziecka. Słyszałam wczoraj w szpitalu.

– Birke? – Moje imię lewo przechodzi przez ściśnięte gardło zdeorientowanej Kaliny.

– Tato! – próbuję jeszcze raz, ale on nadal nie przychodzi.

Drżącymi rękami odrzucam kołdrę. Łapię siostrę. Przedpokój pokonuję tak szybko, że mała ledwo za mną nadąży. Nasze bose stopy plaskają o panele. Sprawdzam kuchnię, salon i sypialnię rodziców. Pusto. Na wszelki wypadek zaglądam do ciemnej łazienki. Nigdzie go nie ma.

- Naprawdę wyjechał. – Tajemnicza kobieta stoi oparta o ścianę.
- Możemy porozmawiać?

Nie czeka na odpowiedź. Mija nas w drodze do salonu. Kalina obserwuje ją zza moich pleców.

Cała się trzęsę. Nie wiem, co robić. Krzyczeć? Uciekać z mieszkania? Zadzwonić na policję? Jednak ciekawość jest silniejsza od strachu. Muszę wyjaśnić, skąd się wzięło uderzające podobieństwo między tą kobietą, a naszą mamą. Chcę się dowiedzieć, kim ona jest. Biorę głęboki wdech. Powoli wypuszczam powietrze. Zupełnie jak przed wczorajszym spotkaniem w szpitalu. Znowu chcę ukryć strach, choć dzisiaj dotyczy on czegoś innego.

Razem z siostrą idę do salonu i siadam przy stole. Kalina wskakuje mi na kolana. Nie wytrzymuje tak długo. Klęka na moich udach i przechyla się przez blat. Prawie dotyka nosem nieznanjomej.

- Wyglądasz jak mama – wypała w końcu.
- Ty też jesteś do niej bardzo podobna, Kalinko – odpowiada kobieta. Mała rzuca mi zachwycone spojrzenie.
- Bo ja jestem cała mama! A Birke to cały tata – papła. – A czemu ty jesteś podobna do mamy?
- Bo jestem jej siostrą, ślicznotko.
- To nieprawda. – Udaje mi się to jedynie wyszeptać. Odchrząkuję. – Nasza mama nie ma siostry.
- Domyślam się, że nigdy o mnie nie wspominała. Ale to nie znaczy, że mnie nie ma.
- No bo przecież jesteś – chichocze Kalina, którą to stwierdzenie bardzo rozbawiło. – Jak masz na imię?
- Pola. I jestem waszą ciocią.
- Nowa ciocia! Cioocia Poooolaaa – śpiewnie zawodzi mała. Nagle wpada na pomysł. – Powiedz „Pola”.

Przewracam oczami.



- Pola – powtarza bez wahania kobieta.
  - Zjedz pomidora! – Kalina zeskakuje z moich kolan. Już czuje się bezpiecznie. Czeka na oklaski.
  - Koniec! – syczę.
  - Ale to fajne – śmieje się kobieta, a Kalina rzuca mi triumfalne spojrzenie. – Znasz coś jeszcze?
  - Pewnie. Powiedz „piesek”.
  - Dosyć! – Uderzeniem dłoni w stół przerywam tę serię kretyńskich kawałów. – Pani kłamie! Pani nie jest naszą ciocią! W takie bajki może uwierzyć Kalina, ale nie ja!
  - Birke, rozumiem, że jesteś zdenerwowana. I wcale nie jestem zaskoczona, że Laura wam nie wspomniała ani o mnie, ani o nikim z rodziny.
  - Ona wychowała się w domu dziecka. Nie ma żadnych krewnych – powtarzam znaną od małości historię, choć patrząc na Polę, tracę pewność siebie. Ona i mama są tak podobne, że tu nie ma mowy o przypadku. Są rodziną.
  - Jeśli dasz mi szansę, wszystko ci wyjaśnię.
  - Jak pani tu weszła? – zmieniam temat.
  - Dostałam je od waszego ojca. – Pola sięga do kieszeni. Dwa płaskie klucze i żółto-czarny breloczek z logo firmy taty podzwaniają w jej dłoni. Dobrze znam ten komplet. – Lepiej rozmawia się przy herbacie, co wy na to? – zmienia temat.
  - Taaak! I zrób mi jajecznicę. Głodna jestem.
  - Też uwielbiam jajecznicę – ciotka Pola puszcza oczko do Kaliny, która piszczy z uciechy. – Masz ochotę, Birke?
- Kręcę głową, choć na samo wspomnienie śniadania burczy mi w brzuchu.
- Kalina bierze ciotkę za rękę i ciągnie do kuchni. Wygląda, jakby szła z naszą mamą. Mrugam oczami, żeby odegnać to złudzenie.

Dziwnie się czuję, kiedy siostra wtajemnicza obcą osobę w nasze życie. Ta cała Pola po chwili już wie, gdzie trzymamy kubki i który z nich to ulubiony małej. Znajduje szafkę z herbatą i kawą. Zna zawartość lodówki. Siostra przytula się do niej jak do najukochańszej cioci.

Co robić? Nie mam nikogo dorosłego, kto mógłby mi pomóc. Rodzina taty mieszka daleko za granicą. On przyjechał do Polski na studia i został, bo się zakochał. Babcię i dziadka widzimy bardzo rzadko. Przecież nie zadzwonię do nich i nie powiem, że tata zniknął dzisiaj w nocy.

– I ta wasza babcia bardzo by was chciała poznać. – Słowa ciotki wrywają mnie z zamyślenia.

– Jaka babcia?

– No, mama mamy! – Kalina pluje jajecznicą. – Też chcę ją poznać!

– Nie zapomnij o dziadku. – Ciotka czochra jej srebrzyste włosy. – Macie też kuzynki i kuzynów. Wszyscy są was bardzo ciekawi.

Nie wierzę. Babcia, dziadek, kuzynostwo... A podobno mama miała okropne dzieciństwo. Była taka samotna i nieszczęśliwa...

– Dlaczego mama nigdy o pani nie opowiadała? – wybucham. – Dlaczego wymazała tych wszystkich ludzi ze swojego życia? Czemu kłamała? – Opuszcza mnie chwilowy przypływ odwagi. Zaczynam płakać z nadmiaru emocji.

– Pokłócili się. Tak bywa nawet w najlepszej rodzinie.

– Kto z kim? I o co?

– Wasza mama ze swoim ojcem. Ale jeśli chcesz wiedzieć, o co im poszło, to musisz ją sama zapytać.

– Tak, jasne – odpowiadam drwiąco. Nie wyobrażam sobie męczenia chorej mamy pytaniami o przeszłość, którą przede mną ukryła.

– Albo dziadka – dodaje Pola.

Prostuję się gwałtownie na krześle.

– No co? Musimy tam na chwilę pojechać. Wróćcie z tatą.

– Jupi! – cieszy się Kalina.

## ROZDZIAŁ V

– To jak? Spakowałyście już wszystko? – pyta ciotka.

– Wszyciusieńko! – Kalina z uniesionymi nad głowę rękami wiruje wokół różowej walizki. – Jedźmy już!

Wzruszam ramionami. Wolałabym zostać w domu. Po raz setny wybieram numer komórki taty. I po raz setny spokojny męski głos informuje mnie, że abonent jest niedostępny. Mam ochotę rzucić telefonem o ścianę. Powstrzymuje mnie nadzieja, że w końcu tata sam zadzwoni. Wysyłam SMS do mamy, żeby dać jej znać o jednodniowym wyjeździe. Już jutro ją odwiedzimy. Któraś z pielęgniarek powinna odczytać jej tę wiadomość. Smartfon nie reaguje na dotyk zdrewniałych palców.

Drzwi wejściowe do kamienicy zamykają się za mną z trzaskiem. Kalina z ciotką już idą ulicą w stronę auta. Cieszę się, że zostałam z tyłu. Zadzieram głowę do góry i patrzę na ulubione drzewo.

– Co teraz będzie? – pytam mojego przyjaciela. – Nie chcę tam jechać...

Pięciopalczaste liście delikatnie falują. Strach przed wyjazdem powoli ginie w zieloności. Odprężam się. Nagle w górze coś szeleści. Liście poruszają się gwałtownie i niedojrzały kasztan spada prosto pod moje stopy. Schylam się i podnoszę go z ziemi. Miękkie kolce kłują tylko odrobinę. Kilka razy podrzucam jasnozieloną kulę w dłoń. Jest zaskakująco duża.

– Biorę go ze sobą – mówię do kasztanowca i chowam prezent do torebki przewieszanej przez ramię. – Do zobaczenia.

Po dwóch godzinach podróży Kalina w końcu zapada w drzemkę. Też bym tak chciała, ale nie potrafię zasnąć. Patrzę przez

okno. Obrazy za szybą mijają szybko. Już dawno opuściliśmy miasto. Po obu stronach drogi ciągną się prostokąty pól. Na niektórych leżą wielkie bele słomy. Na innych rośnie jeszcze kukurydza. Czasem koncentruję wzrok na jakimś szczególe i patrzę na niego, dopóki nie zniknie w oddali. Czasem pozwalam polom i lasom w oddali zlać się w jedną pasiastą plamę. Nigdy tu wcześniej nie byłam, z niczym ta okolica mi się nie kojarzy.

– Już niedaleko – mówi ciotka, kiedy wjeżdżamy do lasu.

Moje serce przyspiesza. Czuję uderzenie adrenaliny. Odruchowo poprawiam się w fotelu. Uważniej patrzę na boki, jakbym zaraz miała zobaczyć kogoś z rodziny. Rośnie tu wiele grubych, wysokich drzew. Niektóre tworzą grupki przypominające spotkanie dobrych znajomych, inne są samotnikami. Tu i ówdzie leżą powalone ogromne pnie. W butwiejącym drewnie kryją się resztki dawnej potęgi. Starcy, którzy ustąpili miejsca młodym. Ich smukli następcy ścigają się ku nagle odsłoniętemu słońcu. Najmłodsze i najmniejsze drzewka dopiero czekają w cieniu swoich matek na okazję do startu w tym wyścigu. Gęsto tu i bujnie.

Asfaltowa droga jest jak blizna, na której nic nie rośnie. Po kilku minutach nie widzę już jej początku, a koniec jeszcze się nie pokazał. Jesteśmy w mrocznym, zielonym tunelu. Drzewa pochylają się nad nami w płątaninie gałęzi i liści. Gdzieniedzie prześwituje skrawek błękitnego nieba, a słoneczne promienie cętkują asfalt. Gdyby nie to, zupełnie zatopiłoby nas w tej zieloności. Nie wiem, jak daleko w głąb lasu wjechałyśmy, ale jest coraz mroczniej i ciaśniej.

Zawirowanie wiatru rzuca w naszą stronę spadające liście. Uderzają w przednią szybę. Przyklejają się do niej, zasłaniając widok. Zaskoczona ciotka traci panowanie nad kierownicą. Auto gwałtownie zjeżdża na drugi pas. Na szczęście od razu wraca na właściwą stronę drogi. Szarpnięcia rzucają mną w fotelu. Próbuję się czegoś chwycić, ale trafiam w pustkę. Wycieraczki piszczą. Do jednej przyczepił się duży żółty liść. Wędruje z nią w prawo i lewo.

– Uważaj! – ledwie powstrzymuję krzyk.

– Zaskoczyły mnie. – Ciotka poprawia włosy drżącą ręką. – Już dobrze.

Wcale nie jest dobrze. Krew szumi mi w uszach, z trudem oddycham. Liść przyklejony do wycieraczki furkocze. Mam wrażenie, że ten las nas zgniecie, pochłonie. Jego ściany po obu stronach drogi napierają. Korony zaraz wcisną samochód w asfalt.

– Uspokój się! – W myślach przywołuję sama siebie do porządku.

Otwieram okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Powiew wiatru obejmuje mnie, zakręca wokół kostek, łaskocze w szyję, płącze włosy. Wdziera mi się do nosa. Czuję zapach grzybni, zielonej wilgoci z nutą żywicy, próchniejących pni i butwiejących liści. Wiatr myszkuje na tylnym siedzeniu, a potem ucieka z auta. W tym momencie przychodzi mi do głowy dziwna myśl. Że dokładnie poznał mój zapach. Już wie, kim jestem, kim jest Kalina. Obleci cały las, wszystkim drzewom powie, że córki Laury przyjechały.

Prawie uderzam w przycisk zamykający okno. Oddycham szybko.

– Dojechałyśmy – beztróska stwierdza ciotka.

Las się rozstępuje i widzę najładniejsze miasteczko na świecie.

# Iwona Kasino:

Birke jest nieśmiałą piętnastolatką, która brak przyjaciół rekompensuje sobie rozmową z wymyślonym przyjacielem z dzieciństwa – rosnącym koło domu kasztanowcem.

Jej życie zmienia się, gdy mama zapada na tajemniczą chorobę skóry, której lekarze nie potrafią zdiagnozować. Kiedy kobieta trafia do szpitala, ojciec Birke załamuje się. Dziewczyna musi przejąć opiekę nad nieznośną młodszą siostrą Kaliną.

Dzień po kłótni, podczas której Birke prosi tatę, aby nie zgadzał się na służbowy wyjazd, ojciec znika. W domu dziewczynek pojawia się nieznana kobieta, która podaje się za ich ciotkę. Ze względu na uderzające podobieństwo do mamy, dziewczynki jej wierzą. Ciotka zabiera siostry w rodzinne strony ich mamy, które one odwiedzają po raz pierwszy w życiu. Birke i Kalina są zachwycone nowo poznanymi członkami rodziny i samym miasteczkiem, które wydaje im się bajkowe.

Mimo wszystko Birke chce wracać do mamy, ale ciotka zatrzymuje ją w miasteczku. Jak zwykle dziewczyna szuka wsparcia w drzewach. Okazuje się, że w tym bajkowym miejscu drzewa naprawdę z nią rozmawiają.

Rodzina wprowadza Birke w świat ludzi, którzy potrafią porozumiewać się z drzewami. Dzięki temu samotna dotąd dziewczyna zyskuje przyjaciół. Najbliżsi znajomi wyjawiają jej tajemnicę. Szokująca wiadomość sprawia, że dziewczyna, lekceważąc zakaz, ucieka do lasu. Wśród nagabywań i zaczepek rosnących tam drzew słyszy, że ktoś błaga o pomoc. Rozpoznaje głos ojca.

Ciocia i babcia z niezrozumiałych względów odmawiają jej pomocy, więc na ratunek wyrusza sama. Wprawdzie ratuje ojca, ale uruchamia łańcuch zdarzeń zmierzających ku katastrofie. Ofiarą jest jej siostra.

Przyjazny świat pokazuje drugie, mroczne oblicze, a bliscy stają się przeciwnikami w walce o życie Kality. Birke stanie przed bardzo trudnymi wyborami. Niespodziewanie do lasu przybywa ostatkiem sił schorowana mama i staje do walki u boku córki.

„Sekret mojej mamy” jest współczesną powieścią fantastyczno-przygodową dla młodzieży w wieku 12+.

# Dźwięki ptaków, odgłosy ludzi

*Nie szukamy nikogo oprócz ludzi. Nie potrzeba nam innych światów. Potrzeba nam luster. Nie wiemy, co począć z innymi światami. Wystarczy ten jeden, a już się nim dławimy.*

Stanisław Lem, *Solaris*

## Część 1. Anabioza

Po prostu nie wstałem. Poniedziałek, obudziłem się jak zwykle o ósmej. Otworzyłem oczy, zobaczyłem siwe niebo, jasne, tak jakby gdzieś daleko z tyłu było jednak słońce. Musiałem nawet zmrużyć oczy od tej szarości. Obróciłem się na bok, lewy, prawy. Uniosłem się pro forma na łokciach. Opadłem na ukochaną poduszkę, miękką, z takiej pianki, która pamięta, jak lubię układać głowę.

Sufit zimny, niebieski w tym świetle poranka.

Po prostu nie wstałem z łóżka.

Wiele razy przez ostatni rok myślałem o tym, by nie wstać.  
Przez ostatnie lata.

Tydzień po tygodniu przesuwałem w czasie moment wysunięcia się z pościeli. Otwierałem oczy, mój pokój, tak dobrze znany, każda grudka farby na ścianie, odstająca okładzina łóżka,



wszystko stwarzało się wokół, ale ja wciąż chciałem zostać we śnie. Tak miękko i dobrze, tak bardzo nie chciałem inaczej.

Testowałem granice. Jak późno mogę wyjść, by w pracy nikt nic nie powiedział. Czasami spóźniałem się do biura, czasami ktoś zerkał, jak wchodziłem. Zwykle jednak nie miał kto patrzeć. Wystarczało ledwie trącić komputer i byłem w pracy.

Leżałem na plecach, obracałem głowę w lewo i wyciągałem rękę w stronę znajdującego się na szafce nocnej laptopa. Palec do czytnika linii papilarnych. Pod kołdrą, a jednak w pracy.

Zalogowany. Aktywny. Zielona kropka.

Tego dnia nawet na tyle nie miałem siły. Nie miałem chęci. Nawet jakbym chciał, to bym nie mógł. Już nic nigdy.

Od dzisiaj będę szarą kropką, pomyślałem, jak to niebo za oknem szare.

Była 10.13. Leżałem w tej samej pozycji. Przysnąłem na moment, dwa w ciepłej pościeli, zawieszony w półśnie.

Lewa ręka w stronę komputera. Czytnik pulsujący białym światłem. Po prawej telefon, błyskający powiadomieniami. Prawa ręka wyciągnięta przez zimne prześcieradło jak przez tafłę zamrożonego jeziora. Moje ręce jak skrzydła na okładce *In utero Nirvany*. Łóżko było moim łonem.

Leżałem tak, rozciągnięty, skóra przezroczysta, możesz przez nią obserwować moje wnętrze. Tłuszcz, kości, mięso.

Sfilmuj to. Zawieś kamerę na suficie sypialni. Zrób z mojej opowieści film, zrób ze mnie głównego bohatera. Chciałbym, żeby to była otwierająca scena, a w soundtracku żeby leciał kawałek *Heart-shaped Box*.

Rozumiem, licencja pewnie jest droga. Może być cover.

Tylko proszę, nie na pianinie.

*Albo Rape me. Rape me, my friend, I'm not the only one. Hate me.*

Znaczący ten utwór z tej samej płyty też może być. Zresztą zrobisz, jak chcesz.

Miałem już dobrze ponad 27 lat. Przekroczyłem tę granicę i nic się nie stało. Nic zupełnie. Na tym właśnie polegał problem.

W pokoju było pusto, w pokoju było cicho.

Ping – takie długie, metaliczne.

Sięgnąłem w końcu po telefon i nie patrząc na ekran, przesunąłem przycisk na boku. Wyciszenie.

Cisza. Cisza. Cisza.

Obudziłem się znowu po dwunastej. Siedem nieodebranych połączeń. Napisałem: *Źle się czuję. Nie będzie mnie dzisiaj.* Poprawka: *Nie będzie mnie w tym tygodniu.* Chciałem dodać: *Przepraszam.*

Chuj ci w dupę, nie przepraszam.

Poprawka, której nie napisałem: *Nie będzie mnie już nigdy.*

Przytrzymałem kciukiem przycisk na boku. Wyłącz. Krótka wibracja. Lżejszy się poczułem.

Wszystko wokół było takie jasne, spokojne. Słyszałem gałęzie drzew za oknem. Łańcuch huśtawki góra–dół naprężany. Burczenie w brzuchu. O, to mój brzuch burczy.

Stopa lewa, prawa, dotyk dywanu. Głęboki oddech. Prawą dziurką bardziej.

Krzywa przegroda nosowa, wciąż to odwlekałem, wciąż krzywa.

W ogóle taki jestem niesymetryczny raczej. Dlatego na zdjęciach czasem świetnie, a czasem fatalnie wychodzę. Zależy, pod jakim kątem złapać. Chciałbym po prostu przeciętnie, ale zawsze.

Powietrze było chłodne, początek października. Taki chłód, który wszędzie jest i wszystko przeszywa. Idzie z podłogi przez stopy i z każdego przedmiotu wprost do kości. Potem trzeba długo być w ciepłe, trzeba odtajać jak mamut, pod którym załamała się kra, którego futro nasączyła zimna woda i zasnął wchłonięty przez lód.

Otworzyłem drzwi wejściowe i z wycieraczki podniosłem papierową torbę pełną pudełek z jedzeniem.

W pustej kuchni trzask zrywanej folii. Huk, jakby urywał się kawałek lodowca i wpadał w ciemny ocean. Owsianka w pudełku, smak: słodko-szary. Nie miałem siły podgrzewać. Z czarnego plastiku jadłem.

Usłyszałem ją, jak za ścianą skacze. W przerwie na lunch często ćwiczyła.

Pam-pam. Pam-pam. Pam-pam.

Jej stopy uderzały o matę. Dziewczyna z mieszkania obok, z innej klatki. Nie widywałem jej wcale. Nie wiedziałem, jak wygląda. Słyszałem tylko jej dźwięki i czasem widziałem sylwetkę w mlecznej szybie, która oddzielała nasze balkony.

Pam-pam. Pam-pam. Pam-pam.

I głos trenerki z aplikacji w telefonie: *Wow, jesteś niesamowita, dałaś z siebie wszystko!* <oklaski>.

Gdzie się podziały moje oklaski?

Przez okno w kuchni widziałem gałęzie drzewa, nagie i jak ten plastik czarne. Na nich kilka wron. Siedziały sobie i milczały. Wiatr zrywał pojedyncze liście, które ostały się jeszcze na nagich badylach.

Na zewnątrz też chłód, bardziej niż tutaj chłód. Pióra nastroszone, dzioby spuszczone, szpony mocno na drzewie zaciśnięte.

Ułożyłem kurhan z połowy porcji owsianki i wbiłem w środek łyżkę. Dopiero wstałem, a już jestem zmęczony. Wziąłem koc z sypialni, owinąłem się nim i usiadłem na sofie w salonie.

Wszystkie kolory, w środku i na zewnątrz, sprane, jakby to chłodne powietrze było strumieniem, który wypłukuje każdy żywy odcień, mnie wypłukuje.

Dziewczyna przestała ćwiczyć. Tarcie i ciche stuknięcie. Zwinęła matę i oparła ją o ścianę.

Na zewnątrz samochód, koła po żwirze, klatka, kroki, pies o drzwi. Znów zasnąłem.

Długie cienie w granatowym mieszkaniu. Turkusowe, fioletowe, trupie błyski telewizora. Leżące krzesła, stół, lodówka unoszone w zimnej wodzie. Leżałem na boku na sofie, nogi wciąż na podłodze. Chłód od palców stóp do palców dłoni.

Podszedłem do okna. Sylwetki ludzi przemykające w żółtym świetle latarni, białe duchy rozświetlane lampami przejeżdżających aut. Znów wracali, jak każdego dnia, z pracy, ze szkoły, skądkolwiek. Za chwilę wejdą do mieszkań wypełnionych aromatem gotowanych warzyw, herbaty i ciepłą obecności. Albo odwrotnie, do mieszkań podobnych mojemu, o zapachu mebli i kurzu, zalanych ciemną zimną wodą.

Kiedy wpadniesz pod lód, musisz działać w sprzeczności ze

swoim ciałem. Pierwszy odruch: paniczne łapanie oddechu. Twoje gardło wypełnia zimna woda, bulgocze przez nos i wraca, twoje płuca kurczą się jak gumowe zabawki, a po chwili rozprężają i zasysają w siebie gęstą wodę. Pod lodem widzisz tak, jak w pierwszych dniach swojego życia. Ciemne i jasne plamy.

Kaloryfer w pokoju był zimny. Znow coś się zepsuło. W kuchni kurhan owsianki i wieża czarnego plastiku. Laptop w sypialni pulsował białym światłem. Zamknąłem pokrywę, zakopałem się pod kołdrą, powoli wracało we mnie ciepło.

Obudziłem się o czwartej rano, krople potu na rękach i łydkach. Telefon piszczał i wibrował. Wyślizgiwał mi się z dłoni jak wyłowiona z morza ryba. Był wyłączony, ale wciąż trząsał się pomiędzy palcami. Sprawdziłem kilkakrotnie. Był wyłączony.

Jeszcze wiele razy tej nocy piszczał i wrywał mnie z niespokojnego snu. Owinąłem go w ręcznik i włożyłem do szafki pod umywalką między butelki detergentów.

Świtało już. Chmury wron przecinały stalowoniebieskie niebo. Krakanie niosące się po ścianach bloków. Dzwonek tramwaju przystającego za nimi. Było mi jednocześnie zimno i gorąco. Z szafki w kuchni wyciągnąłem nowe opakowanie leku na sen, wziąłem dwie tabletki, popiłem wodą prosto z kranu. Piłem łapczywie, najchętniej włożyłbym całą głowę pod kran, włożyłem całą głowę.

Jestem w tej samej restauracji, do której często zabieraliśmy partnerów biznesowych. Na moim talerzu sałata, pieczone ziemniaki, ciemny balsamiczny sos i macka ośmiornicy zagięta i purpurowa.

Mój szef śmieje się i mówi z policzkami wypchanymi jedze-

niem, ślina tryska mu z ust, krople spadają na talerz, skrzą się w ciepłym blasku lamp, jak pierwsze płatki śniegu. Obok analityk z mojego zespołu i właściciel firmy, którą chcemy kupić. Nie widzę jego twarzy, cały czas rusza głową, a twarz rozmywa się. Obraz przypomina długo naświetlany film i po chwili wszystko traci ostrość, nie tylko obrazy, ale i dźwięki.

Pochyliam głowę i patrzę na swój talerz. Macka ośmiornicy jest w innej pozycji niż wcześniej, zagrzebana w sałacie, dwa ziemniaki spadły na obrus. Musiałem zrobić to, nie patrząc. Ale moje sztuczce są czyste. W nożu widzę roześmiane twarze innych gości restauracji, nagle bardzo wyraźne.

Szef wspomina moje imię, mówię: ach tak, tak, Chorwacja, to było bla, bla, bla, żagle, ładnie, ładnie, później on mówi: w porcie w miejscowości Murter jedliśmy najlepszą ośmiornicę w życiu! Była taka miękka w środku i soczysta, skóra spieczona i krucha, ani trochę gumowata. Oni to robią prosto w palenisku, pod peką, bla, bla, ale ta tutaj, och, delicje, najlepsza w Warszawie. Codziennie przywożą świeżą ośmiornicę jeszcze żywą, wprost z Adriatyku, mój kolega, peka, peka, bla, bla.

Aromat szaławii uderza mnie w nozdrza, komuś jeszcze ziemniaków? Otacza mnie szałwiowy dym, wciągam przez zęby łyk białego wina.

Wbijam widelec w mackę ośmiornicy. Ta zwija się w kłębek i miota po talerzu, czarne kropelki wypływają z nakłucia, moje ciało podskakuje na krześle. Szef, Właściciel i Analityk nic nie zauważają. Puszczam, ośmiornica wije się. Wbijam widelec jeszcze raz i jeszcze raz, zęby ledwo przebijają skórę, uderzam mocniej, mocniej, mocniej, budzę się.

Na zewnątrz znów jest ciemno. Pościel wilgotna od potu. Na prześcieradle odcisnięty mokry kontur mojego ciała. Pisk

i chrobot z łazienki.

Szafka, wypadają butelki detergentów. Odwijam ręcznik, który z każdą warstwą jest bardziej lepki. Ciemna maź brudzi moje dłonie i ciężkimi kroplami kapie na podłogę.

Ze środka wypada telefon, skacze i wije się po podłodze, nie mogę go złapać. Im bardziej próbuję go chwycić, tym bardziej się wyslizguje, wylatuje daleko, aż na przedpokój i do salonu, zostawia po sobie atramentowe smugi. Rzucam się na niego i przykrywam swoim ciałem, przygważdżam do parkietu, wsuwam ręce pod brzuch i ściskam obiema dłońmi. Jest śliski i zimny.

Podnoszę się na kolano, jedno, drugie, całą swoją uwagę i siłę skupiam na tej śluzowatej tabliczce. Połyskliwe oczy trzech obiektywów patrzą wokół, patrzą na mnie, widzę w nich strach, widzę w nich odbicie swoich oczu. Telefon wystrzeliwuje w stronę balkonu, a ja chcę płakać, ale nie mogę.

Zaraz, moment, to wszystko nie ma znaczenia. To wciąż jest sen. Każdy problem mogę ostatecznie rozwiązać tak samo.

Oko, lewe, prawe, powieki mrugające jak włączany ekran, otwarte.

Na zewnątrz rzeczywiście ciemno. Pościel wilgotna od potu. Zerwałem się z łóżka i odrzuciłem kołdrę: na prześcieradle mokry kontur mojego ciała, ale wokół cisza. Oddychałem ciężko. Z szufłady wyciągnąłem tabletkę alprazolamu, łyknąłem całą.

W lustrze moja zmęczona twarz. Każda nierówność wyraźnie widoczna w halogenowym świetle. W szafce żółty ręcznik, nieruchomy. Rozwinąłem go i położyłem telefon na stoliku w salonie. Błyszczał w ciepłym blasku lamp z podwórka. Włożyłem w niego igłę. Karta SIM wydawała się ciepła w opuszkach pal-

ców. Położyłem ją sobie na języku, dotknąłem podniebienia. Chciałbym ją wchłonąć, przetworzyć, rozpuścić w sobie, tak by nie pozostał po niej żaden ślad. Pogryzioną wyrzuciłem do kosza na plastik.

Ludzie wracali z pracy, ze szkoły, ze swoich zajęć. Otworzyłem drzwi, kolejne plastikowe pudełka. Trzask zrywanej folii. Zimne curry z ryżem. Chciałbym zasnąć, nie mogę, dopiero wstałem. Biorę dwie tabletki zolpidemu, popijam, czekam. Biorę trzecią, popijam, czekam.

Cały stół zajmowały wieże ustawione z czarnych pudełek. Lodówkę wypełniały czarne pudełka. Pod ścianą puste czarne pudełka.

Brązowe papierowe torby poupychane za krzesłem, leżące na podłodze jak liście, na nich napisy czarnym flamastrem, nazwy i numery kolejnych dni, tydzień, dwa, trzy.

Na sofie białe prześcieradło i poduszka z sypialni. Na podłodze obok czarne pudełko. W środku niedojedzone chili sin carne.

Stolik przed sofą, na nim czarne pudełko i czarna miseczka. Szafka na telewizor, czarne pudełko z rozlanym tiramisu, będę musiał spuścić je w toalecie, ale w tamtym momencie nie miałem siły.

W łazience na pralce czarne pudełko z ryżem z owocami.

W sypialni dwa czarne pudełka. Jedno na łóżku, makaron z zielonym sosem na pościeli.

Balkon, kilka czarnych pudełek pod ścianą, druga lodówka.

Otworzyłem drzwi, z futryny wypadła koperta. Tak jak trzy wcześniejsze wyrzuciłem ją do pojemnika na papier. Do mieszkania wniosłem kolejną torbę czarnych pudełek.



Okazuje się, że dzisiaj jest wtorek, pomyślałem. Kolejna czarna wieża na kuchennym blacie, kolejny liść na podłodze.

Trzask zrywanej folii, zupa jarzynowa. Pierwsza łyżka, rozgotowana brukselka, dzieciństwo, obiady z ojcem; zawsze gotował zupę z tej samej mrożonej mieszanki warzyw. Cemu tam zawsze była brukselka, nie wiem, nie słyszałem, by ktokolwiek ją lubił. Kiedy ojciec siedział przy stole, musiałem zjeść wszystkie. Mdłe wnętrzości brukselki rozsmarowane na podniebieniu. Połykałem w całości, nawet gdy wielkością przypominała piłeczkę pingpongową.

Jak nie będziesz jadł, to będziemy cię karmić, jak się karmi gęsi.

Swoją drogą, próbowałaś foie gras? Może trafiło ci się kiedyś na zapleczu restauracji i nawet nie wiedziałaś. Bardzo pyszne, do tego chrupiąca bagietka, rozkosz dla podniebienia.

Trzask zrywanej folii, sojowe kotleciki, kiszona kapusta i ziemniaki. Rozciąłem jednego na pół widelcem, kruchy i żółty, smak słono-koperkowy.

Z szafki z telewizorem podniosłem pudełko zolpidemu. Puste. Kartonik w kuchni. Pusty. W sypialni. Pusto.

Skarpety ślizgały mi się na posadzce przedpokoju, wysypałem na blat kuchenki wszystkie leki z pojemnika. Pusto, nie ma.

Trzask wypychanej z blistra tabletki alprazolamu.

Różowy krążek na blacie. Różowy krążek na dłoni, różowy krążek na języku białym i suchym, smak gorzki. Szklanka wody, krtań, przelyk, różowa tabletką płynie przez różowe błony przełyku i wpada do żołądka.

Benzodiazepina wchłaniała się we mnie, gdy naciągałem na

piżamę dres ze starym znaczkiem Adidasa. Bluza z kapturem, czapka i zimowy już płaszcz. Buty do biegania Asics, też czarne, z taką membraną, która tuli moją stopę i dba, by jej było sucho.

Wiatr, brązowe poskręcane liście, gołębie szare jak ściany budynków, trzymające się czarnych gałęzi. W oknie mieszkania na parterze sąsiad, morda zmarszczona, szczęka wysunięta w grymasie. Syn mu kupił to mieszkanie, opłacał pielęgniarkę i zostawił, aż całkiem wyschnie. Zawsze to inwestycja, lepiej niż płacić za dom opieki.

Zewnątrz jest zimne i opuszczone, niedostępne jak arktyczny pejzaż, ale zamiast śniegu pył, kurz i błoto. Ciemno, ale tak, że wszystko w tym mroku nabierało dodatkowej ostrości, jakby stłumione kolory pozwalały oczom wyraźniej widzieć kształty.

Szedłem wzdłuż torów tramwajowych, na łańcuchach kilkanaście wron, siedziały milcząco, przyglądały mi się błyszczącymi czarnymi oczkami, oceniały każdy mój ruch.

Apteka Słońce, szarpnąłem drzwi, ciężkie, przyblokowane, dzwoneczek, byłem wewnątrz, ciepłym, chociaż światło zimne, antyseptyczne.

Mężczyzna za taflą szkła. Dobry wieczór, dzień dobry, mój numer recepty: 2475, numer PESEL: 9105...

Mężczyzna wyszedł na zaplecze, szmer odsuwanych szuflad i przekładanych kartoników. W zasięgu jednego kilometra pięć aptek, w każdej to samo, ale ja lubiłem najbardziej tę, bo Pan Słońce nigdy o nic nie pytał. Nie miał po co pytać, aptekarz nie musi być empatyczny. Diagnozy zostały postawione, decyzje podjęte, ceny ustalone. Wysuwał szuflady, grzebał w kartonikach i przynosił posłusznie to, co kazano mu przynieść. To wyszło razem tyle i tyle, dziękuję, do widzenia.

Pan Słońce przyniósł w dwóch rękach pudełka, spytał, czy to wszystko, w zasadzie to jeszcze poproszę kompleks witamin B,

witaminę D, magnez w formie cytrynianu, cynk, kwasy omega 3-6-9 wegańskie i jeżówkę w formie tabletek, bo w końcu sezon przeziębień.

Wszystko zapakował mi w foliową torbę, a ja pomyślałem, czy osobie, która kupiła właśnie dziesięć opakowań benzodiazepin i dziesięć opakowań tabletek na sen rozważnie było dawać przedmiot, którym można się udusić. Z drugiej strony, te wszystkie witaminy mogły sugerować, że niemal łąpczywie chwyciłem się życia i pragnąłem żyć długo i zdrowo. Trudno było wyciągnąć z tego rachunku jednoznaczne wnioski. No i jak już mówiłem, aptekarz nie musi być empatyczny. To jest razem tyle złotych tyle groszy, bardzo dziękuję, do widzenia.

Na zewnątrz wron było jakby więcej niż wcześniej. Patrzyły na mnie, jakbym zrobił coś złego. Przecież nie robiłem nic złego.

Czy widzisz coś złego w spaniu? No właśnie. Sam przecież dużo śpisz, więc rozumiesz chyba, jak to jest.

Pośpię sobie trochę i do wszystkich was wrócę, wyspany i obecny, jak nigdy wcześniej.

W granatowej karoserii widziałem swoją zdeformowaną twarz, która prześlizgiwała się na ciemną szybę. Usta przeszły już na tylne drzwi, oko było jeszcze na klapie bagażnika, nos z profilu. Przeciskałem się między cielskiem auta a szarą ścianą bloku, spodniami wytarłem szary pył ze zderzaków.

Syn sąsiada burknął: przepraszam, zaraz odjeżdżam. Nie był młody, ale nie był jeszcze stary. Z tylnego siedzenia wyciągał karton z aparatem tlenowym. Stary sąsiad stał w wejściu do klatki, tato, wejdz do środka jest zimno, powiedział syn, siwa chmurka pary z ust, siwa jak jego włosy, błyszczące, chromowane.

Zaczepiłem plastikową torbę o wystającą śrubę piorunochronu, moje pudełka z lekami wypadły na chodnik. Syn sąsiada popatrzył, oczy świeciły mu się podobnie jak wronom, czarne i uważne. Zbierałem pudełka bez pośpiechu, próbowałem zrobić koszyczek z urwanej torby, ale pudełek było za dużo. Mężczyzna stanął nade mną, podrażniona skóra na jego gardle, czerwone kropki od świeżego golenia.

– Mam torbę, chce pan?

Podał mi białą papierową torbę z napisem VivoLabs. Kucnął i pomógł mi zbierać pudełka. Zatrzymywał spojrzenie na nazwach leków, Alprazolam, Zolpidem, inne, ruszał policzkami i zaciskał usta, jakby przełykał. Wyglądał na człowieka, który potrafi docenić, że kupiłem magnez w najlepiej przyswajalnej formie cytrynianu i witaminę D o różnych stężeniach.

Pierwsze drzwi, zapach starego człowieka, który je trzymał, drugie drzwi, karta do czytnika, melodyjka, zapach umytej podłogi, alpejskie kwiaty. Stopy pam-pam o stopnie, czwarte piętro wchodziłem, nie chciałem windy. Drzwi naprzeciwko moich łyptały na mnie niebieską lampką czytnika oka, palca, nie wiedziałem. Nigdy nie spotkałem osób tam mieszkających, nie spojrzałem w ich oczy, nie dotknąłem palców, nawet przypadkiem, przytrzymując drzwi czy odbierając paczkę. Wiedziałem, że tam żyli, bo od pandemii trzymali buty na zewnątrz, jak muzułmanie, ale nie byli muzułmanami. Na święta wieszali stroik i pisali kredą KMB. Czasem dziecko płakało/krzyczało/śmiało się za ścianą, czasem płaczem/krzykiem/śmiechem odpowiadała kobieta, tyle o nich wiedziałem.

Klucz, zamek, odsuwane bloki stali wewnątrz drzwi.

Powietrze gęste, nieruchoma ściana. Stęchlizna i resztki jedzenia, zapach jak z rozmrożonej lodówki. Położyłem torbę z lekami obok czarnych wież z pudełek. Wyciągnąłem lawendowy worek na śmieci i pozbierałem do niego wszystkie otwarte

pudełka z jedzeniem, wyniosłem na balkon i otworzyłem okna. Zdjąłem prześcieradło i wsadziłem do pralki. Najstarsze pudełko z lodówki postawiłem na balkonie. Świeższe włożyłem do lodówki.

Wysypałem leki na blat kuchenki. Cisza, spokój, ten dźwięk-niedźwięk w uszach. Krótko, bo zaraz usłyszałem tupanie, dziecko, gdzieś niżej. Otwierany kartonik, trzask wbijanego blistra, niebieska tabletką na mojej dłoni, jedna, druga, dla pewności trzecia. Zapach sztucznej lawendy na palcach, gdy wrzuciłem je w usta, woda ze szklanki, czekam.

Zbliżenie z tej kamery, co ją zawiesiłaś na suficie: powieki, pod skórą ruch, jakby coś rozpaczliwie chciało się ze środka wydostać.

W dawnym życiu sny rozpuszczały się w moim mózgu i po przebudzeniu pozostawał mi po nich tylko posmak. Szorstki, mdły ślad na języku i zetlały zapach w nosie, jakby sen unosił się ze mnie z każdym oddechem. Gdy się budziłem, nie pamiętałem treści snu, ale czułem emocje, które zostały po jego odprowadzeniu.

Na szafce nocnej miałem przygotowane opakowanie alprazolamu i szklankę wody, bo najczęściej był to lęk.

To zaczęło się długo przed. Już jako dziecko byłem zmęczony. Już jako dziecko byłem zdenerwowany. Obgryzałem paznokcie i dławiałem w sobie lęk, ale nie ma sensu cofać się aż tak daleko. Najpierw był zły sen. Nie potrafiłem zasnąć, a jak już zasnęłam, to budziłam się z napięciem i lękiem w całym ciele. Marianna mówiła, że zdarza mi się krzyknąć przez sen. Takie krótkie: aaaaa-aagh! I potem cisza. Gdy się budziła, nie była pewna, czy samej jej się to nie przyśniło.

Wieczorem łykałem więc zolpidem, żeby zasnąć, a rano alpra-

zolał, żeby się rozluźnić. Przez miesiące działało doskonale. Aż pojawiły się koszmary.

Za drzwiami cztery papierowe torby. W kuchni sprawdziłem daty na pudełkach, cyfry plątały mi się przed oczami. Porównałem z datą z najnowszej torby. Czy siedem dni to za stare? Nie wiem – na balkon. 23 dni, do wyrzucenia – na razie: balkon; na razie: leżą pod stołem.

Folia, trzask. Kiszony ogórek, miękki, kluska śląska rozlazła, całość w lepkim sosie, smak: kwaśno-brązowy.

Założyłem płaszcz. Powietrze zimne, niebo stalowe. Stopa lewa, prawa, stanąłem na środku balkonu. Szorstkie włókna polipropylenu przebijały skarpety.

Wrona, czarna gałąź, trzy szybkie: kree-kree-kree – przerwa – kree-kree-kree – przerwa – kree-kree-kree.

Zamknij japę, syt-syt, przez zęby do niej, dalej krakała, przeskoczyła na gałąź wyżej i rozwarła skrzydła, kree-kree-kree, kree-kree-kree.

Rzuciłem w nią ogórkiem kiszonym, miękkim, wygrzebanym z torby, nie trafiłem, patrzyła z wyrzutem, ale przynajmniej się przytkała.

Balkon w czarnych pudełkach, pod ścianami, pod barierkami, pod szybą mleczną czarne pudełka, a w torbie miałem kolejne bloki tego czarnego plastiku, którym się okładałem.

W rogu balkonu plastikowa sofa udająca wiklinową, na niej zwilgotniałe poduszki, za nią lawendowy worek pełen starych pudełek, który napełniłem wczoraj, a raczej cztery torby temu.

Jasnioletowa powierzchnia unosiła się jakby w oddechu, unosiła się na wietrze, ale nie było wiatru, szarpała się, rozciągała,

jasnofioletowa powierzchnia pływała w powietrzu, naciągała się jak skóra na ramionach, łopatkach, żebrach i ścięgnach baletnicy, jasnofioletowa powierzchnia unoszona oddechem i tańcem.

Czułem zapach lawendy i sfermentowanego jedzenia, włókna sztucznej trawy łaskotały stopy z każdym krokiem, gdy podchodziłem do tej jasnofioletowej plastikowej materii, martwej, nie licząc bilionów bakterii wewnątrz, martwej, a jednak ruchomej.

Torba upadła na bok, czerwone tasiemki rozsunięte, plastik naderwany, nachyliłem się.

Szelest, ciemne pióra rozsypały się prosto w moją twarz, charkot, a pomiędzy nimi dziób czarny, szeroko rozwarty, spomiędzy nich zagięte szpony, wokół czerwona tasiemka. Wrona próbowała wylecieć, ale nie mogła, worek zaczepiony u jej łapy. Grzbietem uderzyła o barierkę balkonu, posypały się pióra, przewróciłem się na sofę, wilgoć poduszek nasączała flanelę pizamy. Kree-kree, głośne, rozpaczliwe, skacząc i uderzając skrzydłami, przesuwiała się jak najdalej ode mnie, a bliżej do wejścia i ciągnęła za sobą worek, z którego wypadały czarne pudełka i resztki jedzenia.

Drzwi balkonu uchylone, pochmurne niebo odbite w szybie. Patrzyła na mnie to lewym, to prawym okiem. Żeby tylko nie weszła do środka, pomyślałem, ona chyba też, bo spojrzała na drzwi i na mnie, kree-kree-kree, i z drzewa drugie kree-kree, i cisza. Nie ruszałem się, ona się nie ruszała i tamta druga też nie.

Cały ten obraz miękki, plastyczny. Szare światło oblepiające błyszczące powierzchnie szyb, barierek, oczu. Oddech nagle zwalniający, parujący w chłodnym powietrzu.

Stęknienie zawiasów za mleczną ścianą. Dziewczyna z mieszkania obok uchyliła drzwi balkonu. Rozmyta sylwetka wystająca

na zewnątrz, wrona, potrzask, co zrobić, kree, ze wszystkich stron, co zrobić, kree-kree.

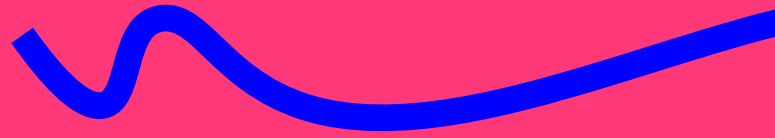
Zerwałem się i przycisnąłem worek, wrona skoczyła, naderwałem worek, wystarczyło, wzleciała na barierkę i dalej w powietrze. Jasnioletowy plastik powiewał unoszony uderzeniami skrzydeł, czerwony pasek zawinięty na łapie, odlatywała w stronę drzew, a za nią ta druga.

Siedziałem oparty o ścianę, wokół porozrzucone pudełka i zepsute jedzenie. Resztki tiramisu roztarte po sztucznej trawie. Sylwetka w mlecznej szybie, z tej perspektywy przysadzista, ciemna jak dym z palonych mokrych liści. Chyba zastanawiała się, czy coś powiedzieć, bo tak stała chwilę, ruch głowy to w niebo, to w szybę, może nie była pewna, czy ktoś był po drugiej stronie.

Kroki po kafelkach, zamknęła drzwi.



# Arkadiusz Kowalik:



Daniel ma 31 lat i biorąc pod uwagę kryteria późnego kapitalizmu, radzi sobie w życiu doskonale.

Pewnego dnia coś w nim jednak pęka. Daniel nie wstaje z łóżka. Zamyka się w swoim mieszkaniu i zapada w stan w biologii nazywany anabiozą: przejściowym skrajnym obniżeniem aktywności życiowej organizmu będącym odpowiedzią na niekorzystne warunki środowiska – pozorną śmiercią.

Daniel żywi się dostarczonym pod drzwi cateringiem, znieczula lekami i śpi. Pan z Apteki, Pani Żabka, pies sąsiada Drapcio, dziewczyna z mieszkania obok, którą słyszy przez ścianę, i wrony, które plądrują jego balkon w poszukiwaniu jedzenia, to cały jego mikrokosmos.

Podczas jednej z wypraw do apteki Daniel spotyka Adama Habę. Mężczyzna pomaga mu pozbierać pudełka leków i wyraźnie zwraca uwagę na ich nazwy. Daniel wyczuwa między nimi nić porozumienia. Kiedy sprawdza Habę w internecie okazuje się, że ten jest właścicielem laboratorium VivoLabs.

Po kilku miesiącach Daniel nie może już więcej spać. Bezsenna wyprawia go na ulice Warszawy. Jego uwagę przyciągają zniszczone witryny sklepów mięsnych i liczne protesty klimatyczne. Podczas jednego ze spacerów trafia w okolice siedziby VivoLabs, gdzie

widzi grupę aktywistów oskarżających laboratorium o nielegalne eksperymenty na zwierzętach.

W międzyczasie wrony na dobre zadomowiają się na jego balkonie. Daniel zaczyna je lubić. Obserwuje ptaki i nagrywa ich dźwięki.

Na stary telefon bohatera zaczynają przychodzić dziwne wiadomości. Osoba, która przedstawia się jako GrayFox, rozmawia z Danielem o protestach. Dyskusja schodzi na temat stosowania przemocy w imię pozytywnej zmiany społecznej.

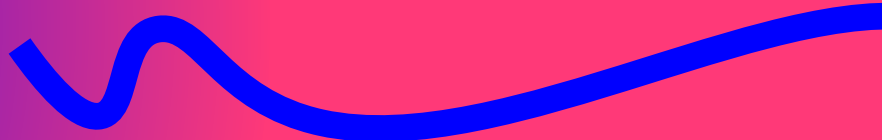
Kilka dni później Daniel widzi przez okno zdenerwowanego Adama Habę. Ktoś uszkodził jego mercedesa. Daniel ze zdziwieniem odnajduje na stole w kuchni nóż, a gdy otwiera laptopa widzi wideo instruktażowe „jak przebić oponę”.

Daniel orientuje się, że nie pamięta wielu godzin swojego życia. Co wtedy robił? Czy w obronie wykorzystywanych stworzeń jest w stanie skrzywdzić innego człowieka? Co się stanie, gdy wszystkie emocje, które przez lata w sobie tłumił, znajdą w końcu ujście?

Dźwięki ptaków, odgłosy ludzi to opowieść o osobie, która nie chce krzywdzić innych istot, ale nie widzi innej możliwości. To też historia o relacji współczesnego człowieka z naturą i poszukiwaniu bliskości. W tle znajdują się rozważania o różnych formach męskości: tradycyjnej, opartej na dominacji i przemocy, oraz innych, w których nadrzędnymi wartościami są troska, czułość i odpowiedzialność, a także o eksploatacji jednostki w społeczeństwie zmęczenia (ang.

burnout society).

Zależy mi na podmiotowym ukazaniu wszystkich postaci, również osób nieczłowieczych: wron, psów i innych zwierząt. Jest to powieść posthumanistyczna, próba zrozumienia innych, pozaludzkich perspektyw.



# Po ojcu

*... le lieu – géographique, social – où l'on naît,  
et celui où l'on vit, offrent sur les textes écrits,  
non pas une explication, mais l'arrière-fond  
de la réalité où, plus ou moins, ils sont ancrés.*

*...miejsce – geograficzne, społeczne – w którym  
się rodzi i mieszka, daje na tekstach pisanych nie  
wyjaśnienie, ale tło rzeczywistości, w której mniej  
więcej są zakotwiczone.*

annie ernaux

*mam prawo wiedzieć, gdzie biegnie granica  
między nami.  
gdzie jestem ja, ja sama, sama.  
(...) donoszę łachy po rodzinie,  
obcy mózg, owoc przypadku,  
(...) nos  
zlepiony z kilku umarłych nosów.  
co mnie łączy z tym wszystkim?*

anna świrczyńska

mam dwanaście lat i modlę się o śmierć. nad rozłożonym do spania tapczanem obraz – spadek ojca po ojcu. miał dobiecany zegar z wahadłem, ale zegar, dom, stodoła, pola – wszystko poszło do jego dwóch starszych siostr. jego dziedzictwo to chromolitografia matki boskiej hodyszewskiej, królowej podlasia, przed którą klękam i *proszę, pomóż tacie, jeśli ma cierpieć, weź go do siebie*. wymyślonymi zdaniami, tymi czy innymi, myślę tropy, mnożę metafory, byle jedyne, co wybrzmiało, to *ból i cierpienie ojca i moja troska o tego, któremu w niebie będzie lepiej, on tego nie wytrzyma, więc zabierz go stąd*, szepczę.

trwa umysłowa ekwilibrystyka. myślenie trzeba ograniczyć do cierpiącego ojca, nie ulegać niewłaściwym emocjom, egoistycznemu pragnieniu, by... tu urywam, zagłuszam, zagaduję. dwumyślenie w jednej cichej modlitwie, desperacja, by unicestwić słowa, załączki zdań, które pchają się na wierzch, wciskam je w tajemne miejsce, w głąb siebie.

zielonowłosa matka boża, autorka cudów i uzdrowień, wie wszystko. co jeśli mnie przejrzy i odkryje prawdziwe intencje modlącej się dwunastolatki. twarz na obrazie nie zdradza emocji, czarnymi kreskami zaznaczoną brewonos i usta, do tego czarne źrenice w migdałowych ramkach. każdego wieczora patrzy tak samo. czy słyszy, czy rozumie, czy obchodzi ją niechciany monolog urwanych samogłosek.

gorąca modlitwa nie jest literacką fikcją, ale wyszukany kłamstwem, w którym prawdziwe jest tylko uczucie rozpacz. nie, nie uczucie. wspomnienie. też nie, ani uczucie, ani pamięć, ani fantazja, ale *rozpacz* – słowo.

pokój dzieciństwa, który wciąż na nowo ustawiam w pamięci, to żółta ściana i szorstkość tapczanu, przy którym na kolanach modlę się o śmierć.

pokój dorastania jest ciemnozielonym płótnem, zagraconym krzyżami i tablicami, rysunkiem cudownie uzdrowionych przez matkę boską dłoni i nóg. to dom ocalonych, nieobecnych, niewidzialnych, pozbawionych kończyn potworów, do których zaliczam się i ja – wyrodna córka bez serca, prowadząca zakłamywany monolog, jeden z matką bożą, drugi ze sobą, to znaczy z tamtym drugim gorszym, przeklętym, łaknącym cudzej śmierci upiorem, pragnącym za mnie.

przerażeniem napawają mnie oczy opatrności. oczy wszechwidzące, od których uciekam ku trzypiętrowej koronie z gwiazdnym łańcuchem i bławatkowym krzyżem, zieloną aureolą zdobioną położonymi trójkątami. twarze maryi i jezusa są rozświetlone. na dole stopy dziecka z dziesięcioma zwartymi palcami. dłoń jezusa uniesiona w trudnym do zrozumienia i wykonania geście (palec wskazujący i środkowy wyprostowany, palec serdeczny i mały wygięty do boku); później przeczytam, że w ten sposób *jezus błogosławi, pod lewym ramieniem trzyma księgę*, ja widzę fałdę ubrania.

odciśnięty w zawodnej pamięci, podatnej na zniekształcenia obraz matki boskiej hodyszewskiej dziś znajduje się w domu mojej siostry. ja, ateistka, wiozę go w bagażniku 600 kilometrów z otwocka do poczdamu w nadziei, że wesprze. *moją prośbę spełniła*, tę wyszeptaną i tę wypartą, *pomoże i tobie*. siostra wiesza obraz nad łóżkiem.

mam dziewięć lat, klęczę w przedpokoju wyłożonym boazerią, rozpaczliwie modląc się o życie dla dziadka, ojca ojca. przede mną pustka kuchennego okna, za plecami pokój z rozkładanym tapczanem, z którego dziadek od dawna nie wstaje, na stoliku radio atut, na którym roztopia się czekolada dla martusi, obok zbrązowiała fifka na klubowe. wysłużony scyzoryk, którym kroi dla mnie jabłko, chleb i kiełbasę. *byłaś jego ulubienicą, ciebie kochał najmocniej, wielokrotnie słyszę*.

na trzecim piętrze mieszkania w otwockim bloku znajduje się gabi-

net dentystyczny ciotki, najstarszej siostry ojca. przedpokój z boazerią jest poczekalnią, ale pacjenci często się w nim nie mieszczą, czekają na klatce schodowej. ciotka – pani doktor z papierosem w ustach, w wykrochmalonym fartuchu wypełnionym zmiętymi banknotami – jest specjalistką od rwania zębów. ani jednego szwu, bezboleśnie, w dowód wdzięczności dostaje alkohol, czekoladę, mięso, części do samochodu (najpierw trabanta, potem fiata 125p), ciotka zna imiona dzieci wszystkich pacjentów, odmawia znieczulania przy borowaniu i leczeniu kanałowym, *muszę wiedzieć, co czują*.

póki ciotka nie skończy, czytam jej książki. najczęściej album *kl Auschwitz – fotografie dokumentalne*. patrzę na okutane w czarne chustki dzieci, rzędy pustych prycz, łyse głowy zatknięte na biało-niebieskich pasiakach, horyzont.

dziadek umiera kolejny raz. z najwyższym wysiłkiem wydobywam ze wspomnień zapisany w ciele strach, krzyk *nie umieraj, tato! oddychaj! dzwoń po pogotowie!*, a do mnie, w pośpiechu, módl się za dziadka, módl się, dziecko. wtedy umiem tylko słowami z kościoła, więc nawijam zdrowaśki, jedną po drugiej, *święta mario, matko boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę*. boję się wyrazu na ś. dziadka zabierają do podotwockiego szpitala.

oczekiwanie nie jest wybawieniem ani nagrodą, nie jest niczym małym ani wielkim, ani ostatecznym, żadnym początkiem czy końcem, ale niewyraźnym stanem, zdolnym zmienić się w nieobecność.

pewnego wrześnieowego wieczora 1980 roku rodzice wracają ze szpitala. mówię, że odwiedził mnie pan, był na ścianie, i że się nie bałam. *dziadek* przyszedł się z tobą pożegnać, mówi niewierzący ojciec komunisty. umarł na ich rękach chwilę wcześniej. jako dorosła zrozumiałam, że to spotkanie kończy moje dzieciństwo.

w 1942 roku, tym samym, w którym urodził się ojciec, z otwocka wywożą do treblinki połowę mieszkańców, *cały otwock wywieziono – pisze calek perechodnik w spowiedzi. dziejach rodziny żydowskiej podczas okupacji hitlerowskiej w polsce – wchodzimy, mieszkanie wieje pustką, tylko ze ścian patrzą uśmiechnięte twarze (...), oczywiście to są tylko fotografie. odwracamy głowy, nie chcemy widzieć.*

na fotografii z dziadkiem siedzę na jego kolanach, on w kraciastej koszuli opiera się łokciem o stół, pochyla nade mną, ja zadzieram głowę, wpatruję się psimi oczyma. dziadek ma żylaste przedramiona, długie palce powykęcane reumatyzmem. na drugim zdjęciu ten sam stół z herbatą w szklance w metalowym koszyczku, cukierniczka z łyżeczką, popielniczka z popiołem, my twarzami do aparatu. ja utulona w jego objęciach. i trzecie, ostatnie (kolorowe!), przed blokiem, ławka, słońce, otwockie sosny, ja między ojcem a dziadkiem, obok siostra z matką, ciotka, mrużę oczy.

pustka, którą można wypełnić obrazami, ceremonią codziennych wypraw do biblioteki, słowa stają się narzędziem do wypowiedania, ale są to słowa zapożyczone, książki, dzięki którym dorastam.

*jesteś z sokołowskich, jesteś córką swego ojca, ciotka przestrzega mnie przed przedwczesną śmiercią.*

ojciec umiera 23 czerwca 1984 roku, w dzień ojca. trudno o bardziej ironiczny komentarz do mojej modlitwy. ojciec wspaniałomyślnie obdarowuje mnie prezentem na całe życie, wolnością od siebie, wyraźnie odczuwalną nieobecnością. czy tylko o prezent chodzi?

pamięć przenosi realność w czas przeszły, ojciec umierający co roku w swoje święto, tak żebym nigdy o nim nie zapomniała (nie znam daty jego urodzin, ale nie da się przecież zapomnieć dnia śmierci). ma 42



lata, wtedy wydaje mi się, że to całe życie, dziś widzę, jak nieznaczną część tego swego życia przeżył.

od tygodni zabieram się do pisania. pojedyncze słowa notuję na brudno, dłuższe wklejam do pliku, niedbale, jedno pod drugim. pozostaję między przymusem pisania a rezygnacją, fantazjuję (pisanie jako czuwanie) o już napisanym, podejmuję niezobowiązujące decyzje co do wyboru osoby (pierwsza) i czasu (teraźniejszy). ciągnie mnie do wzniosłości, język już stworzony chce po swojemu, muszę się mu sprzeciwić, nauczyć dyscypliny w myśleniu, odrzec z ciągoty do metafor, interpretacji, sztuczności, emocjonalności i niedopowiedzeń, wyczyścić pamięć ze zlogów. marzę o tekście, który pomoże mi postawić granice między osobą piszącą (mną) a bohaterem (ojcem). chcę go napisać na zimno, w oparciu o fakty: zapis choroby, świadectwa pracy, zdjęcia, listy (historia człowieka zamknięta w pudełku po butach), plus dane socjologiczne i dzieje otwocka. rozmawiam z osobami, które znały ojca, ale jakoś nie chcą mówić, zasłaniają się niepamięcią. wobec mizerni dowodów mogłabym uwierzyć w materialne nieistnienie ojca i wreszcie odpuścić. to, co wiem na pewno, to że nie chcę gadać o sobie ani o innych (jedyne, co dotychczas, było o innych). myśl, że mam mówić o ojcu, paraliżuje mnie. życie jest sprawą osobistą, tym bardziej śmierć, po co ją opisywać? nie wiem, jak zacząć, bo o *ulotności jako istocie realności, o stwarzaniu słowami śmierci, o testamencie języka jako narzędziu odzyskiwania wolności* i tym podobnym – nie chcę. wraca poczucie zażenowania i smutku.

pisanie masz po ojcu, pewnego dnia rzuca matka. zaczynam pisać.

(...)

# marta sokołowska:

W książce *Po ojcu* badam związek między moim ojcem a literaturą, tą czytaną i pisaną. Interesuje mnie wpływ jego życia (strzępów wiedzy o tym życiu) na podejmowane przeze mnie twórcze tematy: umarłych tragicznych bohaterów domagających się uwiecznienia i upiększenia.

Stawiam pytanie o motywację czerpania z własnego doświadczenia, karmienia się tragizmem i traumami, jakby rzeczywistość i wyobrażenia zawężyły się do jednego bohatera, a słownik ograniczył do pojęć takich, jak: śmierć, samotność, rozpacz, radykalizm, obcość, cień, opętanie, wina.

Chcę podjąć temat wiary w moc słowa, które staje się ciałem – martwym ciałem ojca – i sprawdzić, na ile magiczne myślenie, z którego większość ludzi wyra-  
sta, u mnie jest nieświadomym źródłem inspiracji.

Traktuję swoje doświadczenie i zainteresowania artystyczne jako jedyny dowód istnienia mojego ojca. Czynię z nich nie tylko dziedzictwo po ojcu, ale też po kulturze. Sprawdzam, na ile mój ojciec jest reprezentacją ojców, figurą powojennego mężczyzny, którego polska historia ograbiła z szansy na szczęśliwe życie, choć pomogła w społecznym i ekonomicznym awansie.

# Gwałt na pamięci

## Prolog

Na kilkadziesiąt dni i kilkaset godzin przed śmiercią zapomniałaś wszystko. Był nawet taki czas, kiedy na myśl o tym pękało mi serce. Jak miałam się pogodzić z myślą, że zniknęła cała twoja przeszłość? Wymazana długopisem z magiczną końcówką. Jak to tak? Czym byłaś bez bagażu dźwiganego niemalże przez czterdzieści lat? Kim byłaś? Jak to jest być człowiekiem, który zapomniał? Jest kimś czy czymś?

Nienawidzę cmentarzy. Mimo że mieszkasz tu od tylu lat, dalej ciężko mi trafić pod właściwy adres. Kwaterę.

Błądzą. Wszyscy inni wydają się być tu bardziej na miejscu. I odwiedzani. I odwiedzający. Nie wiem, którzy bardziej.

Błądziłam. Trafiłam. Jestem.

Nie mam znicza, bo zupełnie nie wierzę w to, że będzie ci od niego ciepło. Albo chociaż cieplej. Kwiatów też nie mam. No, chyba że liczą się zwiędłe gałązki spadające z drzew. Jest ich całe mnóstwo. Tworzą na granicy coś na kształt koldry. Przygnębiający widok. Można pomyśleć, że do martwego ciągnie tylko martwe.

Zniczy jest kilka. Starych. Wypalone wkłady zdają się krzyczeć, że było, minęło. Życia już z tego nie będzie. Wokół grobu rosną chwasty. Boże, ile ich jest. Może powinnam je wyplewić? Włożyć rękawiczki, kupić grabki i rwać, póki nie znikną? Wśród chaszczki pląta się kilka samotnych dmuchawców. Takich dmuchawców bez dmuchawców. Może było tu jakieś dziecko? Wydmuchiwało z płuc powietrze i puszczało ten puch w szeroki świat? Pewnie tak. Zostały same łóżki. Trupy dmuchawca. Pasują do tego miejsca.

Jest jeszcze stroik z gwiazdkami. Ktoś go tu przyniósł w grudniu i kurwa nie zabrał. A już dawno po Wielkanocy.

Dobrze, że chociaż nie ma zdjęcia. Bo kto by je wybrał? Tę fotografię jeszcze żywej nieboszczki. Jak niby powinno wyglądać zdjęcie matki, która odeszła pozbawiona pamięci? Może jest jakiś specjalny efekt w Photoshopie? Retro? Trochę mgły? Zamazany obraz? Sama nie wiem.

Sporo ludzi na tym cmentarzu. Zastanawiam się, czy jest tak zawsze, czy to tylko dzisiaj. I nie wiem. Rzadko tu bywam. Jak jest rzadziej niż rzadko? Prawie nigdy? Tak. Prawie nigdy tu nie bywam.

Ci ludzie odwiedzają matki. Zaopiekowane matki. Opłakane matki. Matki, którym udało się nie zapomnieć. Matki, których nie zapomniano.

I niech mi ktoś powie, komu w tej sytuacji jest łatwiej. I co w ogóle znaczy łatwiej. W końcu cały czas mowa o trupie. Truchle. Szczątkach. Niebycie.

O tobie, Matko.

## **Rozdział 1**

*Piętnaście lat wcześniej.*

Wsunął się pod kołdrę dokładnie w chwili, gdy Staszek z dołu włączył kosiarkę.

– Pokażę ci, jak to robią dorośli – wwiercał się we mnie tym rodzajem spojrzenia, którego zawsze już będę szukała u mężczyzn.

Przylgnęłam prawym bokiem do zimnej ściany. Zesztywniałam.

Włożył mi dłonie pod pachy i szybkim ruchem podsadził kościaste ciało na wysokość pępka. Teraz siedziałam okrakiem na jego brzuchu. Tyłem do niego. Przodem do wspomnień.

Kiedy wsuwał mi dłoń pod gumkę spranych spodni od piżamy, przez uchylone okno wpadały płatki kurzu. Wirowały w tańcu. Obserwowałam ich pląs w plamach słońca. Powietrze w pokoju

wypełniło się zapachem świeżo skoszonej trawy.

– Nie chcę być dorosła – wyszeptałam.

Tylko się zaśmiał, dziwnie jakoś, chrapliwie. Rozpiął rozporek, przykrył moją małą dłoń swoją wielką dłonią i objął nimi nabrzmiałego członka. Góra, dół.

Zamknęłam oczy.

Znowu byliśmy na leśnej dróżce. Pedaluję co sił, już ja mu pokażę, że utrzymam równowagę i pojedę sama. Dam radę. Oglądam się niepewnie przez lewe ramię, on został w tyle, unosi kciuk w powietrzu, patyk do nauki gdzieś zniknął, a ja jadę, pchana już tylko przez wiatr.

On się śmieje. Ja też. Głośno.

Albo nad rzeką, gdy mordowaliśmy dżdżownice. Drgały w konwulsjach, nabijane na haczyk i tylko ryb nigdy z tego nie było. Za to zabawa była przednia.

Przez moją głowę wartko płyną wspomnienia. Jedno za drugim. Mogę być wszędzie, byle nie tu.

Otwieram oczy dopiero, gdy gorąco zalewa moją dłoń i wtedy sama już nie wiem, czy to lzy płynące małym strumieniem, czy może to ta dorosłość jest taka lepka i ciepła.

Wyszedł. Tak po prostu. Zdjął mnie z kolan jak szmacianą lalkę i wstał. Czekałam, aż coś powie. Że jest mu przykro, źle, że to raz tylko i już nigdy więcej. Patrzyłam mu w oczy jak małe dziecko po pierwszym klapsie. Za co? Pytałam niemo. A on nic. Wsunął bokserki, dzinsy i już. Po wszystkim.

Kładę się na łóżku na wznak i wpatruję w święty obrazek. Wisi wysoko na ścianie po mojej prawej. Właściwie to obraz, Maryja z Jezuskiem na rękach. Babcia kazała powiesić nad łóżkiem, to strzeże od złego, powtarzała ojcu tak często, że w końcu postukał w ścianę młotkiem. Zamówiła go na pierwszą komunię od Francka, piwniczańskiego artysty i kiedy inne starsze panie kupowały

wnucom składaki, Hela taszczyła pod pachą ikonę. Staralam się wieczorami przed nią modlić. Do teraz działało.

Czuję, że marznę. Dziwne, do pokoju wciąż zagląda wczesnomajowe słońce. Sięgam po szlafrok i otulam nim kościste ramiona. Staję na łóżku i zdejmuję z haczyka obraz, odwracam Maryję twarzą do ściany. Skoro ta niby święta przestała mnie widzieć, to ja też już na nią nie spojrzę.

Kosiarka zamilkła. Maryja zniknęła.

Ktoś uchyla drzwi i wchodzi.

– Co ty Ewunia? Śpisz o tej porze? Dlaczego jesteś w łóżku? – pyta mama, błyskawicznie przybierając troskliwą minę. Siada na brzegu łóżka i gładzi mnie po rozgrzanym policzku.

– Masz ciepłą głowę – oznajmia fakt dla mnie oczywisty, a ja cieszę się, że nie dostrzega reszty mnie, tej która jest zimna jak lód.

– Nie czuję się najlepiej – szepczę.

Wiem, że moje ciało trawione gorączką to tylko wrzask konającej duszy. Może tak właśnie krzyczy, gdy łapie ostatni oddech. Patrzę na matkę, modląc się w duchu, by usłyszała cały mój ból, bez konieczności ubierania go w słowa. No bo jak to powiedzieć? Jak to zdradzić rodzicielce, która zawsze, od zawsze, wszystko dla mnie, całą siebie dawała na tacy? Dzieliła bezinteresowną miłość. Tyle dla Ewy, tyle dla Maćka, tyle dla ojca. Każdemu po równo. I właśnie wtedy, gdy mama próbowała mnie uleczyć już samym spojrzeniem pełnym miłości i łagodności, postanowiłam nic nie mówić. Schować obraz nagiego mężczyzny i smród dorosłości gdzieś bardzo głęboko i więcej tam nie sięgać. Nie powiem mamie, że jej mąż zrobił ze mną to samo, co robi z nią.

– Zaparzę ci ziółek.

Mama wstaje. Ma nową misję, a u nas w domu zioła są na wszystko. Może są takie, które wypiję duszkiem i odrośnie mi to wszystko, co stanowiło mnie jeszcze wczoraj? To pytanie zawisło w powietrzu. Maryja wciąż milczała.

## Rozdział 2

No więc jedziemy. Ja. Mój brat idiota. Mama. I ojciec oczywiście. Pasażerskim do stolicy, z przesiadką w Krakowie. Za darmo, jak na kolejarzy i kolejowe dzieci przystało. Do teraz nawet lubiłam pociągi.

Wczasy nad polskim morzem zawsze były udane, mimo śmierzących peronów na starych dworcach. Ciasnota przedziału sprzyjała integracji. Byliśmy razem i tylko to się liczyło. Konieczność brania prysznic w łazience, do której nawet żule bali się zaglądać, schodziła na dalszy plan. Na nocne sikanie chodziłam z kieszonkową latarką. Kucałam za wagonem. To było w dobrych czasach.

Wiem, że już przestałam się lubić z pociągiem. Czas się dłuży i żadne z nas nie wie, jak się zachować. Gdyby ból mógł zmieścić się w szczelnie zamkniętym przedziale, umarlibyśmy w męczarniach od oddychania tym samym powietrzem.

Maciek odkąd wsiadł, praktycznie wcale się nie rusza, słucha na słuchawkach muzyki z walkmana, wpatrując się tępo w krajobraz za oknem. Raz tylko zmienił kasetę na drugą stronę. Równie dobrze mogłoby go tu nie być.

Ojciec wystukuje nerwowy rytm kolanem. Pewnie chciałby już napić się piwa. Założę się, że w Krakowie oddali się od nas pod byle pretekstem i kupi sobie zapas. Będzie chodził na papierosa i wlewał w siebie kolejne puszki. Tatra mocna. A jakże.

Mama znosi to najgorzej. Regularnie sprawdza, czy czegoś nie potrzebuję i dopiero, gdy na nią warczę, że nie jestem dzieckiem specjalnej troski, daje mi spokój. Ledwo się powstrzymuje przed płaczem. Naprawdę mi jej żal. Chyba nawet myślę, że ona w tej całej sytuacji ucierpiała najbardziej. Stara się jakoś trzymać, ale w oczach, w których niedawno mieściła całą miłość tego świata, widzę teraz tylko pustkę. Nawet na twarzy się postarzała o dobrych kilka lat. Wsiadamy na stacji Warszawa Centralna.

Sporo o stolicy słyszałam w szkole. Znam legendę o Syrence,

wiem, że to tu stoją najwyższe wieżowce. Nigdy jednak bym nie wpadła na to, że moja pierwsza wizyta w tym mieście będzie miała taki cel.

Błądzimy po dworcowych podziemiach, mijając spieszących się ludzi i żebraków, którzy mają czas na wszystko. Wynurzamy się na powierzchnię. Światło aż razi po oczach. Tutaj też dotarła wiosna. Słońce potrafi sprawić, że świat nabiera kolorów, a ludzie wydają się lepsi. Boże, jak my bardzo tu nie pasujemy. Sama nasza obecność zatruwa moją ulubioną porę roku.

Może to już tak będzie. Wszystko, co kiedyś kochałam, wrzucę do worka wypełnionego nienawiścią, zawiążę sznurkiem i tak posplątam, że nawet magik nie zdoła go rozwiązać. Na przystanku autobusowym tłoczy się mnóstwo ludzi, nie przywykłam do takiego ścisku. Wsiadamy do żółtego z numerem dwieście sześćdziesiąt dziewięć. U mnie w mieście jest tylko czterdzieści jeden linii, a i tak żadna nie kursuje na czas. Wciskam się między chłopaka z krokiem w kolanach i staruszką o lasce. Śmierdzą. Nie wiem, który bardziej. A może to jednak ja, bo mimo pozornego luzu, cała aż pocę się ze strachu. Marzę o tym, by już mieć to za sobą.

Wleczemy się czterdzieści minut, chłopak w szerokich spodniach wysiadł kilka przystanków wcześniej, a jego miejsce zajął mój brat. Niby patrzy przez okno, ale widzę, że co jakiś czas obrzuca mnie wrogim spojrzeniem. Naprawdę myśli, że chcę tu być? Że się o to prosiłam?

Wysiadamy pod Centrum Zdrowia Dziecka. Mimo że żadne z nas nie jest dzieckiem, przekraczamy próg budynku. Dopiero teraz zastanawiam się nad sensem jazdy przez pół kraju. Czy w Nowym Sączu nie ma lekarzy? Kilka długich godzin tylko po to, by kolejne spędzić w tym dziwnym miejscu.

Wchodzimy do gabinetu, a mama tak mocno ściska mnie za rękę, jakby chciała pogruchotać mi kostki.

– Na pewno nie chcesz, żebym została? – w głosie ma tak doj-



mujący smutek, że jak szybko nie wyjdzie, to chyba ją przytulę, mimo że przytulać już nigdy, nikogo nie chcę.

– Nie.

Odwracam się i podchodzę do lekarki z wysoko podniesioną głową. Jest wysoka i szczupła. Uśmiechnięta. W innych okolicznościach grałabym z nią w ping-ponga na uśmiechy. Teraz zaciśkam mocno szczęki i zupełnie ją ignoruję, kiedy wskazuje mi dłońią krzesło. Postoję.

– Byłaś już badana ginekologicznie? – nawet głos ma miękki jak koc.

– Nigdy. Nie dostałam jeszcze okresu.

– Miesiączka często występuje w twoim wieku – tłumaczy, choć nie ma to żadnego związku z wizytą. Może musi paplać, zapełniając czymś ewentualną ciszę. Spoko. Niech gada. Dopóki mnie w to nie wciąga, jest ok.

– Przejdziemy na fotel. Rozbierz się, proszę, od pasa w dół.

Maszeruję za kotarę przysięgając sobie w duchu, że to ostatni raz w moim życiu, w którym wystawiam swoją intymność na widok publiczny. Zdejmuję majtki, mnę w kulkę i wpycham do plecaka, to samo robię z rajtkami. Dobrze, że mam sukienkę do kolan, tylko to sprawia, że wychodzę zza tego żalostnego parawanu i podchodzę do fotela.

Staję na stopniu i podciągam się w górę, nie wychodzi mi to chyba najzgrabniej, bo lekarka raz za razem rzuca komendy „niżej”, „wyżej”, „troszkę w bok”. Wykonuję polecenia jak tresowana małpka. W końcu opieram głowę na zagłówku. Leżę już w dobrej pozycji, choć dobrze wcale mi nie jest. Fotel jest wielki i zimny.

– Spróbuj się zrelaksować, badanie jest praktycznie bezbolesne – mówi ona, delikatnie głaszcząc mnie po ręce.

Śmieszna jest. Zrelaksować się od dawna nie potrafię. Nawet ciało mam napięte jak struna i tylko czekam, z której strony zaatakuje ktoś, kto wydrze mi siłą kolejny kawałek godności. Zamykam oczy. Doktorka ciągle coś mówi, wsuwa we mnie zimne

przedmioty, a ja jej na to pozwalam, bo ciałem jestem już gdzie indziej. Nie uczestniczę w tym wszystkim.

Nauczyłam się znikać. Oddalać w miejsca, w których nie da się czuć. Tam teraz jestem i patrzę z boku na to niby dziecko, niby młodą kobietę przeżywającą niechciany rytuał przejścia. Jest tak mała, że zdaje się wnikać w skórzany fotel. Stopy w rzemie- niach wyglądają jak macki. Zaraz ją oplotą i zassą. Może zabiją, uduszą, cokolwiek, co sprawi, że już do niej nie wrócę. Nie chcę nią być. Życ jej życiem też nie chcę.

Tylko jak mam to zrobić, skoro ona to ja?

– Możesz się już ubrać i wyjść do poczekalni. Chciałabym chwilę porozmawiać z twoją mamą – mówi lekarka, zachowując przy tym tak neutralny wyraz twarzy, że nie jestem w stanie z niej wy- czytać tego, do jakich doszła wniosków. Właściwie to nie muszę wiedzieć.

Wychodzę. Mijam się z mamą i siadam oddalona kilka krzeseł od ojca. Maciek podobnie. Wzruszający widok. Rodzina, która tylko zachowując od siebie bezpieczny dystans, może przebywać w jednym pomieszczeniu. Na odległość kija nie podchodzi. Każ- de z nas udaje, że jest czymś zajęte. Żadne z nas się nie odzywa.

Trochę żałuję, że nie mam mocy przenikania przez ściany. Mo- głabym coś podsłuchać. Może byłoby mi trochę łatwiej, przecież od nadmiaru wiedzy nikt jeszcze nie umarł.

Mama wychodzi i choć bardzo się stara nie płakać, widzę, że to właśnie tym zajmowała się przez ostatnie kilkanaście minut. Se- rio? Ja nie uroniłam jednej łzy. Dlaczego ona nie może?

Podchodzi do mnie, ściska moją dłoń znowu za mocno, woła Maćka i kieruje nas w głąb korytarza. Kątem oka widzę, że oj- ciec też wstaje, idzie za nami, nie, właściwie to powłóczy nogami. I znowu nie wiem, co czuję. Czy więcej we mnie złości, czy jed- nak żalu? Ojciec wygląda jak zbity pies. Nie, to nie to. Muszę się pogodzić z tym, że nikt w tej rodzinie nie udaje tak dobrze jak ja.

– Musimy zjechać na pierwsze piętro – oznajmia mama, prze- puszczając starszą panią w drzwiach windy.

Wpatrując się w swoje stopy, chcę już tylko się stąd wydostać. Winda wymusza fizyczną bliskość, a tego to my już nie mamy w zwyczaju. Na ratunek rusza staruszka.

– Jakie piękne dzieci – zwraca się do mnie i Maćka, obdarzając nas uśmiechem wypełnionym resztkami użębienia. – Ty, chłopcze, cały jak mama, a ty, słoneczko, piękna po tatusiu.

Zmienia obiekt zainteresowania, szczerząc się teraz do ojca. On znowu nic. Stoi jak mumia.

– Koleżanki zawsze mi mówiły, że z taty jest przystojny gość. Ma pani rację – rzucam w tej samej chwili, w której winda dociera na miejsce. Pierwsza wypadam na korytarz i łapczywie zaciągam się powietrzem.

Oddychaj. Głęboko. Raz za razem. Nie zapominaj o oddychaniu.

Siadamy pod gabinetem psychologa. Zamiast białych ścian otacza nas wielka, pastelowa tęcza. Dziesiątki rysunków namalowanych niezgrabną dziecięcą rączką, które mogą wzbudzić zachwyt tylko w rodzicach, którzy widzą sztukę tam, gdzie reszta świata dostrzega jedynie kleksy i plamy.

Znowu czekamy. Maciek poszedł do automatu po gorącą czekoladę, mama wpatruje się w przestrzeń zaczerwienionymi oczami, a ojciec po prostu jest, niemalże przyklejony do ściany. Schudł przez ostatnie miesiące. Zmizerniał. Jakiś ciężar osiadł mu na barkach i ciągnie go do ziemi. Mam wrażenie, że się poddaje. A może już się poddał?

Zza drzwi gabinetu wylania się kobieta w średnim wieku. Błada i zupełnie pozbawiona makijażu. Wygląda na wykończoną. Zastanawiam się z iloma wariatami dziennie ma do czynienia. Wnosząc po wyglądzie, muszą ich być tysiące.

Otwiera szeroko drzwi i zachęcającym gestem zaprasza do środka. Świadomość tego, że to już ostatni punkt programu wizyty w stolicy, sprawia, że dźwigam się z miejsca.

Gabinet jest równie przesłodzony co korytarz. Siadam przy niskim stoliku na kolorowym, miękkim pufie. Wiem, że mowa mo-

jego ciała wyraża totalną obojętność.

Tak trzymaj.

– Narysuj proszę swoją rodzinę – mówi, przesuając w moją stronę podniszczone kredki.

Nie wierzę. Mam dwanaście lat i będę malować obrazek. Jak dziecko. Zupełnie ją ignorując, wysypuję z pudełka tylko kolorowe kredki. Mam talent, więc wykorzystam go dobrze.

Zaczynam od mamy, po jej lewej rysuję Maćka, po prawej siebie. Na naszych ramionach spoczywają matczyne dłonie. Jest jak łąbędź, partnera na życie wybiera raz i nie odstępuje na krok swoich piskląt. Uśmiechamy się na pierwszym planie.

Sięgam po czarny. Ojciec jest mały, brzydki i gdzieś całkiem z tyłu. Nieistotny. Oddaję kartkę.

– Dlaczego tata tak bardzo się od was różni? – pyta psycholożka.

Wwierca się we mnie spojrzeniem spod przymrużonych oczu. Parskam śmiechem tylko w środku.

– Zrobiłam tylko to, czego się ode mnie oczekuje. Nic więcej.

Wstaję z pufa i wracam do pastelowej tęczy. Niech sobie myślą, że udało im się mnie rozpracować. Niech myślą.

# Sylwia Iwańska:

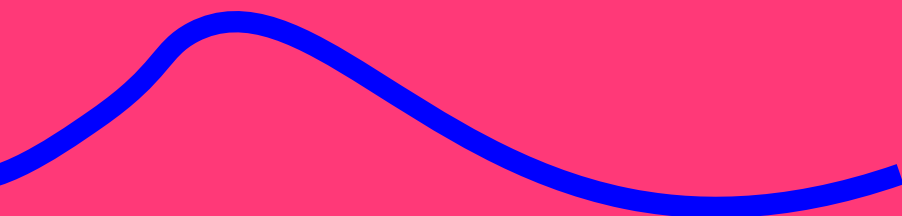
Nowy Sącz, wiosna 2003 roku. Nastoletnia Ewa wybiera się z matką do szpitala. „Tatuś kona, ale można się z nim pożegnać” – te niewinne słowa wypowiedziane przez pielęgniarkę sprawiają, że życie dziewczyny zupełnie zmienia bieg. Gasnący ojcowski oddech staje się początkiem końca matki.

Ewa i jej matka Małgorzata. Dwie kobiety żegnające mężczyznę, którego kochały mimo wszystko. Mierzą się z poczuciem ogromnej straty, ale na dwa różne sposoby.

Matka zapada się coraz głębiej w odmętach niepamięci. Córka zatapia się w poczuciu winy, bo nie zdołała wybaczyć. Życiowe role kobiet odwracają się z dnia na dzień. Dla obu zbyt szybko.

Alzheimer otula Małgorzatę niczym ciepły koc, który kobieta przyjmuje z wdzięcznością. Ostatnie lata jej życia okazują się najlepszymi. Ale jak to tak? Mówić tylko dobrze o mężu pedofilu? Wymazać ogrom tragedii, która spotkała córkę, a w ich miejsce powkładać fałszywe wspomnienia? Wybiórczy reset pamięci to stan, którego Ewa nie potrafi zaakceptować.

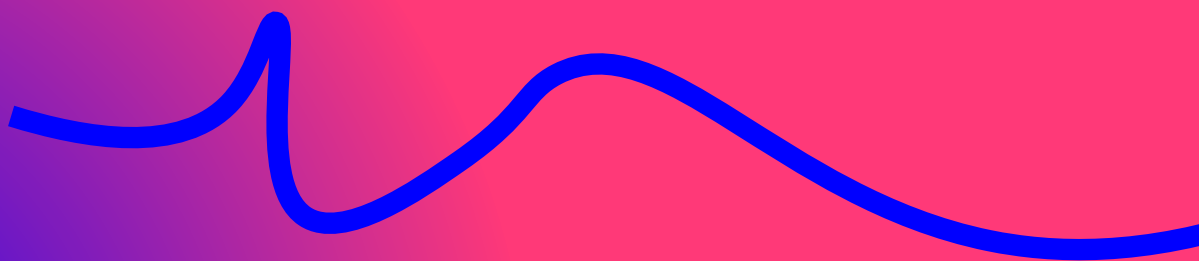
Dziewczyna wchodzi na szlak wiodący prosto w ramiona autodestrukcji. Poczucia wartości szuka w perwersyjnym seksie, nieświadomie odtwarzając



sytuacje, których doświadczała jako dziecko. Zapomnienie odnajduje w oparach alkoholu i ciągle zmieniających się męskich ciałach. Do czasu, gdy na jej drodze staje Adam, mężczyzna tylko z imienia podobny do ojca. Dorosła już kobieta uczy się od podstaw języka miłości.

„Gwałt na pamięci” to historia o tym, że życiowych puzzli nie da się posklejać klejem do papieru. O pozornie szczelnie zamkniętych traumach, które uderzają znieścaka i potrafią rozszarpać złożony obraz na miliony niedających się już poskładać kawałków. To wreszcie rzecz o wybaczeniu tego, co niewybaczalne i umiejętności zapominania o tym, czego pamięć nie zdoła udźwignąć.

Inspirowana życiem autorki opowieść niesie jednak nadzieję. Dowodzi, że największe życiowe tragedie można przetrwać i żyć. Mimo że wychodzimy z nich poturbowani, a ich echo niesie się w oddali przez resztę naszych dni. Można walczyć i wygrać. Nawet jeśli w swoim mniemaniu nie zasługujemy na nic dobrego.



# Między piętami

## [PROLOG]

Są sny, które nie kończą się w suchej pościeli. Zostaje po nich mokra plama w kształcie skulonego człowieka, a na poduszce zaschnięte łzy. Są sny, po których pościel pachnie rano bardziej zmysłowo, niż poprzedniego wieczoru. Kładziemy się w niej bezwonną, ale pod wpływem przyjemnych doznań budzimy się otuleni słodkim oczekiwaniem tego, co ma się dopełnić w rzeczywistości. Na pewno są noce, kiedy nie śnimy o niczym. Z pustką w głowie wstajemy tuż przed budzikiem. Jeszcze przed śniadaniem o pustce zapominamy.

    Za każdym razem c i a ł o chce wierzyć, że w czystej pościeli wszystko zaczyna się niejako od nowa. Sny będą piękne, kolejny dzień będzie lepszy.

Jej mokre włosy odsączały się na idealnie wygładzonej poduszce. Rozczesane, uszczuplone o kilka pukli, spryskane od nasady aż po końce odżywką. Ona zaś pachnąca pomarańczami i goździkami, zakonserwowana balsamem mamy, leżała na lewym boku i przemawiała czule do swojej aorty. Mówiła do niej same przyjemne frazesy. Mówiła, bo wtedy było jej cieplej. Choć wyszła z gorącej kąpieli i od razu założyła ciepłą piżamę, drżała pod kołdrą.

Na szafce tuż obok łóżka leżały mały notes i długopis. Dwie dopasowane do siebie rzeczy z rudego kompletu czekały odbezpieczone na znak właścicielki. Na wymyśloną liczbę po tysiącu liczoną normalnie i wspaniale. Na wróżby i przepowiednie, które nie pojawiały się na dnie kubka mleka z masłem, melisy albo rumianku. Te nawet dopite do końca pozostawiały ją jedynie z pełnym pęcherzem, po którego opróżnieniu nie śniła o niczym.

Sny nie przychodziły.

Próbowała je do siebie przywołać. Powtarzała, że chce. Mówiła to głośniej, a potem ciszej, na zewnątrz i w głąb siebie. Mówiła o tym w trzech osobach, w tu i teraz, pięć razy dla każdej. Trzy razy dziennie.

Być może powinna zdecydować się na jedną metodę. Wybrać tę dominującą i powtarzać ją systematycznie. Raz, potem drugi, a w końcu świat, w którym Wera utknęła, stałby się powtarzalnym światem, w który Małgosia mogłaby się łatwo zanurzyć. Światem bez kształtu, bez ostrych krawędzi. Pozbawionym elektryczności i ścian pokrytych azbestem. Otwartym, z którego można by uciec. Światem szybkiej wymiany słów bez konieczności ich wypowiedzenia. Nieskończonym płótnem lat, które miały dopiero nadejść.

Wtedy mogłaby żyć trochę bardziej tam, niż tutaj.

Tylko o tym myślała przed snem.

[FRAGMENTY]

Wera powiedziała w poprzednim życiu, że jak Małgosia połknie pestkę arbuza, to urośnie jej w brzuchu arbuz. Jadły wtedy razem soczysty owoc, a sok kapał prosto na program telewizyjny. Na programie odbite były już poślinione przez mamę łupiny słonecznika. Małgosia wpatrywała się w plamy na rozkładówce filmu z Jeanem-Claude'em Van Damme'em.

Od tego momentu nigdy nie zjadła ani jednej pestki arbuza. Podejrzewała co prawda, że Wera to wymyśliła, ale w każdym, choćby najgłupszym powiedzeniu, mogło być ziarno, mała pesteczka, prawdy. A wtedy już po niej. Wierzyła w to, dlatego dbała, by niechciane w niej nie urosło. By nie sprowadzić nikogo na świat wbrew sobie.

Przekonanie, że właśnie tak miała zrobić, że tak być powinno, wróciło do niej podczas pięciu minut, które zgodnie z instrukcją testu powinna odczekać. Nie były one ani krótsze, ani dłuższe niż zawsze. Były trzystoma sekundami obrzydzenia do samej siebie, na które nie mogła przymrużyć oka, bo bolały ją obydwie na raz. Sześć palców wbiła przed chwilą w dwie ozdobione fioletowym cieniem powieki, a ciemne smugi wtarła w jasne jeansy z dwoma dziurami na prawym kolanie.



Kolano z brokatowym sińcem zaczęło dzielić drżeniem każdą następną sekundę na pół. To długie, bezlitosne sekundy, które przypominały jej o tym, jak mogła być taka głupiutka.

– Nie bądź głupiutka – wyszeptał jej Jarek, gdy sięgnęła po prezerwatywę.

– To jak to zrobimy? Bo chyba nie bez?

– Wyciągnę.

Wyciągnę. Jedno słowo, które samo stanowi o wszystkim. Pewne klepnięcie po plecach. Pasy zapięte. Zielone światło i gaz do dechy. Kolejne biegi wciśnięte, wszystko, co szarpie i boli, już za nią. Wszystko, co miało dać jej przyjemność ogromną, największą, jaką zaznała.

Jeszcze zanim zaczęła być mokra, on skończył.

Nie zdążył go nawet wyciągnąć.

\*\*\*

Już po podaniu przez kelnera ciepłych bułeczek i pasty z suszonych pomidorów przestała słuchać tego, co mówił Jarek. Bułki były posypane sezamem, a pasta śliniła się do niej oliwą. Spod warstwy tłuszczu, która zaczęła się oddzielać od reszty, zerknęła na nią dwie pomidorowe rodzynki.

– Co minie?

On na to, że czas, kiedy jej nie ma.

– Jestem tu cały czas. Tutaj, gdzie mnie zostawiłeś.

Jarek porusza ustami, ale Małgosia nie przełyka śliny, by go usłyszeć. Jego głowa kręci się w prawo, w lewo, ręce szybują ponad talerze i rozsypany sezam. W końcu zaczynają przysłaniać światło wiszących lamp. Resztki jasności odbijają się w tłustej oliwie.

Po każdym zdaniu ten sam stempelek, ta sama spacja.

Małgosia rozpoznaje ją po tym, że jego zęby zahaczają o dolną

wargę na końcu zdania. Koniec zdania następuje zaś po kolejnym wyrzucie rąk. Kiedy on patrzy w bok i zawiesza wzrok na wiszącym posłusznie obrusie, ona przegląda się w tłuszczu pasty i dopiero wtedy przelyka ślinę.

– Skąd wiesz, że wciąż o niej myślę?

Słyszy przez sen. Bez przerwy. To imię go budzi, kiedy on tu, a ona znów tam. On czeka, aż ona wróci do niego, taka cała, taka sama jak wtedy, gdy się poznali.

Bo czy źle jej z nim? Czemu wciąż o niej, czemu tak bardzo za nią? Dlaczego nie jemu?, pyta i nerwowo rozdrapuje wargę paznokciem kciuka.

Krew zatrzymuje się jednak i nie wypływa na wierzch.

\*\*\*

(...) kiedy wstaje, a wszystko, co wyśni poprzedniej nocy, wylatuje jej z rąk albo ucieka, jak tramwaj, na który nie umie zdążyć. Biegnie za wspomnieniem tego, co śniła, ale obraz oddala się od niej. W końcu zupełnie znika.

Przebudza się sama.

Przez siedem i pół minuty nie otwiera oczu. Liczy, że jeśli tylko się skupi, zobaczy to, czym żyła przed chwilą. Jeśli nie, kolejne trzynaście godzin, pięćdziesiąt dwie minuty i trzydzieści sekund będą musiały minąć, by znów mogła zasnąć.

Dotyka palcami paneli. Musi nimi co chwilę poruszyć, by nie zdrętwiała jej ręka. Paznokciami wystukuje rytm podobny temu, którym rozbrzmiewa zegar nad drzwiami. W innym pokoju, dwa światy dalej, dziecko śpi, czym wyznacza jej porę dnia. To, że Jarka nie ma w ich galaktyce, wyznacza jej dzień tygodnia. Ona sama zaś jest dla siebie wszechświatem.

Pustym sitem, przez które przelatują odłamki czasu.

\*\*\*

*Słuchaj, Małgośka. Najgorszy jest pierwszy tydzień, dwa. Potem już z górki. Dotrzecie się i sobie odpoczniesz. No sama wiesz, jak będzie spał. Te małe, co to dopiero się rodzą, to tylko jedzą i śpią. Może on głodny jest, co? Butlę mu daj i nie ucz, że cycek to smoczek. Nie noś za dużo na rękach, bo przyzwyczai się i wtedy po tobie. Miną kolki, będzie lepiej. Zęby idą, ale jak wyjdą, to będzie po krzyku. Jak dziecko siedzi, to już fajne jest. Twoje już siedzi, co nie? Nie szkodzi, że późno chodzi. To przecież od dziecka zależy, każde jest inne. Jeszcze chwila i twoje pobiegnie, że za nim nie nadążysz. Ty też byłaś taka żywa. Pamiętasz?*

Małgosia stoi na balkonie trzeciego piętra i patrzy na brzoskwińowe róże w pełnym rozkwicie, które sąsiadka z czwartego piętra posadziła rok temu pod balkonami. Jeśli spadnie, to prosto na nie, choćby nie wiadomo jak manewrowała ciałem podczas zaledwie dwusekundowego lotu. Póki stoi na balkonie, pod stopami ma te same kafelki, na których przysiada tuż obok wanny. Obejmuje się nawet tak samo, jak zawsze w łazience, a palce wbija w poduszki na plecach, które zrobiły się w miejscu, gdzie stanik uciska najmocniej. Jej oddech spowalnia, gdy wypuszcza się z ramion i spogląda w dół.

Nie ma tam róż. Jest kilka zmiądzonych pąków, są kolce wbite w jej ciało. Naprzeciw zapewne dwie, trzy osoby, które walczą z firanką, ciemną zasłoną, roletą zaciąganą dzień i noc, w górę i w dół. Chcą zobaczyć ją w ruchu, bezruchu, przeświecić żywopłot. Zamiast tego widzą chudego chłopaka z psem jak przecinek na krótkiej smyczy. Listonosza z dziurawą torbą. Długie sznury, stare kołdry, dziesiątki porozrzucanych skarpet. Trzy rowery. Rudą z drugiego piętra, która nie podlewa kwiatów, tylko wymienia na nowe. Starca z brzuchem i fusy, które przelatują przez barierkę jego balkonu.

Może zdążyłaby zniknąć za żywopłotem. Może nie od razu pojawiłaby się balkonowa eskorta. Wtedy choć raz gapiów mogłyby wyprzedzić sygnały nadjeżdżającej karetki. Nie zmieni to konieczności rozwieszenia prania, bo pralka wypierze dokładnie wtedy, gdy umilkną syreny. Nie wpłynie to na porę wyjścia – równo w południe – na balkon. Wystarczy, jak co dzień, przykleić sobie ścierkę do dłoni i zetrzeć nią niewidzialny brud z nagrzanego słońcem w zenicie poręczy. Niewidzialne paprochy opadną przed sąsiadką dwa piętra niżej i jej najdłużej palony papieros

w życiu.

Karetką, jeden, drugi ratownik, których nie obchodzą róże.

Małgosia sprawdza, jak wysoko musiałyby podnieść nogę, żeby przeskoczyć. W jej krocze wpija się metalowa barierka. Jak ciasno musi uwierać, żeby już wystarczyło. Czy trzeba się przechylić do przodu, czy dopuszczalne jest zrobić to tyłem. Co z taką wariacją jak salto. Pierwsze, jedyne, może nawet nie do końca udane.

Porzuca ten pomysł.

A może porzuca go Wera, która mogłaby stanąć przed nią i powiedzieć, że śmierć wymaga powagi. Nawet tak idiotycznie zaplanowana, naprędce, podczas drzemki własnego dziecka. I że ma się ogarnąć, jeśli chce to zrobić dobrze.

Małgosia nie chciałaby przyznać, że do śmierci trzeba się przygotować. Nie zdążyła jej też dla siebie wymodlić. Wolałaby, żeby tym razem Wera nie miała racji. Mogłaby wtedy na nowo rozważyć sens drobnej próby, na chwilę wyjść z życia i wrócić. Nie do końca się z niego na zawsze usunąć.

Małgosia zamyka oczy tak jak na zdjęciu, które zrobił jej Jarek.

W brzuchu brak dziecka, w dłoniach dwie kredki. Dwa kolorowe kciuki. Sprane ogrodniczki i świeżo ufarbowane włosy. Śmiech do rozpuku. Brak kontroli nad twarzą.

Barierka kłuje ją w prawą pachwinę.

Jeden wdech i widzi siebie w szpitalu.

Skurcze. Fioletowa piłka. Miała siedzieć i się nie ruszać, dopóki nie przyjdzie położna.

Miała przyjść już za chwileczkę, za momencik. Za ścianą wrzask innej rodzącej. Zaciśnięte pięści. Przy każdym skurczu. Próba liczenia. Wrzask kobiety po drugiej stronie. Od nowa. Szybkie spojrzenie na telefon, potarcie palcem i delikatnie uderzenie w ekran. *Abonent jest chwilowo niedostępny. Spróbuj później.*

Pięta oddaje ciężar palcom, oddech zastyga w krtani.

Małgosia spogląda przez mleczne smugi na szybie balkonowego okna, które przed chwilą za sobą domknęła.

Dziecko śpi z rozpiętym pamperssem. Obydwie ręce wyciąga nad głową.

Wygląda jak spocony aniołek.

\*\*\*

– No zaraz, kobieto. Pali się, czy co?

Zapomniał, że już się włączył.

Ostatnim łykiem opróżnił zawartość puszki. Nie zgniótł jej, tylko zostawił pustą na blacie. Kiedy szurał kapciami, zaciskał palce u stóp, żeby nie spadły. Nie spieszył się, bo nie lubił siedzieć jak dureń na krześle i grać w grę, którą wymyśliła Bożena. Udawanie spotkań z udawaną żoną. Za każdym razem dawał w nią wygrać Bożenie, a potem wyłączał laptopa i wracał do kuchni. Żałował, że umówili się na te online piątki. Choć z drugiej strony, lepiej teraz niż za trzy godziny, kiedy nie byłby w stanie się włączyć.

– No co tam Bożenko, serce moje – powiedział na jednym wydechu i poruszył ekranem, by przyjrzeć się jej dokładniej. Bożena zmieniła fryzurę. I kolor szminki. Poza tym wyglądała tak, jakby widziała za laptopem kogoś innego i to na jego obecność właśnie liczyła.

– No cześć, Heniu – zaczęła niepewnie. – Ty posłuchaj. Ja nie chcę między nami zwady ani tego, żebyś ty mi po latach robił problemy. Ty wiesz, że ja cię zawsze kochałam. W sumie nadal Kocham, ale ja już do Polski nie wrócę.

Ani razu nie spojrziała w kamerę.

– Jak to, Bożena, nie wrócisz? A co ze mną?

*To minie, suchości w gardle, klangory w głowie i poty. To minie, myślał, chociaż nie mrugnął ani nawet nie zdążył odetchnąć. A ty umrzyj tu, dziadu, umrzyj sam.* Nie wiedział, czy już to usłyszał, czy stanie się to dopiero za chwilę. Bał się, że ona właśnie to zaraz powie.

– No co, co, co... co ma być? – Bożena uniosła ramiona i długo ich nie opuszczała. Jej twarz zastygła. Najpierw usta, potem

oczy, a potem już cała wyglądała jak odrysowana. Heniek znał to co, co, co. Słyszał to zawsze, jak Bożena zadecydowała, a on nie miał nic do gadania. Jak on inaczej, ale ona nie, więc nieważne.

Poruszył ekranem laptopa. Chciał potrząsnąć Bożeną.

Przetarł twarz wierzchem dłoni, choć żadna łza nie zdążyła jeszcze popłynąć. Siedział tak chwilę i dopiero, gdy połączenie zostało zerwane, klapnął laptopem. Kapsle zostawił pod biurkiem, ale jego palce podczas wędrówki do kuchni pozostały skurczone.

Dopiero w kuchni zrobił to, na co miał ochotę, zanim spotkał się z obcą mu dzisiaj babą.

Ręką rozgarnął rząd puszek i sięgnął po czystą żytnią.

\*\*\*

Heniek stoi przed tym samym blokiem, w którym zamieszkał razem z Bożeną i w którym żyje już bez niej. Może to związek z blokiem wyszedł mu w życiu najbardziej, może dlatego nie wyjechał razem z Bożeną.

Do mieszkania w bloku wnosił maleńką Dorę. Szedł wtedy ostrożnie schodami z zawiniątkiem na rękach i pierwszy raz liczył na głos stopnie. Z mieszkania wychodził do pracy, wciskał guzik przy windzie, winda jechała, a wtedy Dora powiedziała mu pierwszy raz *ta-ta*, a potem *pa-pa*, a potem już nic, bo Bożena zamknęła drzwi. Kilka dni później Bożena pierwszy raz w życiu spaliła kotlety. Smród roznosił się po całym piętrze, a dym podobny był do tego który teraz sączył się z balkonów trzy piętra niżej. Na tym samym balkonie, wysoko w jasnych chmurach bez sadzy, wypili z Bożeną kiedyś cztery piwa na spółkę. Musiał jej wtedy położyć rękę na usta, żeby nie obudziła Dory.

Tak jej było wtedy z nim dobrze.

Bożena rozwieszająca pranie na balkonie. Bożena piekąca sernik bez rodzynek na święta. Bożena smażąca karpia dzień przed Wigilią, który już trzy dni wcześniej pływał w ich wannie. Bożena z opłatkiem w dłoni, szeroka złota obrączka i przycięte nożyczkami paznokcie. *Żebyś ty Henryk zmądrzał, żebyś mnie sza-*

nował i żebyśmy więcej pieniędzy mieli, i miłości nam życzył Heniu. Miłości. Bożena przy pralce, Bożena przy maglownicy, Bożena przy wózku Dory, Bożena przy herbacie z cytryną z czterema łyżeczkami cukru, Bożena i jej brązowe pończochy, Bożena w srebrzystej sukience w sylwestra, Bożena w czarnej sukience z pogrzebu, Bożena płacze, Bożena się śmieje. Bożeny nie ma, ale i tak mówi do niego, ciągle do niego, tonem skrzeczącym, kpiącym i wkurwiającym.

Dora mu mówi na klatce, że dostała robotę, że będzie im lepiej, po czym wchodzi do domu i pokazuje ulotkę z kebabem. Heniek nie wie, co to ten kebab, ale w sumie najada się ulgą, bo tysiąc złotych to cały rachunek spółdzielni i telewizja. Jeszcze na tego kebabu im starczy. Dora przy pralce, Dora sprzedaje znajomej za kilkadziesiąt złotych maglownicę babci, Dora daje mu listę, żeby zrobił zakupy, Dora przy puszcze coli gra z nim w chińczyka, Dora i jej pachnące mokrym psem włosy, Dora się śmieje, bo znowu wygrała, Dora się smuci, kiedy Bożena nie dzwoni.

Heniek patrzy na balkon na dziewiątym piętrze i szepcze sąsiadce z trzeciego do ucha trzy słowa.

\*\*\*

– Siema. Jestem Hubert. A Ty? – napisał, nie patrząc na klawiaturę.

– Esme. Jak myślisz, jakiego koloru mam oczy?

*Że co, kurwa?* Po pierwsze, nie wiedział. Po drugie, nie chciał wiedzieć. Uważał, że chyba raczej chuj go to obchodziło, bo ledwo rozróżniał kolory.

Chciał z kimś pisać, żeby przez chwilę zabić nudę między jedną a drugą rozgrywką w *Losing Light*, co od roku streamował dla kilkunastu tysięcy osób. Ludzie pisali w komentarzach, że sztos, on łapał kolejne suby i mniej więcej od tygodnia zaczął na tym zarabiać. O zarabianiu dużych kwot słyszał od kumpli, ale jemu nikt takich przelewów nie robił. Raz wystarczyło na dużą pizzę. Za reklamę myszki dla graczy dostał myszkę.

Grał sześć dni w tygodniu, w niedzielę odpuszczał i wychodził z pokoju. Wcześniej myślał, że da radę codziennie i kilka razy

nie odpuścił siódmego dnia. Grał wtedy do północy, a w poniedziałek budził się śmierdzący potem, a jego skóra przyjmowała biel prześcieradła. Zanim zdołał się podnieść, długo wbijał twarz w poduszkę, tak że czuł w ustach poszewkę.

Gdyby ktoś go szukał, nigdy by go nie znalazł. Hubert Czarnecki z szóstego piętra stawał się częścią starego tapczanu.

Esmé kolor znaczenie

Około 120 000 wyników (0,44 s).

– Wiem tylko, że mam słabość do zielonych.

Przeczytała.

Użytkownik Esmé000 opuścił czat.

\*\*\*

Powieki zaczęły opadać.

Ten quest będzie ostatnim.

Mały palec dłoni, która ścisnęła myszkę, zdrętwiała tak, że coraz trudniej było nim poruszyć. Skupiał się jednak na tym, żeby nie pozwolić mu skostnieć, bo wtedy jakby mniej słyszał to, co się dzieje za ścianą. Mniej ślizgania się skarpet pomiędzy pokojami, mniej szmeru poprzestawianych rzeczy.

Jak wtedy, kiedy przestawiała jedną rzecz, potem drugą, a potem znowu zamieniała je miejscem. Podobnie z drzwiami: zamykała i otwierała, niecałkowicie, tylko troszeczkę. Potem znowu, na wszelki wypadek. Osobno, a jednak razem liczyli stuknięcia palcem w kurki kuchenki gazowej, w zamki drzwi i wszystkie odłączone od prądu kable. Stukali trzy razy, szeptali w osobnych pokojach *dobrze* i obchód trwał dalej. Gdy przeszli przez wszystkie stacje, a ona zgasiła światło we wszystkich pokojach, obydwój szli spać.

Inaczej niż wtedy, kiedy ostre światło latarki telefonu padało na trzy szybki w drzwiach jego pokoju. Wtedy zakładał słuchawki, dociskał je mocniej do uszu i zniknął.



– Jesteś bezpieczna?

*Słuchawki nigdy jej nie zagłuszają. Przy niej nikt nie był bezpieczny.*

– Otwórz, kochanie. Wiem, że ciągle się na mnie gniewasz.

Hubert wyszedł z ciemności i podszedł do starej wiedźmy, której postać przestała być jedynie złotym krzyżykiem na mapie. Pokonał drogę, która z początku wydawała się znośna, ale z czasem zaczęła mu ciążyć. Dzika świnia, którą wcześniej wykupił u stajennego, zrzuciła go z siebie i pomknęła samotnie przez wioskę.

Wokół zrobiło się ciemno, las ostrzył sobie na niego pazury. Kiedy próbował się w nim rozejrzeć za pomocą postaci, obraz rozmywał się. Namiotu nie było.

– Ola, powtarzam ostatni raz. Otwórz drzwi. T e r a z.

Delikatne pukanie. Stuk, stuk, stuk.

Hubert zjechał myszką na wyposażenie, kliknął nią w cep bojowy. Jego postać chwyciła łańcuch, z którego zwisała czarna kula ze złotymi kolcami.

Hubert odsłonił dwa kły w uśmiechu.

Stuk, stuk, stuk. Duże krople przed prawdziwą ulewą.

Kiedy słyszeć stuk, stuk, stuk, wtedy lepiej otworzyć.

Stuk, stuk

*Ona jej nie odpuści, nie powiedział i grał dalej.*

Wiedźma pojawiła się przy namiocie. Hubert podszedł do niej za pomocą postaci i chwilę później już przewijał dialogi. Klikał do momentu, aż zlecenie pojawiło się po lewej stronie ekranu, a wiedźma znikła.

**W Firewood pojawił się ktoś, kto chciał poznać swoją przyszłość. Przyszedł do wiedźmy i okradł ją z rzeczy magicznych. Wiedźma zna jego tożsamość. Miejmy nadzieję, że i tym razem się nie myli.**

– Oła, otwórz, otwórz, otwórz. Wiem, że nie śpisz. Tylko na chwilę, proszę, otwórz.

T e r a z.

Obrócił postać w stronę ogniska, które paliło się przy namiocie. Gdy kucnął, dostrzegł starca z jasną twarzą, któremu ogień pomagał mędrkować.

– Wiedźma pragnie, aby ten człowiek zniknął.

– Idę po klucz. Chcę, żebyś wiedziała, że idę po klucz i otwieram te pieprzone drzwi.

– Chce, żebyś to ty go zabił. Musi umrzeć, a nie jedynie otrzeć się o śmierć.

Szukała klucza. Nie wiedział, gdzie ostatecznie go położyła, choć był pod ręką.

*Stale przestawiała te same rzeczy, jeszcze chwila i znajdzie.*

– Zabij. Nie zastanawiaj się. Zabij – powiedział do niego starzec.

Hubert wstał z kolan i pobiegł w ciemność. Kilka metrów, kilkanaście dalej

*jak znajdzie, to ją dopadnie, otworzy drzwi i wtedy się z nią policzy*

nadepnął na kilka rzeczy ukrytych w ciemności

znalazła

poszedł dalej

*poszła prosto do jej pokoju*

otworzył drzwi

*otworzyła drzwi,*

ale wcześniej spojrzała mu w oczy. Lampa telefonu świeciła na sufit. On widział jej twarz, która podświetlona lampą telefonu, przypominała mu groteskę taniego horroru. A jednak dreszcze, które go przeszły, były tak silne, że wydały się być wi-

doczne w półmroku. Gęsia skórka wśliznęła się za kołnierz koszulki.

Ona trzymała klamkę w dłoni.

On stał naprzeciwko matki i starca, światło tańczyło na jej twarzy tak samo, jak płomienie na twarzy starca przed chwilą.

– Coeeest?

Lola stanęła w drzwiach i starała się powstrzymać beknięcie.

Była kompletnie pijana.

# Katarzyna Woydyło:

Małgosia, Heniek i Hubert mieszkają na trzech piętrach tego samego bloku. Spotykają się w snach, choć nie wiedzą o sobie nic więcej, niż to na którym piętrze mieszkają. Każde z nich ucieka w świat snu z innego powodu. Wszystkich łączy pożar budynku z przeszłości.

Małgosia z trzeciego piętra posłuchała rad taty, że posiadanie męża jest potrzebne, posłuchała rad męża, że posiadanie dziecka jest dobre. Wstaje z łóżka, by przetrwać dzień nie robiąc krzywdy dziecku i znowu zasypia. Chciałaby uciec, ale nie ma z kim, bo zniknęło jej życie sprzed pożaru. Małgosia staje na balkonie, ale nie skacze. Wtedy coś zaczyna się zmieniać. Sny powracają.

Hubert z szóstego piętra mieszka ze znerwicowaną matką i siostrą. Nie uczy się ani nie pracuje, tylko zamyka się w pokoju i gra. Świat realny miesza się z wirtualnym, demony z gry są demonami rzeczywistości. We śnie Hubert słyszy głos, który snuje opowieść.

Heniek z dziewiątego piętra żyje od szesnastu lat sam, choć w papierach ma żonę, a w mieszkaniu do-

rosłą już córkę. Kiedy żona postanawia nie wracać, utopione w alkoholu pragnienia zaczynają się odzywać we śnie i pozwalają mu odkryć, dlaczego od niego odeszła.

Sny przeprowadzają bohaterów przez kolejne godziny wstecz do pożaru bloku. Wszyscy zbliżają się do nieuchronnego, ale dla każdego z nich ponowne przeżycie pożaru będzie miało nowe skutki.

Czy ludzie, którzy nie zamienili ze sobą dotąd słowa, mogą stać się dla siebie wszystkim, czego potrzebują? Jak różne historie ukryte są za zamkniętymi drzwiami identycznie skrojonych mieszkań? Jak smakuje pożegnanie osoby, którą już raz się utraciło?

# Wygnane dzieci

## [PROLOG]

Ostre światło odbijało się od powierzchni jeziora i raziło w oczy. W pobliskim lesie darły się ptaki. Powietrze miało dusząco słodki zapach.

– Nie mam już siły – stęknął.

Zatrzymała się i kucnęła przed nim. Był ślicznym chłopczykiem.

– Wiesz, co się stanie, jak nas złapią. Chcesz tego?

Miał łzy w oczach.

– Nie. Ale chce mi się pić.

Westchnęła.

– Dobra. Chodź.

Brzeg porastał trzcinami, turzycą i tatarakiem. Woda, która stała pomiędzy trawami, była błotnista i śmierdziała zgnilizną.

– Tutaj nie da rady. Musimy znaleźć lepsze zejście.

Szli jeszcze kilka minut jak najbliżej linii brzegowej, aż w końcu dotarli do małej brunatnej plaży. Zanim zdążyła zareagować, zdjął tenisówki, skarpetki i zapominając o spodniach, wbiegł do wody aż po kolana.

– Brrrr, ale zimna!

Przez chwilę patrzyła, jak pije ze złożonych w łódkę dłoni, a potem przeniosła wzrok na otaczające ich drzewa, trawy i z powrotem na jezioro, które na horyzoncie łączyło się z blado niebieskim niebem.

– Pospiesz się, nie mamy czasu!

Udawał, że nie słyszy. Zaspokoiwszy pragnienie odzyskał humor i teraz bawił się znalezionym w wodzie kijem. Walił nim w taflę jeziora, a wodne rozpryski wzbijały się w górę i rozsypywały wokół niczym szklane kulki, które tak lubił zbierać.

– Właż już! – krzyknęła.

Niechętnie wyszedł z wody, usiadł na ziemi i zaczął wkładać skarpetki, lecz ciężko mu szło.

– Daj, pomogę ci.

Rękawem swojej bluzy starannie wytarła stopę z błota i piachu, a potem naciągnęła skarpetkę.

– Nie kładź nogi na ziemi – poinstruowała i posłusznie trzymał nogę w górze, dopóki nie przyniosła trampka i nie pomogła mu go włożyć. Z drugim butem było jakoś trudniej, jakby nagle przestał pasować, ale w końcu się udało i ruszyli dalej.

Oddalili się od jeziora i weszli w głąb lasu. Po kilkunastu minutach marszu zatrzymał się.

– Boli mnie brzuch – powiedział i z wymiotował żółtą pianą.

Wtedy usłyszała nawoływania.

Wzięła go na ręce i zaczęła biec. Nie protestował, tylko mocno chwycił ją za szyję. Czowała bijące od niego ciepło i mdły zapach z ust. Był od niej dużo mniejszy i lżejszy, ale i tak szybko opadła z sił. W pobliżu dostrzegła powalone drzewo. Podbiegła i zajrzała do środka. Było puste.

– Właż!

– Nie chcę, boję się!

– Tylko na chwilę. Zgubię ich i wrócę po ciebie.

Widziała, że chce mu się płakać, ale kiwnął głową na zgodę i pomogła mu ułożyć się w zmurszałym pniu.

– Zamknij oczy i udawaj, że śpisz.

Pogłaskała go po nodze z czułością.

– Tylko bądź cicho – powiedziała, a potem pobiegła przed siebie.

Gdy po chwili zerknęła przez ramię, dostrzegła ludzi wyłaniających się zza drzew. Ktoś zawołał ją po imieniu.

Przyspieszyła.

## Rozdział pierwszy

### I

Wyschnięta skorupa przypominała sparciałą rękawicę do baseballa.

Przyniosła ją atrakcyjna brunetka, którą w myślach Kaja nazwała mamuszą, oraz jej, na oko dziesięcioletnia, córka.

Mamusza miała na sobie różowo-pomarańczowy płaszcz oversize i brązowe skórzane kozaki. Widać było, że stara się zatrzymać upływający czas, ale jej wiek zdradzała pomarszczona szyja, kompletnie niepasująca do naprężonych niczym kanwa na tamborku policzków. Na prawym nadgarstku pobrzękiwały bransoletki z Pandory. W mowie ciała, w sposobie, w jaki rozglądała się po gabinecie, była pretensja i oburzenie rozczarowanego konsumenta. Naprawa, wymiana albo zwrot pieniędzy. Pachniała słodkimi, ciężkimi perfumami i świeżo wypalonym papierosem.

Stwierdziła, że coś się stało z zółwiem. Tak to dokładnie ujęła.

Coś. Się. Stało. Z zółwiem.

Przekonanie, że weterynarz odbierze poród cielaka, zoperuje szynszyla i zajrzy pytonowi w tchawicę, wciąż było dość powszechne i rzeczywiście Kaja słyszała o tak wszechstronnych weterynarzach, lecz były to wyjątki. Sama nie zajmowała się gadami i bez wahania odsyłała takich pacjentów w bardziej doświadczone ręce.

Tym razem też zamierzała tak postąpić.

Pomimo antypatii, którą z miejsca wzbudziła w niej ta para, nie potrafiła jednak ich tak od razu odesłać. Położyła zółwia na stole i przyjrzała mu się uważnie. Podejrzewała hibernację. To zdarza-



ło się dość często, gdy temperatura otoczenia na kilka dni spada poniżej sześciu stopni Celsjusza. Chwyciła tylną nogę i zaczęła ją delikatnie masować, lecz żółw się nie poruszył. Spróbowała mocniej, tym razem z drugą nogą. Nic. Miał chłodną, suchą skórę, a na przednich łapach widniały głębokie rany z zaschniętą krwią i ropą. Gdy dotknęła pancerza skorupa ugięła się pod palcami.

Westchnęła. Znała ten rodzaj smutku zbyt dobrze. Był niepozorny, jak przemoknięte buty, od których zaczyna się grypa. Pojawiał się wtedy, kiedy nic już nie mogła zrobić.

– Ten żółw jest martwy – powiedziała.

I gdyby dziewczynka się rozpłakała, a kobieta wyraziła żal, wszystko skończyłoby się szybko, bez zbędnych ceregieli.

– Jak to martwy?

– Tak martwy, że bardziej się nie da.

– Niemożliwe! Przecież przedwczoraj był całkiem zdrowy, biegał po mieszkaniu jak piesek, prawda Sandruś? No, powiedz pani! – mamuśka szturchnęła córkę łokciem.

Twarz Sandry na chwilę wyłoniła się znad ekranu telefonu. Dziewczynka wzruszyła ramionami, lecz pod wpływem surowego spojrzenia matki, energicznie pokiwała głową, choć Kaja była pewna, że nie słyszała ani jednego słowa. Wydawała się rozwodniona, jakby to matka dostała wszystkie kolory, a dla niej zabrakło już barwników.

Głupia gówniara, pomyślała Kaja, lecz jej twarz pozostała bez wyrazu. Zresztą, obie były głupie, jeżeli sądziły, że uwierzy w tę historyjkę. Żółw umierał od dawna, tylko nikt tego nie zauważył.

– Po pierwsze, żółw to nie pies – Kaja nie mogła uwierzyć, że wypowiedzi te słowa. – Powinien mieszkać w specjalnym terrarium.

– Tak, oczywiście, miał terrarium, ale czasami... Wie pani... Córka brała go do siebie, żeby sobie pochodził.

– I poszedł. Na tamten świat – odpowiedziała Kaja. – Po drugie, nie żyje od co najmniej kilku dni.

Najbardziej prawdopodobne było to, że ostatnie kilkanaście dni, może nawet tygodni spędził na podłodze, dokarmiany byle czym,

zaniedbany, żyjący w zapomnieniu gdzieś w kącie mieszkania pomiędzy białą kuchnią na wysoki połysk, salonem z drewnianą podłogą a dziecięcym pokojem o różowych ścianach, wciągając roztocza i śmieci niczym pieprzony Rainbow.

Tak to widziała, może mylnie, ale nie miało to większego znaczenia. Zwierzę było skrajnie zaniedbane. Resztę stanowiły smutne szczegóły.

Mamuśka wyglądała na przejętą, ale z całkowicie innych powodów.

– To skandal! – ciągnęła. – To już drugi żółw w ciągu kilku miesięcy, którego kupiłam w tamtym sklepie! Musiał od początku być chory!

Puściła do Kai oko. A potem znowu. Dopiero po kilku intensywnych mrugnięciach i po tym, jak mamuśka parę razy powtórzyła coś o chorych żółwiach sprzedawanych w popularnej zoologicznej sieciówce, Kaja zrozumiała, że kobieta oczekuje od niej potwierdzenia. Czegóż w rodzaju tak, jasne, to wina gangu skorumpowanych sprzedawców żółwi, którzy wciskają klientom przeterminowane zwierzęta. W ogóle nie jest to wasza wina, że przysechł do podłogi!

Dlaczego ciągle spotyka takich ludzi, którzy u innych szukają usprawiedliwienia dla swojej głupoty i okrucieństwa? Beztroskich idiotów, którzy nawet złapani na gorącym uczynku wypierają się wszystkiego, by zaraz potem w podskokach lecieć popełniać kolejne głupoty, za które i tak nigdy nie biorą odpowiedzialności?

Smutek zamienił się w inne, równie dobrze jej znane uczucie.

– Droga pani. Stan żółwia wskazuje na wielotygodniowe zaniedbania! Nie tak łatwo jest zabić gada, są one w końcu dość odporne, nawet długowieczne. Z przykrością muszę stwierdzić, że ani pani, ani pani córka nie zajmowałyście się żółwiem w odpowiedzialny sposób i naraziłyście go tym samym na niepotrzebne cierpienie.

Mamuśka wyglądała na zdziwioną.

– Nie bardzo rozumiem, do czego zmierza ta rozmowa – powiedziała. – Czy pani nas o coś oskarża? Żółw chodził i miał się

świetnie. Kupiliśmy go parę miesięcy temu, a teraz nie żyje. Wiodocześnie zachorował albo był chory od urodzenia, takie rzeczy przecież się zdarzają!

– Tak, oczywiście. Natomiast to nie jest TEN przypadek. Ten żółw został zagłodzony, jego śmierć była bez wątpienia powolna i straszna. Chciałabym wiedzieć, czy pani rozumie, że jesteście za nią odpowiedzialne i czy jest wam przykro. Tyle.

Przez chwilę panowała cisza, a potem mamuśka kpiąco się roześmiała.

– Chyba nie ma sensu tego teraz roztrząsać! Sandra bardzo kocha zwierzęta, prawda Sandruś? Oczywiście jest jej przykro, że żółw zachorował. No, ale takie życie i skoro nic nie można już zrobić...

Kaja miała ochotę złapać mamuśkę za ufryzowane kudły i rozsmarować jej twarz na ścianie. Nie mogła pozwolić tej dwójce tak po prostu wyjść w poczuciu, że to, co się stało, nie jest ich winą.

– Rzecz w tym – odpowiedziała, podchodząc do drzwi – że żółw NIE zachorował, a nawet jeżeli, to na skutek fatalnej opieki. Wydaje mi się, że ani pani, ani córka nie rozumiecie, w czym rzecz.

Przekręciła klucz w zamku i schowała go sobie do kieszeni.

– Co pani robi? – zapytała mamuśka.

– Proszę się uspokoić.

– To jakiś żart? Proszę nam natychmiast otworzyć, bo inaczej zadzwonię na policję!

– To, co robię, ma funkcję wyłącznie edukacyjną – powiedziała Kaja, starając się zachować spokojny ton. – Chciałabym, żeby Sandra – zwłaszcza ona ze względu na młody wiek – rozumiała, że decyzje, jakie podejmuje, wpływają na życie innych żywych istot. To wszystko. Chyba się pani zgodzi, że nie ma w tym nic, co mogłoby zainteresować policję, poza oczywiście artykułem 35. ustawy o ochronie zwierząt zakazującym znęcania się nad nimi.

– W dupie mam ustawy! Proszę natychmiast otworzyć drzwi!

Kaję zignorowała ją i skupiła się na dziewczynce. Wszyscy zwichrowani dorośli kiedyś byli dziećmi. Jeżeli trzeba kogoś rato-

wać, to właśnie je.

– Widzisz, Sandruś, widzisz te dziury na przednich nogach? – zapytała. – Stawy gadów nie są przystosowane do chodzenia po panelach, płytkach i dywanach. W rany wdało się zakażenie. Wyobraź sobie, że na stopach masz zdartą do krwi skórę i musisz chodzić boszo do szkoły. Chyba nie byłoby to przyjemne, co? Zapamiętaj. Żółw to nie pies. Rozumiesz?

– Sandra, nie słuchaj tego, co wygaduje ta psycholka! – krzyknęła mamuśka.

Sandra miała lekko rozwarte usta i puste spojrzenie wypchanej fretki. Po raz pierwszy odkąd przekroczyła próg gabinetu, zdawała się być bardziej zainteresowana tym, co dzieje się wokół niej, niż w telefonie. Jakby nagle zapomniała o jego istnieniu. Mamuśka podeszła do drzwi i zaczęła szarpać za klamkę wzywając pomocy.

Kaja się roześmiała.

– Powinna pani docenić fakt, że może pani krzyżeć, w przeciwieństwie do gadów, które cierpią w ciszy.

Mamuśka pokazała jej środkowy palec, wyciągnęła telefon i drżącą ręką wycelowała nim w Kaję.

Kiedy Kaja ponownie się odezwała wydawało jej się, że jej głos oblepia wszystko wokół jak ropa. Miała wrażenie, że wystarczy drobna iskra, żeby gabinet stanął w płomieniach.

– Sandro, skup się proszę. Twój żółw, jak miał właściwie na imię?

– Fred.

– A więc Fred umierał długo i w męczarniach. Założę się, że gdybym zrobiła mu sekcję zwłok, okazałoby się, że chorował na zapalenie płuc. Musiał chorować, skoro tak długo robił w waszym domu za odkurzacz. Poza tym ma miękki pancerz, co świadczy o złej diecie. Chyba nie karmiłaś go żelkami i czekoladkami, co? Chyba nie jesteś aż taką głupiotką dziewczynką?

Sandra zrobiła się czerwona, dziwnym rozwodnionym odcieniem czerwieni. Kaja pomyślała, że ciężko ratuje się dzieci, do których czuje się obrzydzenie.

Mamuśka stała nieruchomo z wyciągniętym przed siebie telefo-

nem jak z tarczą.

– Proszę przestać mnie filmować – powiedziała Kaja.

– Otwórz te drzwi, głupia suko!

– Z przyjemnością, jak tylko przyznacie, że Fred umarł przez wasze zaniechanie.

– Mamo, to ja zabiłam Freda? – łzawym głosem zapytała Sandra, jakby dopiero teraz do niej dotarło, że żółw nie żyje.

– Zamknij się! Nikogo nie zabiłaś! – krzyknęła mamuśka. – Żółw zdechł, bo był chory, ale to nic w porównaniu z tym, jak bardzo chora jest ta pizda! Przepraszam cię kochanie, nie słuchaj. Zniszczę cię, zobaczysz, będziesz skończona, otwórz te pierdolone drzwi!

– Mamo, przestań, chcę iść do domu!

– Cicho! Nikt nas nie będzie szantażował! – krzyczała, nadal filmując.

– Mamo, proszę.

Kaja chciała tylko, żeby się przyznały.

Tak, zapomnieliśmy o nim. Chodził po mieszkaniu, wyglądało na to, że wszystko z nim w porządku, czasami karmiłyśmy go chlebem, czasami sałatą, czasami wpieprzał śmieci.

Zapomnieliśmy. Przepraszamy. Jest nam przykro. Sorry.

Dlaczego nie mogły tego po prostu powiedzieć? Poczula rwanie w podbrzuszu.

Mamuśka wciąż bawiła się w dokumentalistkę.

– Prosiłam, żeby pani przestała. Mnie. Filmować.

Wytracony z ręki telefon upadł na ziemię. Kobieta wydała z siebie jakiś pierwotny ryk i waląc pięściami na oslep rzuciła się na Kaje, która poleciała w tył. Zanim uderzyła głową o szafkę zobaczyła nad sobą sufit z żółtym naciekiem. Wyglądał jak posikane prześcieradło, którym ktoś ją nakrył i na chwilę wszystko zgasło. Gdy uchyliła powieki, w szczelinie światła dostrzegła mamuśkę grzebiącą w zamku. Sandra wyła i mimo zamroczenia Kaja po-

myślała, że za nic nie byłaby w stanie polubić tej wygotowanej ameby.

Kaja podnosiła się bardzo powoli i stanęła na nogach w momencie, kiedy mamusce udało się w końcu dopasować klucz do zamka. Wiedziała, że musi coś zrobić, zanim te dwa dowody na ułomność gatunku ludzkiego wyjdą na zewnątrz. Nie była pewna, czy telefon mamuski roztrzaskał się na tyle, żeby nagranie przepadło.

– Ja też mam nagranie – powiedziała najgłośniejszym głosem, jaki potrafiła i wskazała na umieszczoną w rogu pomieszczenia kamerę. Atrapę zostawioną przez poprzednich właścicieli lokalu.

Mamuska spojrzała w tamtą stronę, a potem wbiła w Kaję nienawistne spojrzenie.

– Policja zapewne bardziej zainteresuje się napaścią niż zamkniętymi na klucz drzwiami – ciągnęła dalej Kaja, choć tak naprawdę nie miała pojęcia, czy faktycznie tak by było. Założyła jednak, że skoro ona nie wie, kobieta pewnie również.

– Jeszcze tego pożałujesz! – powiedziała mamuska przez zęby i wyszła, trzaskając drzwiami.

Na stole pozostał popękany karapak.

## II

Po ich wyjściu zamknęła drzwi na klucz i poszła do łazienki. Wszystko w niej drżało, głowa pulsowała tęym bólem.

Z lustra patrzyła zmęczona kobieta o włosach w kolorze mokrej słomy.

– Nie zrobię tego – powiedziała do niej.

Kobieta nie uśmiechała się. Jej zielone oczy zdawały się mówić: zobaczmy.

Gdy otworzyła szafkę, kobieta na chwilę zniknęła, lecz Kaja wiedziała, że wciąż tam była.

Niewidzialna.

### III

Nie chowała się ze strachu. Chowala się, bo lubiła być niewidzialna.

Niewidzialni ludzie mogą wszystko. Mogą zakraść się do stołówki i wziąć dokładkę racuchów, mogą podsłuchać rozmowy wychowawców, mogą zobaczyć, jak chłopaki pieprzą się z dziewczynami, mogą zaglądnąć do mieszkań, gdzie ściany są jak wilgotne, ciepłe plecy, do których można się przytulić.

Budynek bidula otaczał wielki ogród. Rozłożyste platany chroniły wszystko, co rosło pod nimi, w ich cieniu wzrastały gęste krzaki, grzyby i jej marzenia.

Każdego dnia zapuszczała się w ogród coraz głębiej, grzebała w nim, jakby próbowała sięgnąć ręką do końca króliczej nory i rzeczywiście kiedyś odkryła jego kres. Przedarła się przez krzewy derenia, minęła dzikie krzaki malin, które zostawiły na jej rękach czerwone zadrapania, i przecisnęła się przez ścianę żywopłotu. Tam, pod jedyną w okolicy brzozą, z tyłu mając ścianę roślin, a z przodu ogrodzenie obrośnięte bluszczem, ze wszystkich stron osłonięta od wścibskich oczu innych dzieci, umościła sobie kryjówkę.

Ziemia pachniała tu wilgocią bez względu na porę roku, jakby w tym kącie zgromadziła się cała zgnilizna świata. Wdychała ten cmentarny zapach, patrzyła na świat za parkanem i wyobrażała sobie, że jest niewidzialna.

Ogród miewał humory – w tym zdawał się być podobny do niej. Czasami jasny i słodki, skrzył się w świetle dnia kroplami żywicy, jakby ociekał miodem. W inne dni był ciemny, ponury, złośliwy. Wtedy potykała się o wystające korzenie i gałęzie, bardzo się bała, że rozżłości go jakimś nierozważnym gestem. Wówczas siedziała w bezruchu w jego dusznych ramionach, jak najdalej od bidula, jak najbliżej prawdziwego świata.

Tamtego dnia zbierało się na burzę. Powietrze stało. Dzieci w budynku kończyły podwieczorek. Minęła pomnik świętego Nepomucena, na którego wszyscy mówili Mucio, odrapane huśtawki, których piski i jęki nieraz roznosiły się echem po okolicy i poszła dalej, aż dotarła do żywopłotu. Ściana zieleni wessała ją i wypluła po drugiej stronie.

Usiadła pod brzozą i patrzyła na osiedle. Za parkanem wznosił się niebidulowy świat. Z brudnopomarańczowymi blokami, w których okna nieraz zaglądała z zazdrością, pewna, że za nimi mieszkają szczęśliwe rodziny, choć żadnej nie znała. Ze spożywczakiem, do którego czasami chodziło się po lody na patyku, i z chodnikiem pofałdowanym, jakby z głębi ziemi coś chciało się wydostać na zewnątrz.

Pod blokiem dziewczynki grały w gumę. Raz. Dwa. Skucha!

Znała je ze szkoły, chodziły do równoległej klasy. Ich imiona wyleciały jej z głowy. Nieraz śmiały się z niej, mówiły, że śmierdzi, że jest przybłądą z bidula. Nienawidziła ich.

Potem czyjaś mama zawołała z okna na obiad. Dziewczynki skończyły skakać i roześmiane poszły do domu.

W ogrodzeniu oddzielającym teren bidula od reszty świata brakowało jednego pręta. Przecisnęła się przez tę dziurę i biegiem puściła się w stronę klatki, a potem już cicho, po schodach, za nimi, za ich głosami. Na klatce unosił się zapach smażonej ryby, wibrowało od tupotu dziecięcych tenisówek. Przeskakiwała po dwa stopnie, żeby nadażyć, żeby nie stracić momentu, kiedy będą wchodzić do mieszkania. Schody zdawały się nie mieć końca. Gdy spojrzała w górę, na poręczy, może piętro wyżej, mignęła jej biała dłoń. Przyspieszyła.

Szczęk otwieranych drzwi. W cieplej szczelinie ledwo zdążyła dostrzec boazerię i wiszące w przedpokoju sznury kolorowych koralików. Zabrzęczały poruszone. Może tą samą dłonią.

Jeszcze przez chwilę stała przed wejściem, nasłuchując dobiegających ze środka pobrzękiwania sztućców i strzępków rozmowy.

Na wycieracze coś połyskiwało. Srebrna wsuwka z biedronką, jakby ktoś nabił prawdziwego owada na szpilkę.

Podniosła ją i wsadziła do kieszeni spódnicy.

Kiedy wróciła na swoje miejsce pod brzozą, usłyszała, że po drugiej stronie żywopłotu ktoś jest. Poznała głosy starszych chłopców: Piotrek. Łukasz. Gruby Stach.

Gilbert.

Kucając pomiędzy liśćmi, z czołem wspartym o kolana, wdy-



chała zapach swoich majtek pomieszany z dusznym zapachem ogrodu. Czekala, aż sobie pójdą.

Miauknięcie. Najpierw jedno, potem kolejne.

Nie pękaj stary, przecież chcesz być w paczce, co nie? Tak, chcę. To nie pierdol. Masz.

Znowu miauknięcie.

Nie, Gilbert, może zamiast tego spuszczę wpierdol nowemu? Nie ma żadnego nowego. Ale jak kogoś przywiozą! Co, pękasz? Trzymaj go, frajerze! Patrzcie, kutas się popłakał! Śmiechy. To tylko stary kocur!

Zagrzmiało.

Głos Gilberta ciężki, jak mokra ziemia.

Masz! Zabij go!

Wyskoczyła zza krzaków i rzuciła się na nich na oślep. Gruby Stach puścił kota, który pierzchnął w krzaki. Błysnęło ostrze noża, albo to piorun błysnął. Gilbert wykrzywił twarz.

W jego oczach odbijał się rewers świata.

Coś powiedział, ale nie pamiętała co. Po chwili leżała na ziemi, a nad nią pochylały się blade twarze chłopców. Gołe korony drzew rozdzierały niebo na drobne kawałki.

Nie myślała o tym, co może się za chwilę stać. Miała dziesięć lat i wiedziała, że nie można jej skrzywdzić. Nie można skrzywdzić kogoś, kogo nie widać. Musiała być tylko bardzo cicho, tak, żeby nikt jej nie słyszał.

Powietrze pachniało ozonem.

– Chcesz zobaczyć kutasa? – zapytał Gilbert, rozpinając spodnie.  
– Piotrek, Marcin, trzymajcie ją!

Trzymali, ale nie za mocno, jakby dawali jej szansę na ucieczkę. Lecz nie próbowała uciekać. Przecież jej tam wcale nie było.

Gilbert zdarł z niej majtki. Podniosła je potem z ziemi. Były mokre i brudne.

Lunął deszcz.

#### IV

Pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym kawałek cienkiej skóry. Kiedy połączy się palce, ten kawałek znika. Wbiła wsuwkę powoli, aż ból zamienił się w rozedrgane ciepło.

#### V

Kaja rozpięła rozporek i szybko zsunęła spodnie. Ręce jej drżały, gdy odpakowywała żyletkę, rwanie w podbrzuszu stało się nie do zniesienia.

Cięcie wykonała pewnie.

Piekący ból. Ciepła krew. Ulga. Wstyd.

Odkręciła wodę. Wpatrywała się w odpływ i myślała, jak dobrze byłoby spłynąć razem z wodą, coraz niżej, głębiej. Zniknąć. Kanalizacja w Krakowie ma prawie dwa tysiące kilometrów, gdzieś o tym czytała. Jakie to głupoty człowiek pamięta. Mogłaby krążyć pod ziemią bardzo długo, z dala od wszystkiego i wszystkich, niewidoczna, a jednocześnie tuż pod powierzchnią, tuż pod skórą miasta. Nieobecna i obecna zarazem.

Dwa tysiące kilometrów to jak z Krakowa do Girony, albo lepiej, na wyspy jońskie. Wyobrażała sobie, że pewnego dnia zamieszka na którejś z greckich wysp – albo nie greckich, wszystko jedno – i otworzy niewielki pensjonat. Widzi siebie, jak każdego ranka wychodzi na taras i spogląda w niebo. Nosi luźne bawełniane sukienki, pod którymi nie ma bielizny, ma bose stopy i włosy sięgające do połowy pleców, rozpuszczone. Wita się z gośćmi i przygotowuje dla nich proste, smaczne śniadania – oliwki, arbuzy, ser – bywa, że rozmawia z nimi dłużej, ale przeważnie zaraz po śniadaniu idzie na plażę. Ściąga z siebie ubranie i wchodzi do wody.

Czasami, kiedy niebo już ciemniało, lecz dzień wciąż tlił się gdzieś we wnętrzu chmur jak latarka zapalona pod kołdrą, leżała na łóżku i dotykała blizn z czułością, której z reguły dla siebie nie miała. Nie, nie liczyła ich. Dawno przestała to robić.

Wyobrażała sobie, że ma tam skórę gładką i miękką jak brzuch szczeniaka.

## Rozdział drugi

### VI

Dzień rozbłysnął ostentacyjnie, jakby ktoś podkręcił reflektor. Jaskrawy blask zdawał się nie pochodzić od słońca, które tak rzadko pojawiało się w Krakowie. Przypominał raczej światło chirurgicznej lampy. Leżała jeszcze chwilę, zbierając siły. Czuliła, że póki trwa w bezruchu, wszystko jest w niej na właściwym miejscu.

Niewzburzone. Beznamiętne. Ciche.

Gdzieś przeczytała, że trzeba rozstać się z rzeczami i osobami, które nam nie służą. To było chyba w Magii sprzątanania, którą dostała od Marceliny, kiedy pierwszy raz zaprosiła ją do siebie. Popularna książka o japońskiej sztuce wypierdalania wszystkiego w kosmos. Uznała, że dzisiaj, w pierwszy dzień wiosny dwa tysiące dziewiętnastego roku, czas spróbować.

I postanowiła zacząć na grubo.

Od morderstwa.

Wstała z łóżka, podeszła do okna i zasunęła zasłony.

Niewielką garsonierę na ulicy Bujwida – którą wynajmowała od kilku lat z sentymentu dla samego patrona, a konkretniej jego córki Heleny Jurgielewicz, pierwszej lekarki weterynarii w Polsce – urządziła sama. Miał być styl eklektyczny, bo wydawał się najprostszy. Cóż to w końcu za problem pozbierać rupiecie z różnych epok (niektóre, jak stojąca lampa ze sraczkowatym abażurem z frędzlami, już tu były), dowalić parę bibelotów z Ikei i gotowe! No nie. Z czasem powstało składowisko niepasujących do siebie gratów, z którymi też będzie musiała się rozprawić. Ale to później. Jeśli starczy jej sił.

Podeszła do biurka.

Wielkie, stare, prawdopodobnie dębowe (nie potrafiła rozróżnić), jedyny mebel, który lubiła. Kupiła je pod Halą Targową od mężczyzny w czapce uszatce, który oprócz staroci sprzedawał

także figurki Supermana i komiksy porno z superbohaterami w roli głównej. Jeden z nich znalazła potem w szufladzie biurka.

Na biurku leżało kilka numerów Weterynarii w praktyce, notes i laptop. Otworzyła go i włączyła Spotify. Szybko przejrzała playlisty. Miała ich kilkanaście. Głównie rock, hard rock, metal, grunge, ostra muzyka, choć nie gardziła dobrą balladą. Po chwili namysłu wybrała My Twin, Katatonii. Gdy tylko z głośnika popłynęły dźwięki szwedzkiego zespołu, zalogowała się na swój profil.

Czy raczej na JEJ profil.

Na fejsbuku nazywała się Lena Juwid i była podglądaczką. Zglądała mężczyznom w profile, jak w okna, zapraszała do kontaktów, a potem zrywała je bez ostrzeżenia. Fałszywy profil założyła kilkanaście lat temu w konkretnym celu, w który z czasem coraz trudniej było jej uwierzyć. Z biegiem lat przestała zresztą wierzyć w wiele rzeczy. W sprawiedliwość, w rozsądek gatunku ludzkiego, w to, że kiedyś w Krakowie skończy się smog, oraz że czeka na nią jeszcze w życiu coś dobrego.

Wiedziała, że Lena Juwid będzie musiała umrzeć z chwilą, gdy powołała ją do życia paręnaście lat temu. Nie sądziła jednak, że zabicie jej będzie takie trudne. Przywiązała się do niej, czuła się dzięki niej pełniejsza. Lena była ładniejsza, bardziej otwarta, lżejsza o ciężar wspomnień, które nieproszone rozpychają się w pamięci. Potrafiła cieszyć się ze swojego wirtualnego życia i raz w tygodniu zmieniała na profilu swój nastrój.

Odprężona. Figlarna. Gotowa do działania.

Podczas gdy Kaja uważała, że profile społecznościowe to współczesne grobowce, na których żółte lajki świecą smętnie niczym znicze, Lena się tym nie przejmowała. Wysyłała nowe zaproszenia, obdarzała facetów uśmiechniętymi emotikonami i zbierała kciuki w górę.

Wykonywała swoją robotę bardzo dobrze przez ostatnie lata. Dzięki jej otwartości sprawdzili pół tysiąca mężczyzn, których nazwiska Kaja trzymała w Excelu i przeglądała czasami, odczuwając przy tym nieklamana satysfakcję.

Ten ostatni, z którym czatowała kilka dni temu, wydawał się doskonale pasować. Sześć lat młodszy od Kai, kręcone blond włosy, zamieszkały w okolicy bidula, przynajmniej tak twierdził. Na jednym zdjęciu dostrzegła znajomy odwrócony most, który pamiętała z wycieczki. Wolał zadawać pytania, niż na nie odpo-

wiadać, ale wiedziała z doświadczenia, że niektórzy potrzebują więcej czasu. Czy ma rodzinę, psa, kota, czy lubi podróżować, czy ma męża, a może żonę (hehe, jemu to nie przeszkadza, jest tolerancyjny), czy ma więcej zdjęć, bo on ma i może podesłać. Napisała, że okej i już po chwili załącznik ściągał się na komputer.

Zdjęcie przedstawiało wielkiego, bo zajmującego cały ekran, penisa w stanie wzwodu.

Czy naprawdę tylko tyle znalazła przez te wszystkie lata? Kilka zdjęć penisów, nagich torsów i całą masę nudnych życiorysów, w których nie chciała uczestniczyć? Podczas gdy jej życie mijało gdzieś obok, ona traciła wolne chwile na grzebanie w cudzym.

Nadszedł czas, żeby spojrzeć prawdzie w oczy. Pomimo swoich niewątpliwych sukcesów, Lena okazała się nieskuteczna.

Dlatego musiała odejść.

Zerknęła jeszcze na wiadomości, ale nie pojawiło się nic nowego, jedynie kontakt numer pięćset przyjął zaproszenie. Nie zamierzała sprawdzać, nie zniosłaby kolejnego rozczarowania. Zresztą jakie to miało teraz znaczenie.

Zamiast tego otworzyła ustawienia konta Leny i znalazła opcję dezaktywacja.

Koniec z tobą, pomyślała.

Pif-paf.

# Barbara Żakiewicz:

Pamięć to stara przechera. Manipuluje, zniekształca, wywodzi w pole. Czy można pamiętać coś, co się nie wydarzyło? Kim jesteśmy, jeśli większość naszych wspomnień jest fałszywa?

Kaja Wiśniewska jest lekarką weterynarii, która od ludzi woli zwierzęta. Jest też podglądaczką. Poprzez fałszywy profil w internecie od lat poszukuje mężczyzny z przeszłości. Po kolejnej porażce zaczyna wątpić w sens tych poszukiwań i postanawia odpuścić. Przeszkadzają jej w tym powracające wspomnienia z dzieciństwa spędzonego w domu dziecka oraz niespodziewany kontakt od kogoś, kto podaje się za poszukiwanego mężczyznę.

Kiedy jej przyjaciółka popełnia samobójstwo i okazuje się, że mężczyzna nie jest tym, za kogo się podawał, Kaja załamuje się. Robi coraz więcej błędów w pracy, stawia fałszywą diagnozę, na skutek czego umiera pies przewodnik, a jego właściciel zamieszcza brutalną opinię w internecie. Kobieta musi zmierzyć się z hejtem i pogarszającym się stanem psychicznym. Gdy dowiaduje się, że w mieście, w którym się wychowała, wybuchła epidemia ASF (Afrykański Pomór

Świń) i potrzebni są weterynarze, postanawia na jakiś czas wyjechać z Krakowa. Na miejscu udziela wywiadu youtuberce na temat dorastania w domu dziecka, który niegdyś znajdował się w miasteczku. Po emisji programu z Kają kontaktuje się poszukiwany przez nią człowiek.

Kaja musi zmierzyć się z prawdą na temat ich relacji, która jest kluczem do zrozumienia tragicznych wydarzeń z przeszłości (śmierci jednego z wychowanków). Mężczyzna zwraca się do niej z nietypową prośbą, stawiając ją tym samym przed dramatycznym wyborem.

\*Akcja rozgrywa się wiosną dwa tysiące dziewiętnastego roku w Krakowie, śladami miejsc, które zniknęły z mapy, tak, jak ludzie i zdarzenia znikają z życia oraz pamięci bohaterki. Wspomnienia przenoszą czytelnika do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego, do wymyślnego miasteczka Niesława gdzieś na Dolnym Śląsku.

# O autorkach i autorze

## **Miła Bulska**

Rocznik 1988. Od zawsze podatna na poezję i prozę, choć niezwiązana z nimi zawodowo. Zadebiutowała w 2019 roku tekstem dla teatru wydanym w antologii Starego Teatru w Krakowie „Nasz głos”. Zdarzyło jej się opublikować kilka wierszy: w magazynie „Pismo”, w Instytucie Literatury, kwartalniku „Arterie”, Biurze Literackim. Absolwentka SLA UJ.

## **Sonia Pohl**

Prawniczka, analityczka, raczkująca reportażystka. Pochodzi ze Śląska, od dekady mieszka w Krakowie. Debiutowała na łamach „Tygodnika Powszechnego” tekstem *Lato bez domu – skąd się biorą kwatery nad morzem? Współautorka książki *Jutro nie mieści się w głowie*. Aktualnie pracuje nad morską opowieścią. Regularnie wdycha jod.*

## **Anna Słowiakowska-Polak**

Zaczynała pisać w lokalnych gazetach, ale zapragnęła nie głodować, dlatego przeszła na bardziej hojne łono reklamy. Od lat jest copywriterką, teraz również dyrektorką kreatywną we własnej firmie. Pisze codziennie, m.in. scenariusze spotów dla swojego Krakowa, wydała także grę o języku polskim #AŁĘ.

Do ukochanego miasta ma szczególny stosunek. Chętnie oprowadza po swoim mieszkaniu z lat 30., prezentując też piwnicę, która pełniła funkcję schronu przeciwbombowego, a teraz przypomina schron przed światem. W wolnych chwilach bywała wolontariuszką Rydlówki, uczennicą rozmaitych kursów i warsztatów pisania (w tym „Znaku” oraz wydawnictwa Czarne)



i projektantką mody (ukończyła Szkołę Artystycznego Projektowania Ubioru).

Czasy pandemii wspomina doskonale, kilka miesięcy spędziła z rodziną i psem w starej przyczepie, jeżdżąc po całej Polsce. Nieustannie wraca na Dolny Śląsk i lubi przytulać się do miękkich pagórków Beskidu Niskiego.

Jej debiutancka powieść to także podróż, nie tylko po Polsce, ale po rozległych i krętych ścieżkach relacji matka–córka, przede wszystkim jednak po relacjach kobiety samej ze sobą.

### **Magdalena Ciechanowska**

Z wykształcenia inżynierka robotyki, z zawodu menadżerka w branży IT, z powołania adeptka kung-fu. Mama dwojga małych bandytów, czytelniczka, miłośniczka przygód. Niezachwianie wierzy w zbiegi okoliczności. Kiedy dorośnie, zostanie pisarką. *Szachrajka* będzie jej powieściowym debiutem.

### **Aleksandra Igras**

Urodzona na dwa miesiące przed wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego. Absolwentka dziennikarstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracowała jako copywriter. Od wielu lat przedsiębiorczyni. Bywa aktorką amatorką. Opowiadania publikowała w Wydawnictwie j, „Akcencie”, „Epei”. Lublinianka.

### **Iwona Kasino**

Leśniczka i przewodniczka górską. Lubi podsłuchiwać drzewa, a potem opowiadać o nich historie na górskim szlaku lub w autokarze. Mama trójki dzieci.

### **Arkadiusz Kowalik**

Urodzony w 1991 roku, autor opowiadań. Dwa z nich stały się zaczątkiem powieści *Dźwięki ptaków, odgłosy ludzi*. Interesuje się tematami świadomości i percepcji, zarówno u ludzi, jak i in-

nych zwierząt, oraz relacją człowieka z naturą. Stara się znaleźć dla tych tematów literacką formę. Ukończył z wyróżnieniem podyplomowe „Studia technik pisarskich i prezentacji tekstu literackiego” na Uniwersytecie Warszawskim, w ramach których napisał zbiór opowiadań *Klatki* – mozaikę historii współczesnych mieszkańców stolicy. Publikował w „Tekstualiach” i „Stronie Czynnej”. Absolwent Szkoły Głównej Handlowej. Pochodzi z Dolnego Śląska, mieszka w Warszawie. Niedawno kupił pierwszą lornetkę i ogląda ptaki, których wcześniej nie dostrzegał, a które zawsze były wokół.

### **marta sokołowska**

Dramatopisarka, dramaturżka, prozaiczka. Laureatka Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO, laureatka projektu Debiuty Prozą oraz konkursu Dramat! organizowanego przez „Dwutygodnik” i Teatr IMKA, finalistka międzynarodowego konkursu dla dramatopisarzy i dramatopisarek AURORA, dwukrotna finalistka konkursu poświęconego polskiej dramaturgii współczesnej Metafory Rzeczywistości. Autorka dystopii *Imperium Dzieci* (Biuro Literackie) oraz sztuk i słuchowisk: *Hypnos*, *Facecje Elyana*, *Imagina*, *Reykjavik '74*, *Holzwege*, *Kamionna*. *Opowieści rodzinne*, *Fanatycy prawdy*, *Ryt*, *Pałac w Bożkowie*, *Księżna*, *javen saste i bahatale*, *kopia paryskiego metra w kawałkach* i in., które realizowano w: TR Warszawa, Teatrze im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie, Teatrze im. Wilama Horzycy w Toruniu, Teatrze Powszechnym w Warszawie, Teatrze Ochoty, Teatrze Polskim w Poznaniu, Teatrze Polskim we Wrocławiu, Teatrze im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie, Royal District Theatre w Tbilisi, Białoruskim Wolnym Teatrze w Mińsku, Teatrze Dramatycznym w Kaliningradzie, Krasnojarskim Teatrze Młodego Widza, Polskim Radiu, Instytucie Teatralnym, Teatrotece, Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych i in. Jej teksty publikowano w pismach: „Dialog. Miesięcznik Poświęcony Dramaturgii Współczesnej”, *dwutygodnik.com*, „LiteRacje”, „Chimera” oraz tłumaczono na języki: angielski, rosyjski, ukraiński, niemiecki, białoruski i gruziński. Autorka scenariusza i reżyserka polsko-japońskiego filmu dokumentalnego *zeno-san*.

### **Sylwia Iwańska**

Sądca, od dwóch dekad związana z mediami. Spełniona matka nastolatki i nie mniej szalonego czterolatka. Z zawodu

dziennikarka, z pasji – lektorka i konferansjerka. Mimo, że włada słowem jak mieczem, wciąż marzy o tym, by broń w postaci mikrofonu zamienić na zapisaną kartkę.

### **Katarzyna Woydyło**

Urodzona w 1992 roku. Przede wszystkim czytelniczka, potem filolożka. Absolwentka filologii germańskiej na Uniwersytecie Śląskim i Kursu Pisania Powieści KMLU. Jej opowiadania opublikowane zostały w „Stronie Czynnej” oraz „Tlenie Literackim”. Mieszka w zabrzańskim bloku na trzecim piętrze.

### **Barbara Żakiewicz**

Urodzona w Krakowie. Skończyła studia, ale nie pamięta jakie. Pracuje jako menadżerka w korpo. Domatorka, która kocha podróż. Miłośniczka kundli. Szczęśliwa posiadaczka dwójki dzieci. Uzależniona od cukrów prostych. Czyta. Pisze. Marzy, że na starość zostanie pisarką. Ciągłe za czymś tęskni. *Wygmane dzieci* będą jej powieściowym debiutem.

# O Szkole Pisania Krakowa Miasta Literatury UNESCO

W styczniu 2023 roku zakończyła się kolejna edycja Kursu Pisania Powieści Krakowa Miasta Literatury UNESCO. Podczas dziesięciu weekendów dwanaścioro początkujących pisarzy i pisarek szlifowało swoje pomysły na powieści i opowiadania pod okiem specjalistów. Nad pracą uczestników czuwało dwóch mentorów. Jeden z nich to Filip Modrzejewski – redaktor od literatury pięknej, założyciel Stowarzyszenia Magurycz, wykładowca. Drugim mentorem był Paweł Goźliński – wykładowca, pisarz, a także redaktor naczelny Wydawnictwa Agora i współzałożyciel Instytutu Reportażu.

Pracy z redaktorami towarzyszyły zajęcia z zaproszonymi gośćmi. W tajniki wnikliwego i dobrego researchu wprowadziła uczestników pisarka Agata Romaniuk, a okazją do ćwiczeń fabularnych dotyczących opowieści rodzinnej było spotkanie z Aleksandrą Zbroją. Temat nagród literackich przybliżyła z kolei Agnieszka Budnik, literaturoznawczyni i autorka podcastu Raport z Literatury. W programie znalazł się również wykład specjalistki od prawa autorskiego Anny Rucińskiej. Jeden z weekendów uczestnicy spędzili z Jakubem Żulczykiem, który przeprowadził zaawansowane warsztaty storytellingu. O swoich doświadczeniach jako debiutującej pisarki opowiedziała Barbara Woźniak.

Kurs Pisania Powieści jest elementem programu wsparcia debiutów literackich Krakowa Miasta Literatury UNESCO. Należy do niego także przyznawana corocznie Nagroda Conrada wyróżniająca najlepszych debiutantów i ułatwiająca im drogę dalszej kariery. Organizatorem kursu jest KBF, operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO. Kurs Pisania Powieści KMLU odbywa się co roku między wrześniem/październikiem a styczniem/lutym. Nabór rozpoczyna się na przełomie czerwca i lipca.

Więcej informacji znajdziesz na stronie [pisz.miastoliteratury.pl](http://pisz.miastoliteratury.pl).

SZKOŁA  
PISANIA  
KMLU



Copyright © for texts by Authors 2023

Copyright © for this edition by KBF 2023

Wydawca i organizator: KBF, ul. Wygrana 2, 30-311 Kraków

Dyrektorka KBF: Karolina Pietyra

Kuratorka Programu Kraków Miasto Literatury UNESCO: Urszula Chwalba

Kierowniczką zespołu Krakowa Miasta Literatury UNESCO: Elżbieta Foltyniak

Koordynatorka Szkoły Pisania KMLU: Aleksandra Lipczak

Współpraca: Karolina Hołub

Program Kursu Pisania Powieści: Filip Modrzejewski, Paweł Goźliński,  
Oliwia Fryc

Korekta: Kinga Dawidowicz, Dorota Dziunikowska, Marek Mikos,  
Justyna Skalska, Barbara Skowrońska, Grzegorz Słęcz, Bartosz Suchecki

Kreacja graficzna: Nina Gregier Proste Kreski

Skład: Weronika Kierzkowska

Kontakt z autorami: [pisz@miastoliteratury.pl](mailto:pisz@miastoliteratury.pl)

 **Kraków**

**kbf:**

 **KRAKÓW**  
MIASTO LITERATURY  
UNESCO

SZKOŁA  
PISANIA  
KMLU



